

FRANCO SCAGLIA

ZŁOTO
MOJZESZA

WYDAWNICTWO

Tytuł oryginału:
L'Oro di Mose

Tłumaczenie: *Lucyna
Rodziewicz*

Redakcja techniczna:
Ewa Czyżowska

Łamanie: *Joanna
Lazarów*

Okładka:
Andrzej Welmiński

Copyright © 2004 Franco Scaglia, all rights reserved
© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo M, Kraków 2006

ISBN 978-83-60725-70-2

Wydawnictwo M
ul. Kanonicza 11, 31-002 Kraków
tel. 012-431-25-50; fax 012-431-25-75
e-mail: mwydawnictwo@mwydawnictwo.pl
www.mwydawnictwo.pl
www.ksiegarniakatolicka.pl

Nie jestem już taki jak dawniej

Tamtego ranka Jerozolima tonęła w niemiłosiernym i lep-
kim od wilgoci upale. Z okna gabinetu położonego na drugim
piętrze konwentu Najświętszego Zbawiciela, siedziby Kusto-
dii Ziemi Świętej w chrześcijańskiej dzielnicy Starego Miasta,
obserwowałem dwóch braci stojących w słońcu w samym
środku dziedzińca. Wcześniej spowiadali wiernych chcących
przyjąć komunię w naszym kościele podczas mszy o 11, a
teraz na rozżarzonych kamieniach dyskutowali o zaduchu i
nieznośnej temperaturze.

Smród topiącej się gumy i palonej skóry, dobywający się z
sandałów, podrażnił nie tylko ich nozdrza, ale i moje, i skłonił
do skrycia się w klasztorze. Potrzęsali przy tym głowami i
dotykali z dezaprobatą habitów, do których noszenia bez
względu na porę roku zmuszała ich funkcja, a przede wszyst-
kim Jerozolima. Najprawdopodobniej spostrzegli moją obec-
ność i w ten sposób pragnęli przesłać mi milczący, ale jakże
wymowny sygnał.

W kwestii przestrzegania Reguły byłem bowiem chyba
najsurowszym Kustoszem, jaki kiedykolwiek kierował tą
Franciszkańską Prowincją. W celi, w bibliotece czy przy pra-
cy na wykopaliskach albo w klasztorze dopuszczałem mak-
symalną dowolność. Koszulki, spodenki, swetry - czerwone,
szare, a nawet żółte. Ale w kościołach, podczas oficjalnych

uroczystości, a zwłaszcza w Bazylice Grobu Pańskiego, gdzie bracia odprawiali nabożeństwa dla pielgrzymów przybywających z całego świata, habit był obowiązkowy nawet przy czterdziestu stopniach.

Wyszedłem z gabinetu i udałem się na spotkanie z dwoma braćmi, którzy teraz przemierzali korytarz na drugim piętrze, znajdowali się więc tuż przed moimi drzwiami. Przywitałem się z nimi serdecznie. Mamrocząc jeszcze coś w akcie protestu, odpowiedzieli przez zaciśnięte zęby, a ich oczy spoczęły na mojej bawełnianej koszuli, dżinsach i tenisówkach. Mogłem wyjaśnić, że tak wygląda mój strój roboczy. Zamiast tego zawołałem:

- Pan was kocha, a waszą biblijną misją jest zwyciężać zło w każdej formie.

Skojarzyli chyba upał ze złem, bo ich zachowanie nagle uległo zmianie. Uśmiechnęli się do mnie szeroko, ich krok stał się lżejszy i szybszy. Odniosłem nawet wrażenie, że pogłaskali swoje habitę, ale pewnie mi się przywidziało. Oni zaś, kierując się w stronę swoich pokoi, rzucili w przelocie krótkie i ciekawskie spojrzenie - jak ktoś, kto pragnie przyrzec się niepostrzeżenie i dlatego rzuca się w oczy - na moje białe rękawiczki. W tej samej chwili opanowało mnie pragnienie, by przejść się po Jerozolimie i stawić czoło gorącu. Miałem ochotę popatrzeć i nasycić się odmiennymi niż zazwyczaj kolorami.

Wróciłem do gabinetu i wszedłem do prywatnej kaplicy - przywilej urzędu Kustosza - znajdującej się na parterze. Prowadziły do niej wąskie i długie spiralne schody, do których małe drzwi ukryte były za wielkim portretem świętego Franciszka, tuż za biurkiem. Po naciśnięciu przycisku w ramie Święty przemieszczał się na tyle, na ile było to konieczne, aby wpuścić nawet tak dobrze zbudowaną osobę jak ja.

Ukląkłem przed ołtarzem, długo modliłem się za moje dłonie, ofiarowując cierpienie Panu. Potem, podniesiony na duchu, wyszedłem na portyk, wykładany granitowymi nieco śliskimi płytami - prawdę powiedziawszy nie był wybitnym dziełem architektury - prowadzący do wielkiej i starej dębowej bramy, która oddzielała konwent od ulicy. Brama była uchylona. To mnie rozzłościło. Polecilem, aby ze względów bezpieczeństwa zawsze ją zamykano. Postanowiłem, że później skaręc gwardiana. Powoli szedłem w stronę Bramy Nowej z zamiarem dotarcia aż do Notre Dame i do położonego za nią Saint Louis - szpitala, gdzie leżał ojciec Vidigal, bibliotekarz Kustodii i mój bliski i serdeczny przyjaciel.

Wokół unosiła się woń aromatycznych sosów i mocno przyprawionego mięsa, które Przyjaciele ze Skały¹ podawali na obiad w swoich domach. Wnikał przez pory skóry, był przyjemny i dodawał otuchy. To była moja Jerozolima. Jej zapachy towarzyszyły mi nawet, kiedy spałem, i kołysały moje sny. Obrazowały życie i istotę Świętego Miasta.

Po drodze napotkałem tych samych ludzi co zawsze. Przypatrywałem się tym samym sklepom z opuszczonymi baldachimami po nasłonecznionej stronie i wyobrażałem sobie, że gdyby domy wraz ze swymi mieszkańcami nagle zawaliły się, wystarczyłaby jedna chrześcijańska, żydowska bądź muzułmańska modlitwa, aby powróciły takie jak przedtem, a może nawet nowsze i ładniejsze.

Kochałem wszystkie święte miejsca Jerozolimy, położone jedno obok drugiego, nierzadko wręcz w tym samym budynku. Wyprężone mimo wieków istnienia meczety, synagogi

¹ Przyjaciele ze Skały - Palestyńczycy. Kuzyni od Ściany - Izraelczycy [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

i kościoły mieszały się ze sobą, dezorientując wiernych. Być może właśnie w chwili, kiedy ja spacerowałem, ultraortodoksyjni Kuzyni od Ściany docierali tunelem wykopanym po wojnie z 1967 roku na północ od Muru Zachodniego do podziemnej celi z I wieku, pod dzielnicą mużulmańską, aby tam modlić się na klęczkach.

Nad nimi w tym samym momencie członkowie najwyższej rady Przyjaciół ze Skały rozprawiali nad prawem islamskim. A na parterze budynku położonego na obszarze Góry Syjon delegacja aszkenazyjczyków² z Nowego Yorku podziwiała wątpliwy grób Dawida, ze wzruszeniem wsłuchując się w śpiewy dzieci ze szkoły podstawowej na pierwszym piętrze. Zaledwie jedną rampę schodów wyżej współbrat oprowadzał grupę naszych wiernych po świętym pomieszczeniu Wieczernika. Jeszcze kilka stopni - i oto pojawiał się minaret.

Takie jest Święte Miasto, złota beczka wypełniona skorpionami, ale także miłością, życzliwością; miejsce spotkania ludzi posługujących się arabskim, łaciną, armeńskim, francuskim, hebrajskim, aramejskim, angielskim, rosyjskim, hiszpańskim i wieloma innymi językami. Miasto nadziei dla pobożnych pielgrzymów, którzy z czcią całują podłogę w meczetach na Wzgórzu Świątynnym, wylewają łzy przy Ścianie Płaczu, wspinają się na Kalwarię wewnątrz Bazyliki Grobu Pańskiego i dotykają z miłością skały, jak gdyby Jezus był tam, przybity do Krzyża. To oni, od zawsze, byli prawdziwymi bohaterami Jerozolimy, bez względu na to, w jakim języku się modlili.

² Aszkenazyjczycy - Żydzi aszkenazyjscy: określenie odnoszące się do Żydów zamieszkujących Europę Środkowo-Wschodnią i częściowo Zachodnią, a także Amerykę. Od sefardyjczyków różnią się między innymi językiem (jidysz) i rytuałem.

Przeszywające klucie w rękach sprawiło, że wróciłem do rzeczywistości. Bolało coraz bardziej. Miałem wrażenie, że ból promieniuje od ramion i przenika do żył, skóry, a nawet włosów na piersi.

Ręce były ociężałe i poruszały się niezależnie od mojej woli, przyjmując nienaturalne pozycje, raz zginając się, innym razem wyprężając, zawsze napięte i sztywne, jak gdyby zamrożone, ale palące od środka. Kiedy napadały mnie te „kaprysy”, jak je zwałem, zamykałem się w gabinecie albo w sypialni.

Jako Kustosze odpowiedzialny za wspólnotę franciszkańską, za Sanktuarium Grobu Pańskiego, a przynajmniej tej części, która dotyczyła nas, katolików, oraz za inne miejsca kultu od Betlejem po Nazaret, Kafarnaum i górę Nebo, nie mogłem i zresztą nie chciałem ukazać fizycznej słabości.

Powtarzałem sobie, że cierpię na jakąś formę artretyzmu wywołaną przez tak powszechną na Ziemi Świętej wilgoć, pot, skoki temperatur. Albo, prawdopodobnie, nadwreżyłem mięśnie podczas różnych wykopalisk, jakie od czterdziestu lat prowadziłem. Zaraz potem jednak dochodziłem do wniosku, że w dniu wyboru, czyli przed trzydziestu miesiącami przestałem być aktywnym archeologiem. I szeptałem do siebie z troską, że być może moje kłopoty ze zdrowiem są bardziej złożonej natury.

Palce były rozmiękłe, jak gdyby przez długi czas moczyły się w wodzie, a ponadto wydawały nieprzyjemny zapach. Smarowałem je maściami, dotychczas wypróbowałem sześciu różnych, ale żadna nie przyniosła mi większej ulgi.

Leczący mnie od dwóch miesięcy dermatolog, melchita³ z Betlejem, mający gabinet kilka kroków od Patriarchatu

³ Melchici - katolicy w krajach arabskich, utrzymujący własny obrządek, od soboru we Florencji w 1439 roku pozostający w częściowej unii z Rzymem.

Łacińskiego w dzielnicy chrześcijańskiej, przekonany był, że chodzi o jakąś rzadką grzybicę, która zainfekowała moje dłonie. Wbrew moim opiniom wykluczał jakąkolwiek formę reumatyzmu. Ale nie znalazł rozwiązania. Powiedział raz żartem, że pewnie jakiś faraon ukarał mnie za to, że zakłóciłem jego tysiącletni spoczynek.

Odpowiedziałem, że jego hipotezę uważam za absurdalną, nie pamiętam bowiem, aby faraonowie dotarli do obszarów góry Nebo, gdzie prowadziłem wykopaliska i gdzie według Biblii został pochowany Mojżesz. Umarł, mając wcześniej okazję podziwiać z tego wspaniałego i wysoko położonego miejsca całą Ziemię Obiecaną.

On odrzekł z powagą, że dziwi go moja ignorancja. I przypomniał, że Mojżesz był synem faraona, a przynajmniej istnieje taka możliwość. Dlatego być może moje ręce padły ofiarą klątwy Wielkiego Przywódcy, który - niezadowolony ze zbyt wielkiej ilości pielgrzymów niepokojących jego sanktuarium na Nebo - zemścił się, uznając mnie za odpowiedzialnego za całe zamieszanie i za niezdolnego stanąć na straży ciszy i spokoju.

Odparłem, że w moim przekonaniu Mojżesz został pochowany całkiem gdzie indziej, a zatem dotknęła mnie zwykła choroba i jako taką należało ją leczyć, bez żadnych czarnoksiężskich sztuczek.

Pomimo sześciu zastosowanych maści - a miałem koniecznie wypróbować siódmą, jak tylko zostanie sprowadzona ze Szwajcarii - dłonie stawały się bezużyteczne. I niemiłe w oglądaniu. Prawy palec wskazujący był ciemny, niemalże brązowy, w kolorze nierafinowanego cukru. I był równie rozmiękły. Biały cukier, kiedy wsypuje się go do kawy, jest zbity i spływa w dół przez całą filiżankę. Cukier nierafinowany natomiast przyklepia się do łyżeczki, a na koniec opada na

dno, przebywszy niejako wbrew woli czarny, ciepły i aromatyczny płyn.

Moje palce niestety nie pachniały. Ich smród przypominał coś zepsutego, jak gdyby moja krew gniła.

Z takimi myślami wróciłem do konwentu Najświętszego Zbawiciela. Upał był nie do zniesienia nawet dla mnie, chociaż przywykłem do palącego pustynnego słońca. Nie skarciłem brata gwardiana, poszedłem prosto do gabinetu, usiadłem za biurkiem i przejrzałem dokumenty czekające na mój podpis. Nic ważnego. Przeniesienie jakiegoś brata na Cypr, nabycie określonej liczby naczyń stołowych do refektarza w klasztorze w Nazarecie i inne tego rodzaju biurokratyczne pisma.

Byłem naprawdę zaniepokojony moim zdrowiem. Dlatego postanowiłem poddać dłonie próbie, aby sprawdzić, czy są jeszcze zdolne zanurzyć się w ziemię i odnaleźć mozaiki, które uczyniły mnie światowej sławy archeologiem.

Nałożyłem płócienną militarną kurtkę, którą zawsze miałem na sobie, gdy wybierałem się na wykopaliska, i zdejmowałem dopiero, gdy miałem wziąć do rąk kielnię, którą delikatnie wydobywałem mozaikę z głębin ziemi. Kielnię wsunąłem do prawej kieszeni. Pomyślałem, że to dobry znak.

Wyszedłem na dziedziniec i skierowałem się do garażu, który wychodził prosto na Bramę Nową. Wsiadłem do mojego Land Rovera i zapaliłem silnik. Prowadziłem z trudnością: ledwo byłem w stanie utrzymać kierownicę, zacisnąłem jednak zęby. Dotarłem do Bramy Damasceńskiej, gdzie skręciłem w prawo, w ulicę Hatzanhanim biegnącą wzdłuż murów Starego Miasta. Za Bramą Heroda ulicą Sulejmana dojechałem aż do Getsemani, potem skierowałem się w górę Cedronu i przejechałem między Górą Oliwną a Górą Sanda-

łową w miejscu zwanym Ras al-'Amud. Znalazłem się na drodze, która biegnąc pośród Gór Judzkich, schodziła ku granicy z Jordanią. Na moście Allenby, nad rzeką Jordan, na rogatkach Kuzynów od Śiany napotkałem młodych żołnierzy, nadzwyczaj uprzejmych. Szybki rzut okiem na dokumenty, uśmiech i natychmiast znalazłem się po drugiej stronie, bez zwyczajowego i uciążliwego czekania, które w przeszłości nierzadko zmuszało mnie do nie tylko werbalnego starcia z niektórymi strażnikami.

Chciałem znaleźć miejsce, gdzie mógłbym pokopać i gdzie przede wszystkim nie zostałbym rozpoznany. Samochódjechał teraz wzdłuż szpaleru akacji, rzucających złudny cień na spalony asfalt. Za drzewami, po obydwu stronach rozciągała się falista powierzchnia pustyni, a przynajmniej takie sprawiała wrażenie, gdyż letnie upały zniszczyły jedną po drugiej plamy zieleni, jakie na wiosnę obdarzyły ten obszar życiem. Teren przerywały gdzieniegdzie domki o płaskich dachach, wyglądające na porzucone. Land Rover toczył się drogą przypominającą rozwiniętą taśmę, aż dojechałem do rozdroża. Po prawej stronie zobaczyłem srebrzysty blask Morza Martwego, który mnie roztkliwił. Skręciłem w lewo i skierowałem się ku miejscu chrztu Jezusa, nad Jordan, na obszarze Betanii.

Jest to miejscowość, gdzie Jan Chrzciciel nauczał i chrzcił w latach, kiedy wypełniał swoją misję. Jerycho znajdowało się nieco w oddali, na zachód rzeki. A pięć kilometrów od Morza Martwego położone było wzgórze zwane Hebronem, z którego prorok Eliasza został wzięty do nieba na ognistym wozie.

W czasach Jana Chrzciciela około godziny siódmej rano nad Jordanem wznosiła się chmura. Deszcz, jaki z niej padał, miał cudowne właściwości: chorzy obmywali się w jego

wodzie, która przynosiła im ulgę. Pomyślałem, że może i moją chorobę da się w ten sposób wyleczyć. Niestety, nie widziałem żadnej chmury, która zajęłaby się moim zdrowiem.

Do Betanii nie jeździłem od ładnych kilku lat, dokładnie od Jubileuszu, kiedy Jan Paweł II odwiedził górę Nebo, a potem zechciał, abym towarzyszył mu w drodze nad Jordan. Tutaj, w miejscu kultu, gdzie historyczne świadectwa pielgrzymów podają, iż Jezus zanurzył się w wodzie, aby przyjąć chrzest, ogarnęło go wzruszenie i zatopił się na modlitwie.

Pomyślałem, że to chyba dobry znak, że postępuję jak Maria Egipska, która idąc za głosem wzywającym ją do udania się nad Jordan, by tam odnaleźć pokój po nagłym nawróceniu przed Grobem Pańskim i odwróceniu się od rozwiązłego życia, wyszła przez wschodnią bramę Jerozolimy i podażyła drogą w kierunku świętego biegu wody. Kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, odkryła kościół Jana Chrzciciela, weszła do niego, by adorować Jezusa, przyjęła komunię, a potem zeszła nad rzekę, obmyła ręce i twarz i zaspokoila pragnienie. Pożywiła się praśnym chlebem, a w końcu zasnęła przy brzegu, pośród trzcin. O świcie wróciła do Jerozolimy przepelniona radością i pokojem.

Ja też poszukałem miejsca, gdzie mógłbym spędzić noc i zjeść samotnie posiłek. Postanowiłem, że następnego ranka, zamiast zanurzyć dłonie w ziemi, zanurzę je w Jordanie, w miejscu wymienionym przez Jana Ewangelistę, gdzie Jan Chrzciciel, zaprzeczając przed delegacją wysłaną z Jerozolimy, jakoby to on był Mesjaszem, przedstawił swoim prześladowcom Jezusa jako Baranka Bożego.

Samochód jeszcze przez dwa kilometry toczył się po bezludnej drodze, dopóki po prawej stronie nie pojawił się mały

budynek z arabskim napisem, który oznaczał „hotel nadziei”. Wyglądał na nowy. Wydał mi się miejscem najbardziej stosownym do stanu psychicznego, w jakim właśnie się znajdowałem. Zahamowałem, rozejrzałem się i zrozumiałem, że się zgubiłem. Rzecz jasna znajdowałem się gdzieś w okolicy Betanii, w pobliżu Wadi al’Kaddara i wioski Al-Kafajn. Ale w punkcie, którego nie znałem i w którym dotychczas nie byłem.

Uświadomiłem sobie wtedy, że około kilometra wcześniej, automatycznie, jak gdybym znał kierunek albo jakby coś pchało mnie w te strony, skręciłem w lewo i wjechałem w wąską dróżkę, zamiast jechać dalej po asfaltowej drodze. W ten sposób znalazłem hotelik, który odpowiadał moim pragnieniom.

Zjechałem na prawo, aby umożliwić przejazd ewentualnym innym samochodom, chociaż nie wyglądało, aby miał się tu zrobić duży ruch. Wysiadłem i zamiast wejść do hotelu, poszedłem kawałek dalej. Chciałem zobaczyć, gdzie skręca ścieżka. Pełno na niej było kamieni, a po obydwu stronach rosły nieznane mi gatunki krzewów. Miałka i pylista ziemia zakurzyła dżinsy, płócienne buty i brązowe gumowe podszwy. Po dwustu metrach krzaki się skończyły, droga też.

Ku mojemu zaskoczeniu na skraju stało kilku robotników i patrzyło w dół. Zciekawiony podszedłem bez słowa i przyłączyłem się do grupki. Obiektem zainteresowania był wielki dół. Jakies trzydzieści metrów poniżej zauważyłem duże wejście, prowadzące chyba do jaskini. Zejście nie było strome, stanowiło w pewnym sensie przedłużenie ścieżki. Samo miejsce nie wydało mi się szczególnie atrakcyjne, wróciłem więc do „hotelu nadziei”.

Teraz, kiedy przyglądałem mu się z bliska, nie wyglądał już na nowy. Przed wejściem rozciągał się mały placyk,

a z prawej i lewej strony ogród z rabatami, w których rosły niezbyt bujne sukulenty. Za rabatami był mur, który wyglądał na postawiony w pośpiechu i chyba przez przypadek. Wyszedł do mnie Beduin, być może portier, i wskazując na niego, wyjaśnił z dumą:

- Chroni przed izraelskimi szpiegami.

- Ale nie przed komarami - odrzekłem, gdyż zdążyłem już usłyszeć brzęczenie i poczuć dokuczliwe muśnięcie skrzydełek na twarzy i w okolicach uszu, które zazwyczaj poprzedza ukąszenie.

- To prawda. Ale proszę poczekać, aż zobaczy pan moskitierę w swoim apartamencie. To prawdziwy cud.

Chociaż wcale nie wspomniałem, że mam zamiar wynająć pokój, szepnął z szacunkiem, że to minimum, jakie może zaoferować takiemu klientowi jak ja. Pomyślałem, że może mnie rozpoznał.

Kiedy stanąłem przed moskitierą z białej przezroczystej tkaniny, chroniącej łóżko przed komarami, przyznałem, że pokój jest ładny, chociaż na parterze. Beduin odrzekł, że hotel ma na razie skromną strukturę, ale zostanie rozbudowany, ponieważ w przyszłości przewidywany jest znaczny rozwój okolicy. Potem zawołał dumnie:

- Łazienka jest cała w marmurach!

- A woda jest? - spytałem z lekką ironią.

Spojrzał zaniepokojony. Przeprósł na chwilę. Zapomniał sprawdzić krany. Odkręcił ten nad umywalką. Z rur wyciekła wąską brązowa stróżka.

- Pewnie rury są zapchane, ale to chwilowy problem - stwierdził tonem, w którym pobrzmiwał wymuszony optymizm. I z usługną sympatią spytał, co życzę sobie na kolację.

- Nic - odpowiedziałem.

Spojrzał zdziwiony i lekko rozczarowany. Wychodząc z pokoju, pożegnał mnie z szacunkiem.

Postanowiłem, że będę pościł. Od czasu do czasu odmawiałem sobie posiłku. A to była wyjątkowa okazja. Pragnąłem zadać sobie jakąś pokutę. W ten sposób pójdę lżejszy na poranne spotkanie moich dłoni z wodą Jezusa.

Szkielety z Betanii

To prawda, że moskitiera chroniła przed komarami, mimo to około drugiej w nocy obudziłem się z uczuciem pieczenia w nogach, co jest normalnym preludium nadchodzącej walki z armią pluskiew. Zapaliłem światło i z niedowierzaniem przypatrywałem się, jak pierzchają w popłochu. Nie widziałem jeszcze tylu robaków na raz. Cała horda wszelakiego rozmiaru i koloru, od starych samic, poprzez spalone okazy młodych samców, po agresywne dorastające samice.

Uwaga skoncentrowana na insektach przegoniła sen: całą duszną noc spędziłem przy zapalonym świetle, gotowy zgnieść każdą pluskwę, która odważyłaby się wychylić ze szpar drewnianej nadbudowy, do jakiej przybito moskitierę.

Wstałem wcześniej, bardziej rozbawiony niż zdenerwowany. Przemyłem twarz w odrobinie szarej i zakurzonej wody. Nawet nie spojrzałem na ręce, na których ciągle miałem rękawiczki. Odniosłem wrażenie, że ból nieco zelżał.

Portier - jak go nazwałem - czekał na mnie z ciepłą beduińską kawą. Na szczęście była dobra, a pytanie, jak spałem, przemilczałem. Poprosiłem o rachunek. Odrzekł, że Mag wydał mu polecenie, aby nie przyjmował ode mnie żadnych pieniędzy. Chciał mnie za to widzieć.

- O tej porze? - spytałem.

Nie odpowiedział. Spojrzał tylko błagalnym wzrokiem, jak gdyby od mojego spotkania z tym typem zależało jego życie, a przede wszystkim utrzymanie miejsca pracy. Dodał prosząco:

- Niech mu pan nie mówi, że nie jadł pan kolacji. To go rozgniewa.

- Kim jest Mag?

- Magiem - odrzekł poważnie i z szacunkiem.

Ponieważ odpowiedź była wymijająca, stwierdziłem, że nie ma sensu nalegać. Ogarnęła mnie ciekawość. Beduin poprosił, abym poszedł za nim.

Otworzył drzwi wychodzące na tyły hotelu. Przeszliśmy przez rozległy ogród, w którym ktoś uprawiał pomidory, sałatę i cukinie. Było też kilka drzew oliwnych i ze dwie brzoskwinie. Nie dostrzegłem natomiast źródła wody. Zastanowiło mnie, jakim cudem to wszystko rośnie. Ogród otaczał drewniany płot. Mniej więcej pośrodku ogrodzenia znajdowała się furtka, na której ktoś pędzlem niezdarnie napisał po arabsku: WSTĘP WZBRONIONY.

Beduin, którego zakaz najwyraźniej nie dotyczył, pomajstrował przy czymś, co służyło bardziej podtrzymywaniu furtki niż jej zamykaniu, i odchylił ją na tyle, abym mógł przejść. Znalazłem się na kamienistym i pełnym plastikowych toreb podwórzu, po którym kręciły się trzy chude i kulejące kozy, grzebiące między pustymi słoikami i kupkami śmieci. Kiedy przechodziliśmy koło nich, popatrzyły na nas i zabczały, jak gdyby chciały nam zakomunikować, że popas jest niewystarczający, a w związku z tym także ich mleko nie będzie dobre.

- Precz mi z drogi, bydlaki - krzykną na nie mój przewodnik.

- Niech ich pan tak źle nie traktuje - odezwałem się.
- Nie ufam kozom - odrzekł głosem człowieka, który stoi przed stadem wilków i musi znaleźć sposób, aby go nie pożarły.
- Nic panu nie zrobią - zapewniłem. - Kozy mogą połknąć niemalże wszystko. Ale nie sądzę, aby to zwierzę chciało zjeść pana, nawet jeśli od miesięcy zmuszone jest żywić się odpadkami.

Beduin wzruszył ramionami. Doszliśmy do miejsca, gdzie przypuszczalnie mieszkał Mag. Przede mną, na wilgotnej i pozbawionej roślinności ziemi leżała duża sterta starych i przeżartych kornikami belek, kawałków falowanej blachy, wiązek trzciny, kartonów, bezużytecznych nadwozi. A także autobus z lat czterdziestych, prawdziwy zabytek, oraz znacznie młodszy dach kiosku. To wszystko piętrzyło się wokół drewnianego domu wziętego prosto z *Przeminęło z wiatrem*. Żeby nie było wątpliwości: nie willi Scarlett O'Hary, lecz raczej baraków, w których spali niewolnicy.

Wnętrze było jeszcze bardziej zróżnicowane. W pokoju, który z pewnością służył za salon, o podłodze z drewnianych i raczej niespójnych desek i ścianach z dykty, przy jedynym stole siedział gruby mężczyzna. Skinął na mnie, abym usiadł naprzeciwko na rozchybotanym krześle. Przypominał postacie z dziewiętnastowiecznych rysunków brytyjskich. Albo z ilustracji gazet publikujących powieści Dickensa w odcinkach. Nie mógł ważyć mniej niż sto dwadzieścia kilo, może nawet sto trzydzieści.

Ta zwałista góra mięsa czytała w świetle lampki oliwnej rozłożone karty tarota. Belki, z trudem podtrzymujące coś na kształt dachu, obsadzone były niewiarygodną liczbą gołębi. Wspomnienie *Ptaków* Hitchcocka wzbudziło we mnie lęk.

Nad głową Maga, przymocowany stalową linką do belki, zwisał wypchany krokodyl bez ogona. Na innej belce zawieszono kołyskę, w której płakało, a właściwie darło się wniebogłose dziecko, i nie bez powodu, gdyż kilka centymetrów od jego buzi znajdował się indyk, który po linie przytrzymującej kołyskę do belki starał się zejść na podłogę i wydostać się z baraku, chyba po to, aby zaczerpnąć świeżego powietrza. Trafił tam pewnie przez pomyłkę i wyglądał na bardziej przestraszonego od niemowlęcia.

Beduin wszedł na krzesło i zepchnął biedne zwierzę, które po upadku pędem ruszyło ku otwartym drzwiom, wydostając się wreszcie na zewnątrz. Ale na tym jego nieszczęścia się nie kończyły. Wymizerowany i wygłodniały kot, który od nie wiadomo jak długiego czasu czyhał na błędne posunięcie ptaka, pobiegł za nim, miauczając okrutnie.

Przyjrzałem się uważnie podłodze, który była naprawdę brudna. Na ścianach przylepiono wycinki z egipskich i syryjskich gazet, sugerując niejako preferencje narodowościowe Maga. Na najwyższej z czterech półek zawieszonych naprzeciwko stołu dojrzałem rząd ciemnoniebieskich butelek. Na każdej przylepiono pustą etykietę. Poniżej stało naczynie z niedożywionymi czerwonymi rybkami. Na trzeciej półce od góry - klatka z przeraźliwie chudymi chomikami indyjskimi, a na ostatniej leżał fez⁴.

Zza przymkniętych drzwi, prowadzących prawdopodobnie do kuchni, zobaczyłem odzianego w łachmany chłopca i kobietę beduińską, chudą i ciemnoskórą. Oboje stali nad palącym się piecem, mieszając coś w wielkim garze, pewnie pełnym wody. Na koniec uświadomiłem sobie, że w tym domu

⁴ Fez - czapka z czerwonego filcu, wyglądająca jak ścięty stożek, z czarnym frędzlem.

mieszka również liczna rodzina pcheł, niektóre upodobały sobie bowiem moje kostki.

Szejk Abu Salaf, jak sam się przedstawił przenikliwym i chrapliwym głosem, zwany był Magiem, nie wyjaśnił jednak dlaczego, i należał do sunnickiej⁵ wspólnoty Jerozolimy, która uciekła z Jordanii w czasach tego, co sam nazwał izraelską inwazją roku 48. Jeśli zaś chodzi o rolę szejka - uśmiechnął się porozumiewawczo - należała mu się z racji prestiżowego stanowiska.

Powiedział z dumą, że zna się na horoskopach, że tarot nie ma przed nim tajemnic i że potrafi również czytać z ręki i odgadywać losy rozmówców z dna filiżanki po kawie.

Do zwyczajowego repertorium magów dodał także wyłącznie osobiste zdolności, czyli umiejętność przepowiadania przyszłości poprzez obserwację tego, jak kogut dziobie ziarna i której łapy, prawej czy lewej, przedniej czy tylnej kot używa, aby kopać ziemię, w której skrywa swoje odchody.

Umiał także przywoływać duchy, odczytywać sny, zdejmować klątwy, wyliczyć liczbę kochanków kobiety na podstawie długość jej paznokci i bogactw mężczyzny, obserwując wyraz twarzy.

Poprosił, a w zasadzie rozkazał, abym pokazał mu dłonie. Zaskoczył mnie, posłuchałem więc automatycznie: zdjąłem rękawiczki i jego błyszczącym i czarnym oczom ukazałem ręce z ciemnymi, miękkimi, wydającymi nieprzyjemny zapach i prawie martwymi palcami.

Z grubej twarzy wypłynęło wiele słów, przypominających parskanie. Nigdy czegoś takiego nie widział, a poznał

⁵ Sunnici - główne ugrupowanie w islamie (ok. 90% wyznawców), przeciwne szyitom. Szyici - nazwa określająca muzułmanów należących do różnych ugrupowań w opozycji do sunnitów.

wiele chorób i równie wiele uleczył. Zawyrokował, że muszę prędko poddać się badaniu krwi.

Potem ta góra mięsa zaklaskała w dłonie, co wywołało cudowny efekt. Dziecko przestało płakać. Gołębie znieruchomiały i ucichły. Jedynie chuda kobieta i pomagający jej chłopiec nadal gotowali, nie wydając jednak żadnego dźwięku. Zadowolony Mag znowu przemówił:

- Wierzę przede wszystkim we własny spryt. Chociaż szanuję i podziwiam wrażliwość rasy ludzkiej, nie považam jej inteligencji. Człowiek od zawsze uważał, że szybciej, łatwiej i lepiej jest prowadzić wojny, niż nauczyć się tabliczki Pitagorasa. Może kawy?

Nie czekając na odpowiedź, polecił Omarowi, stojącemu w ukryciu pod półką z fezem - wreszcie dowiedziałem się, jak ma na imię Beduin-portier - aby ją przygotował. Wolałem nie myśleć o wodzie, której użyje. Natychmiast jednak pojawiła się chuda kobieta z żółtawą parującą filizanką. Nie wiedziałem, jakim cudem tak szybko ją przygotowała i skąd ją wzięła, wyprzedzając Omara.

Mag zwrócił się do mnie ujmująco:

- Kawa jest wyśmienita. Proszę pić.

Odebrałem to jako polecenie, które wykonałem. Przyznałem mu głośno rację.

Spytał, czy dobrze spałem. I nie dając mi czasu na odpowiedź, dodał:

- To była kiedyś brudna rudera, bez łazienek. A teraz stała się klejnotem. Lampy - mam nadzieję, że zostały zauważone - sprowadziłem z Damaszku. *A propos*, to wyjątkowa kawa. Ojciec Matteo, jeśli ojciec sobie życzy, mogę zdradzić, jak ją przyrządzić.

Byłem zaskoczony.

- Wie pan, kim jestem?

- Sława ojca dorównuje mojej! - zawołał i zaniósł się czkającym śmiechem.

Przeraziłem się, że zaraz się udusi. Dźwięk, jaki wydawał, przypominał połączenie gdakania kury z beczeniem owcy. Kiedy się uspokoił, wyjaśnił, że rozbawił go wyraz mojej twarzy w chwili, gdy wypowiedział moje imię:

- Czyż nie jestem Magiem?

I sam sobie odpowiedział:

- Jestem najlepszym Magiem na Bliskim Wschodzie.

Po tych słowach spoważniał i wskazał na moje ręce:

- Ojciec Matteo, powtórzę jeszcze raz, że w ogóle mi się to nie podoba. Proszę iść do dobrego lekarza. Nie sądzę, aby moja magia mogła pomóc. Proszę poważnie potraktować leczenie, gdyż ręce wydają zły zapach, a to niedobrze.

Zamilkł na chwilę. Potem spytał:

- Po co ojciec przybył w te strony?

- Na małą przejażdżkę - odpowiedziałem.

- Tutaj? - nie wierzył.

- Tak - potwierdziłem stanowczo.

- I nie boli ojca, kiedy prowadzi ojciec Land Rovera? To ciężki i mało zwrotny samochód. A ojca ręce są prawie do niczego.

Wykrzywiłem się, co mogło wszystko oznaczać. Ale ponieważ nie chciałem wyjaśniać prawdziwej przyczyny podróży, wzruszyłem ramionami i nic nie dodałem. Mag poradził, abym nałożył znowu rękawiczki. Dotarło do mnie, że siedziałem przed nim z gołymi dłońmi, jak gdybym ufał w jego magię czy też rady. Uznałem, że wizyta dobiegła końca. On chwycił mnie delikatnie za prawe ramię:

- Ojciec Matteo - rzekł ponuro - jestem ojca Opatrznością. Moim przeznaczeniem było, żeby ojciec przyjechał do mnie. Pragnę zatem wykorzystać tak ważną okazję, aby po prosić ojca o radę natury archeologicznej.

Wstał i poprosił, abym poszedł za nim. Był wysoki, miał około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, i niewiarygodnie zwinny jak na swoją posturę. Zauważyłem, że kroczy, kiwając się, przenosząc ciężar ciała z prawej strony na lewą i odwrotnie. Jak gdyby to pomagało mu go zrównoważyć i zmniejszyć wysiłek. Miał na sobie biały burnus poplamiony potem i czymś jeszcze, ale nie roznosił nieprzyjemnego zapachu. Co więcej, pachniał konwaliami albo czymś podobnym. Proste i lśniąco włosy służyły w nieładzie na ramiona.

Wyczułem falę sympatii, zrozumienia i niejako opieki, która dodała mi otuchy. Przez około dziesięć minut szliśmy na przelaj, po ziemi porośniętej niskimi trawami, gdyż nie było żadnej ścieżki. Dotarliśmy pod wzgórze.

- Jest moje! - Mag krzyknął do mnie z zadowoleniem. Potem poprawił się:

- Tylko jedno zbocze, to, które ojciec widzi. Wzgórze należy do grupy, której jestem członkiem. Drugie wy zwiecie wzgórzem Eliasza. Bo, jak się wydaje, stamtąd prorok wstąpił do nieba. A tu na dole, proszę spojrzeć, płynie wartki strumień, też nasz, wpada do Jordanu. Podziemna żyła dociera do ogrodu przy hotelu. Woda jest chłodna i dobrze smakuje.

Strumień przypominał mi raczej śmierdzący ściek, ale nie odważyłem się zaprzeczyć. Uświadomiłem sobie, że zrobiliśmy małe koło i staliśmy teraz niedaleko tego, co wczoraj uznałem za dół. Znajdowaliśmy się poniżej miejsca, w którym poprzedniego dnia spotkałem robotników, nie widziałem więc nikogo. Nie zauważyłem wcześniej, że dół wcinął się w bok wzgórza. Moje roztargnienie przypisałem bólowi dłoni. Staliśmy przed nieregularnym i dużym otworem, który wyglądał jak tunel prowadzący do jaskini. Weszliśmy. Mag powiedział z dumą:

- Chcemy naprzeciw wybudować wielki hotel. Jeśli okolica się rozwinie, zaczną przybywać tu pielgrzymi i turyści, żeby zobaczyć miejsce chrztu waszego Jezusa, grootę, gdzie mieszkał Jan Chrzciciel, grootę proroka Eliasza i wielu innych pustelników. Jesteśmy w stanie zagwarantować miły pobyt. Zna ojciec Disneyland?

Zabrzmiało niepokojąco, ale nie wyraziłem tego na głos. Mag dodał:

- Ale wydarzyło się coś nieprzewidzianego. Proszę za mną.

Za wejściem znajdowały się naturalne stopnie. Naliczyłem ich piętnaście. Mag poszedł przodem. Kiedy schodziłem, ogarnęło mnie dziwne wrażenie, którego doświadczałem zawsze, gdy miałem coś odkryć. A poza tym czułem radość. Jakieś dwadzieścia metrów dalej stanęliśmy w bardzo wysokiej jaskini, oświetlonej przez liczne lampy elektryczne, które Mag zapalił jednym przełącznikiem. Na ścianie, po mojej lewej stronie, niedaleko od wejścia, wisiały szkielety. Policzyłem je, było ich dwanaście.

- To właśnie chciałem ojcu pokazać - powiedział Mag. - Moi robotnicy nie chcą dalej prowadzić prac. Trzeba pogłębić dół pod fundamenty, oni jednak twierdzą, że to przeklęte miejsce i że moje czary nie mogą tu niczego zdziałać. Co ojciec myśli o tych panach, którzy moim zdaniem nie żyją od ładnych paru lat?

Scena była tak zaskakująca, że nie odczuwałem nawet grozy, jedynie ciekawość.

- Zauważył ojciec żelazne obroże na ich szyjach?

Podszedł do jednego ze szkieletów i delikatnie zdjął obroże, otwierając ze znajomością rzeczy - jak gdyby nie po raz pierwszy to robił - małe ukryte zapięcie. Zwrócił się do mnie:

- Już ją oglądałem, potem odłożyłem na miejsce, między kości, bo do żadnego wniosku nie doszedłem. Ojca przyjazd jest niezwykle ważny. Proszę to zabrać i zbadać.

Włożył obrożę do plastikowego worka, zawiązał gumką i podał. Włożyłem go do kieszeni.

- Proszę mi pomóc, ojciec Matteo, bo nie mogę dalej prowadzić prac. Moi robotnicy są przesądni i boją się duchów. I chociaż jestem Magiem, nie czują się bezpiecznie!

- To straszne pochować kogoś żywcem - zauważyłem.

- Musiało do tego dojść dawno temu. - wymamrotał i dodał - Coś już odkryłeś, Matteo? A zatem byli żywi?

Przeszedł na „ty”, nie prosząc mnie nawet o pozwolenie. Odpowiedziałem, że szkielety są zakurzone, a obroże zardzewiały.

- Nawet najodważniejszego człowieka ciarki przechodzą - ciągnął dalej Mag. - Problem w tym, że tracę wielki interes. Musisz mi pomóc. Znajdę sposób, żeby ci się odwdzińczyć. Matteo, musisz wyjaśnić, skąd wzięły się te kupki kości, i dodać odwagi moim robotnikom.

Odprowadził mnie do samochodu, wspinając się po zbozczu, a potem prowadząc po zakurzonej ścieżce prosto do hotelu. Kiedy zapuszczałem silnik Land Rovera, powiedział:

- Matteo, pamięć każdego człowieka gromadzi wspomnienia, o których nie pamiętamy. Czy w twojej pamięci jest coś, co mogłoby mi pomóc zrozumieć, do kogo należą szkielety i dlaczego tutaj się znalazły?

Poufność, z jaką mnie traktował, nie denerwowała mnie. Mag był sympatyczny, ale nie uznałem za konieczne zajmowania się szkieletami. To był jego problem, a ja miałem swoje. Jednak nie powiedziałem mu tego. Chciałem uniknąć dyskusji. Teraz wreszcie mogłem udać się w miejsce chrztu Jezusa.

Prowadziłem z wielką uwagą i zrozumiałem, gdzie pomyliłem drogę i w jaki sposób pojechałem w przeciwną stronę, trafiając w okolice położone na tyłach obszaru archeologicznego, który znałem. Z trudem utrzymywałem kierownicę. Dłonie i ręce bardzo mnie bolały. Przejechałem obok prawosławnego monasteru, a potem skręciłem w prawo, do Parku Chrztu. Dojechałem na plac, gdzie zostawiłem samochód. Stały tam jeszcze dwa inne. Przeszedłem na mniejszy plac, na którym parkował ośmioosobowy bus. Jego kierowca najwyraźniej czekał na zwiedzających. Na szczęście byłem tylko ja. Wsiadłem, wręczyłem mu pięć dolarów, on zapalił silnik.

Droga wiała się między pagórkami, które kiedyś były fortyfikacjami. Kierowca wysadził mnie naprzeciwko szuwarów i poinformował, że zwiedzanie trwa pół godziny. Poczekaj na mnie tutaj. Przeszedłem przez szuwały i dotarłem do małego drewnianego pomostu leżącego między niezbyt bujnymi krzewami. Jakiś metr pod nim płynęła rzeka. Woda wyglądała na mulistą. W czasach Jezusa bez wątpienia była bardziej przejrzysta. Rozejrzałem się. Nikogo nie dostrzegłem. Zdjąłem rękawiczki i zanurzyłem w niej ręce. Odczułem ulgę. Wyciągnąłem je z rzeki po około dziesięciu minutach, delikatnie wytarłem bawełnianą chustką, którą zawsze nosiłem przy sobie. Nałożyłem rękawiczki i wróciłem do busa, który przewiózł mnie na parking. Wsiadłem do Land Rovera i skierowałem się w drogę powrotną do Jerozolimy.

Po lewej stronie miałem Morze Martwe, którego nieruchomość jak zwykle napełniła mnie otuchą. Kiedy droga zaczęła piąć się w góry Judy, postanowiłem nie myśleć o dłoniach. Wszystko, co oglądałem, dodawało mi pewności. Osiedla Beduinów, ich czarne namioty, pasące się owce, mijane samochody.

Zacisnąłem zęby - ból znowu się nasilił. Ręce stały się ociężałe, nie potrafiłem znaleźć takiego oparcia na kierownicy, które zmniejszyłoby cierpienie. Czułem, jakby jakiś ciężki płyn, tak ciężki jak rtęć, przenikał je powoli, zamieniając w stalaktyty, z centralnym trzonem, który jednak poruszał się od czasu do czasu, pracując na zewnątrz. Wywoływało to ogromny ból, który mnie przerażał. Bałem się, że lada chwila ręce eksplodują. Zagryzłem wargi, żeby nie jęczeć.

Już nie będę mógł kopać. Jakakolwiek próba byłaby śmieszna. Do oczu napłynęły łzy. Zawolałem głośno:

- Jezu, Twoja miłość rozwiąże moje problemy!

Pomyślałem, że gdyby słońce było większe, to oceany byłyby cieplejsze, a pokrywa lodowa mniejsza. I nie byłoby życia. Ani śmierci. Natomiast cudowna równowaga wytworzyła naturę taką, jaką znamy, z czasem, snami, obecnością, przyszłością.

Czy moje cierpienie przynależało do tej równowagi? Czy ofiara z moich dłoni była potrzebna Bogu?

Problemy Muhammada

Kiedy dojechałem do Najświętszego Zbawiciela, uświadomiłem sobie, że od dawna nie miałem niczego w ustach. Mimo to nie chciało mi się jeść, co nie było wcale dobre dla mojego zdrowia. Na podeście na pierwszym piętrze spotkałem braci wychodzących po śniadaniu z refektarza. Nie miałem ochoty na rozmowę. Ból w dłoniach i w ramionach nie ustępował, wysiliłem się, aby wyglądać normalnie. Wiedziałem, że jedno słowo za dużo, nawet całkiem niewinne, zdenerwuje mnie. Przywitałem się z wymuszonym uśmiechem, licząc, że nikt nie zauważy, jaki był mój faktyczny stan ducha. Szybko dotarłem na drugie piętro i zaszyłem się w gabinecie, ścigany zaskoczonymi spojrzeniami.

Coś dużego uwierało mnie w prawej kieszeni kurtki. Przypomniałem sobie o zardzewiałej żelaznej obroży, którą Mag dał mi w Betanii. Wyciągnąłem ją i przełożyłem do innego woreczka. Ta prosta operacja zabrudziła białe rękawiczki. Założyłem więc nowe, miałem ich pełny zapas, wszędzie: w szufladach, w kurtkach, w spodniach, ze strachu, że z palców może wypłynąć ciecz wymieszana z krwią i tak wyda się moja choroba. Woreczek z obrożą położyłem na biurku.

Zszedłem do kaplicy, ukląknąłem przed ołtarzem i modliłem się. Lubiłem te samotne chwile łączności z Panem.

Obok pracy archeologa to one nadawały moim dniom radości i pewności. Ale od kiedy byłem Kustoszem, nie miałem okazji pracować na wykopalisku, a jeśli już udawałem się na górę Nebo, to tylko po to, aby sprawdzić stan mozaik. Moja działalność naukowa stała w miejscu. Jeszcze raz ofiarowałem Jezusowi cierpienie, jakiego przysparzały mi ręce.

W gabinecie czekał już na mnie mój nowy sekretarz, ojciec Ramon, trzydziestoletni Kastylijczyk, gruby, ale nie jak Mag. Jego poprzednik, ojciec Giancarlo, przeniósł się do Antonianum, w Bolonii, aby wspomóc dyrektora, ojca Alessandro, młodego brata i mojego byłego ucznia, który po roku pracy w Jerozolimie został wezwany przez prowincjała, by rozruszać tę wspaniałą instytucję, która w ostatnich latach przeżywała pewne trudności.

Ojciec Ramon wiedział, że nie wolno mi przeszkadzać, kiedy modłę się w kaplicy. Jedynym do tego upoważnionym był ojciec Vidigal, ale on leżał w szpitalu. Przypomniał mi, że mam dzisiejszego popołudnia dwa spotkania. Ze starym przyjacielem, Muhammadem Khaledem, dowódcą muzułmańskiej straży Wzgórza Świątynnego. A potem inauguracja sklepu z zabawkami, na początku ulicy Dawida, u innego dobrego przyjaciela, Ormianina Tera Ovanesiana.

Kiedy tak mówił i jego wzrok raz po raz padał na białe rękawiczki, pomyślałem, że trudno, pójdę na spotkania. Nie miałem ochoty, ale musiałem. Ojciec Ramon spytał, czy chcę, aby mi towarzyszył. Odpowiedziałem, że nie. Przypomniał, że na przejście czeka obszerna poczta. Zignorowałem to i pozwoliłem mu odejść. Wszedłem do przylegającej do gabinetu sypialni, a potem do łazienki, której drzwi znajdowały się po prawej stronie łóżka. Bardzo wygodny układ. Prawo do osobistej łazienki było jednym z niewielu przywilejów Kustosza.

Umyłem się i ogoliłem, oczywiście z wielką ostrożnością, gdyż z trudem utrzymywałem maszynkę. Włożyłem niebieską koszulę, dzinsy i kurtkę z dużą ilością kieszeni. Miałem dwie bawełniane kurtki na lato i dwie wełniane na zimę. Podarował mi je współbrat z Bergamo, jego rodzina posiadała fabrykę tekstylną. Habit nakładałem tylko przy oficjalnych okazjach, co budziło niezadowolenie ze strony pozostałych braci Kustodii. Szeptali między sobą, że z racji urzędu robię, co chcę, oni natomiast muszą przestrzegać Reguły. Po części mieli rację. Nie wiedzieli jednak, że swobodny strój pozwalał mi jeszcze czuć się archeologiem. A poza tym to oni wybrali mnie na Kustosza, musieli więc zaakceptować mnie takim, jaki jestem.

Wyszedłem z Najświętszego Zbawiciela i skierowałem się w stronę wieży Dawida, przechodząc przez dzielnicę chrześcijańską. Po drodze minąłem dzielnicę ormiańską, przeszedłem przez żydowską i schodami pielgrzymów dotarłem na plac przed Ścianą Płaczu. Skręciłem w prawo od Ściany i wspiąłem się na Wzgórze Świątynne. Brama Bab as-Silsileh wprowadziła mnie do dzielnej meczetów. Żołnierze z oddziału straży Kuzynów od Ściany popatrzyli z roztargnieniem: dyskutowali właśnie o umiejętnościach i perspektywach narodowej reprezentacji koszykówki na mistrzostwa świata.

Dwoje podeszłych wiekiem Przyjaciół ze Skąły pozdrowiło mnie pełnym szacunku „Salaam, Abuna Matteo” i powiedziało, że dowódca Muhammad czeka tam gdzie zazwyczaj.

W przeciwieństwie do Grobu Pańskiego - oszpeconego przez restaurację Kopuły wykonaną przez prawosławnych - który stał się ponury i pozbawiony harmonii, Haram al Sharif, święte miejsce muzułmanów na starożytnym żydowskim

Wzgórzu Świątynnym, było harmonijne, widne i przepelnione światłem. Dwa wielkie meczety, Kopuła na Skale i Al-Aksa, promieniały radością i lekkością, a ich kolory - ultramaryna, szmaragd, ochra - w cudowny sposób łączyły fantazję z duchowością.

Po raz kolejny podziwiałem harmonijne proporcje tych budowli i pomyślałem, że Wzgórze Świątynne jest jednocześnie bramą do nieba i bramą do piekieł. W dzień Sądu Ostatecznego Abraham, Mojżesz, Jezus i Mahomet znajdują się tu razem i jak bracia pocieszają nieżyjących. Perspektywa ta bynajmniej nie pomagała wytworzyć w Jerozolimie klimatu większej tolerancji i głębszego zrozumienia. Najbardziej ortodoksyjni Kuzyni od Ściany mieli zamiar wznieść synagogę w rogu między dwoma meczetami. Co jakiś czas siłą wdzierali się na Wzgórze, aby odprawić na nim religijne obrzędy. To wszystko nie przyczyniało się do uspokojenia nastrojów.

Z takimi myślami i z palącymi rękoma dotarłem do biura Muhammada, białego sześcianu z cementu, położonego około pięćdziesięciu metrów od wejścia do Meczetu na Skale.

Muhammad, o ile wiedziałem, był szczęśliwym człowiekiem. Innym pozostawiał niebezpieczne życie, patriotyczny entuzjazm, śmiertelne ryzyko w imię jakiejś sprawy, idei czy przygody. Nie podobała mu się aprobata, jaką pośród mieszkańców Gazy otrzymywały niektóre wyczyny Hamasu⁶, i nie tracił słów na współczucie, kiedy jakaś z jego akcji kończyła się tragedią. Męczennik Allacha, który wylatywał w powietrze, nie doprowadziwszy do końca swojego zadania, nie zasługiwał u niego na najmniejszą uwagę.

⁶Hamas - palestyńska organizacja terrorystyczna powstała w połowie lat 80. XX wieku.

Niemniej Muhammad nie był egoistą czy człowiekiem nieczułym. Można go było wręcz uznać za troskliwego i hojnego. Zawsze gotów, by wyświadczyć przysługę przyjacielowi. Zresztą dysponował wystarczającymi możliwościami, aby sprawić sobie radość i pomóc komuś. Oprócz znaczących przychodów z niektórych posiadłości rodzinnych stanowisko szefa muzułmańskiej policji straży Wzgórza Świątynnego dostarczało mu jak najbardziej godziwą pensję. Praca ta zresztą pasowała do niego. Była uregulowana, odpowiedzialna, niosła ze sobą pewne ryzyko, ale zawsze mniejsze niż na pierwszej linii w Gazie, Nablusie czy Ramallahu.

Wakacje spędzał zazwyczaj w Paryżu z żoną Margot, która urodziła się w Marsylii. We francuskiej stolicy uczeszczał do teatru. Uwielbiał Moliere'a, Shakespeare'a i Goldoniego. Przyjaciele, w tym również niektórzy Kuzyni od Ściany, uznawali go za człowieka sympatycznego. Rozmowa z nim była wartka, bogata w informacje, a przede wszystkim zabawna. Poza tym Muhammad miał przyjemny wygląd: wysoki, chudy, wyprostowany, twarz wyrazista o regularnych rysach, zielone, wiecznie uśmiechnięte oczy i śnieżnobiałe zęby. Podejrzewałem, że nie wszystkie są jego i że często chodzi do dentysty, by je wybielić, ale przez dyskrecję nigdy go o to nie pytałem. Wyglądał zdrowo i zawsze był zadbany. Byłem przekonany, że w tajemnicy przed wszystkimi, spoglądając w lustro i podziwiając włosy bez jednej siwej niteczki, mawiał do swojego odbicia, że zasłużył na życie, jakie prowadził.

Jego małżeństwo nie było szczególnie udane. Ale w chwilach, kiedy często nawet mądrzy mężczyźni tracą orientację i zaczynają tonąć, on zdołał utrzymać rodzinę na powierzchni, dobrze wychować dwójkę dorosłych już dzieci, które miały

własne życie. Dwudziestosześcioletni Francois pracował jako informatyk w Londynie. Dwudziestotrzyletnia Amina szkicowała modele dla Saint Laurenta w Paryżu. Muhammad od dziesięciu miesięcy był wdowcem. Podczas poczęstunku po pogrzebie zdradził mi z odrobiną cynizmu, że jego żona Margot miała na tyle wyczucia, że zmarła, dopiero gdy dzieci się usamodzielnily.

Muhammad miał silne poczucie odpowiedzialności cywilnej. Przewodniczył organizacji pomagającej najuboższym Przyjaciołom ze Skały, żyjącym na Zachodnim Brzegu, na tzw. Terenach Okupowanych, i jak przystało na jego klasę i warunki ekonomiczne jako znaczący członek wspólnoty islamskiej za swój obowiązek uważał partycypowanie w utrzymaniu tych, którzy na Wzgórzu Świątynnym troszczyli się o czystość, oprowadzali pielgrzymów i zajmowali się nimi. Satisfakcję czerpał również z pomagania chorym i ubogim. Sfinansował budowę ambulatorium w wiosce palestyńskiej na Górze Oliwnej i z własnej kieszeni opłacał lekarza i pielęgniarkę. W zamian za hojność prosił jedynie, aby mieszkańcy udawali się do meczetu na modlitwy.

Gdyby ktoś mu powiedział, że jest dobrym człowiekiem, czułby się zakłopotany, ale z pewnością zadowolony. Chciał być dobrym człowiekiem i byłby to dla niego najpiękniejszy komplement.

Jego biuro nie było luksusowo urządzone. Wielkie biurko z fotelem, kwiecista kanapa, na której mogły usiąść trzy osoby, po prawej stronie otwarta szafa pełna dokumentów. Na ścianach zdjęcia Arafata, Nassera. Burghiby, Sadata, Ghedafiego, Mubaraka, Assada, Husseina. A z lewej biblioteczka z książkami o rolnictwie, ogrodnictwie, myślistwie i wędkarstwie, po francusku i arabsku. Za sofą znajdowało się jedyne okno, przez które widać było Meczet na Skale.

Nie był tak wesoły jak zazwyczaj. Nie widziałem go od dnia pogrzebu Margot.

Nigdy specjalnie jej nie lubiłem. Kiedy spotkałem ją po raz pierwszy, latem, około dwudziestu siedmiu lat temu, na krótko zanim się pobrali, uderzyło mnie jej zaniedbanie. Nigdy nie widziałem kobiety, która tak mało przykładałaby wagi do swojego wyglądu. Nieuczesane i potargane blond włosy, niepomalowane usta, oczy bez makijażu. Margot miała na sobie jedwabną koszulę ze stójką, ale ze względu na upał rozpięła górne guziki, ukazując różnorodność zmarszczek. Koszula była wymięta i szara, gdyż Margot paliła jednego papierosa za drugim, a popiół, opadając, mieszał się z potem. Niebieska spódnica była źle uszyta i wisiała z prawej strony, jakby była dłuższa. Na nogach miała brązowe, rozdeptane mokasyny.

Odzież dokładnie pasowała do jej charakteru. Spotkaliśmy się w domu Muhammada, gdzie miała zamieszkać, w dwupiętrowej kamienicy we wschodniej części Jerozolimy, położonej przy przecznicy Nablus Road, obok anglikańskiej katedry świętego Jerzego. Zapropowała partyjkę remika.

Grała bez emocji, z wyczuciem i doświadczeniem. Oczywiście znała każdą sztuczkę. Ja natomiast byłem jednym z tych wrażliwych graczy, którzy poruszają się z głupim optymizmem, mając nadzieję, że przeciwnicy nie będą się nad nimi pastwić. Rzecz jasna wygrała ona.

- Nie wiem, co jest z tymi kartami - wykrzyknąłem na koniec. - Przegrywam nawet wtedy, kiedy są dobre. Pani jest naprawdę świetna!

- Nie sądzę, aby wina tkwiła w ojcu - odpowiedziała Margot, wpatrując się małymi, szarymi i mało świetlistymi oczkami. - To pech, ojciec Matteo, nic innego jak pech.

Poczęstowała mnie sokiem pomarańczowym i zaczęła opowiadać o sobie. Jak gdyby pragnęła, abym zaaprobował jej ślub. Muhammad w kuchni przygotowywał kolację. Uwielbiał gotować. Margot zdradziła, że pracowała w dużym sklepie drogowym w Tel Awiwie. Przyjechała do Izraela na wakacje i już tu została. Była katoliczką, ale niepraktykującą. Zrobiła nawet karierę, awansowała na kierowniczkę sklepu; marzyła jednak o powrocie do Paryża. Ale spotkała Muhammada i postanowili się pobrać.

Potem wyciągnęła z kieszeni spódnicy kartkę i przeczytała to, co na niej napisała, swoją myśl, jak ją nazwała.

- Wszystkie osoby wrażliwe wiedzą, że próżność to najbardziej niszczycielska, uniwersalna, najtrudniejsza do wykorzenia z namiętności dręczących ludzką duszę, i tylko próżność, bardziej niszcząca od miłości, odbiera człowiekowi władzę nad nią. Wraz z miłosiernym upływem lat możecie wypiąć się na strach i niewolę miłości, jednak wiek nie uwolni was od służby próżności. Czas może złagodzić bolesne rany rozczarowanej miłości, ale jedynie śmierć ukoji cierpienia zranionej próżności. Miłość jest prosta i nie szuka wybiegów, próżność oszukuje na tysiące sposobów. Jest integralną częścią każdej cnoty; jest najważniejszym źródłem odwagi, jest siłą ambicji; zakochanemu dodaje wytrwałości, a stoikowi wytrzymałości; w artyście podsyca płomień pragnienia sławy i jest jednocześnie wsparciem i zapłatą za stałość dla człowieka uczciwego; pojawia się także cynicznie w pokorze świętego. Nie możecie od niej uciec, a nawet jeśli mielibyście się przed nią na straży, wykorzystywałaby wasz niepokój, aby pchnąć ku potknięciu. Jesteście bezbronni wobec jej ciosów, gdyż nie wiecie, na jaki słaby punkt waszej obrony przypuści atak. Szczerłość nie uchroni was ani przed jej zasadzkami, ani przed ironią jej szyderstw.

Margot złożyła kartkę i z powrotem włożyła do kieszeni. Przez co najmniej minutę milczała, unikając mojego wzroku i patrząc prosto przed siebie, jak gdyby jej myśli krążyły boleśnie wokół dalekiego horyzontu pamięci. Nie spytała, co o tym sądziłem, ja też się nie odzywałem.

Tę chwilę zażenowania i braku komunikacji przerwał Muhammad, który radośnie zawołał nas do jadalni, abyśmy skosztowali jego wytworów.

Potem nastąpił ślub, a w kolejnych latach, kiedy się spotykaliśmy, nasze stosunki były czysto formalne. Jak gdyby tamta chwila ludzkiej i intelektualnej bliskości była przypadkowym zajściem, do jakiego nie należy więcej dopuścić.

Wróciłem do rzeczywistości. Muhammad proponował lemoniadę. Poprosił, abym usiadł na sofie, sam zajął miejsce obok i spytał, jak Się czuję.

- Dobrze - odpowiedziałem.

Chciał się dowiedzieć, dlaczego noszę rękawiczki. Wyjaśniłem, że mam jakąś infekcję na palcach. Zaoferował się, że mi pomoże, zna dobrych lekarzy. Odrzekłem, że już się leczę i nie musi się o mnie martwić. Pokręcił głową bez przekonania. A potem zdradził, że chce porozmawiać ze mną o swojej żonie.

- To była dobra kobieta - stwierdziłem.

- Posłuchaj mnie uważnie, Matteo. Pamiętasz, że Margot dziesięć lat temu postanowiła spędzać jesienie i zimy w Paryżu i zabierała ze sobą dzieci? Mówiła, że to po to, aby dać im lepsze wykształcenie. Wyjeżdżała z Jerozolimy w październiku i wracała w kwietniu. Ja przypuszczam, że miała kochankę.

- Ona nie żyje! - wykrzyknąłem. - A nawet gdyby, to było dawno. Jakie to może mieć dzisiaj znaczenie?

Muhammad długo na mnie patrzył. Potem niemalże wrzasnął:

- Matteo, czy nie rozumiesz, w jakiej jestem sytuacji?! Sądzisz, że przyjemnie jest zostać wystawionym na pośmiewisko?

- Nie wiem, jak mam ci pomóc. Muhammad, nie rozumiem twojego problemu.

- Masz znajomości w Paryżu - odrzekł. - Czy mógłbyś je wykorzystać, aby odkryć to, co mnie interesuje?

Wyjaśniłem, że moim zdaniem nie ma sensu zagłębiać się w przeszłość jego żony, która na dodatek jest martwa. Nawet jeśli założyć, że Margot miała romans, prawdopodobnie była ostrożna i nie zostawiła śladów.

- A poza tym - zakończyłem - twoje śledztwo nie byłoby zbyt etyczne.

- Gwiżdżę na etykę. To twoja sprawa, ty jesteś księdzem, nie ja. Ja chce tylko znać prawdę.

Jasno i wyraźnie stwierdziłem, że skoro postanowił coś takiego zrobić, nie powinien się z tym zwracać do mnie.

- Jestem kapłanem, Muhammadzie, a nie śledczym. Posłuchaj mnie. Nawet jeśli znajdziesz dowody, że Margot cię zdradziła, do czego ci to potrzebne? Ona nie żyje. I mam nadzieję, że jej dusza jest w Raju.

Muhammad rzucił mi nieszczęśliwe spojrzenie.

- Sam nie wiem. Zawsze sądziłem, że była idealną żoną. Żadnych zrywów, żadnej namiętności, kiedy się kochaliśmy. W każdym razie bardzo rzadko. Żadnych komplikacji uczuciowych. Margot doskonale dbała o rodzinę, była też wspaniałą gospodynią.

Uśmiechnąłem się i stwierdziłem, że małżeństwo według mnie to coś innego, być może całkiem przeciwnego do tego,

co on opisał, ale rzecz jasna ja jestem księdzem i patrzę na sprawy na swój sposób.

- Matteo, do jasnej cholery, muszę zadbać o własną godność. Jak mogę patrzeć na siebie w lustrze, wiedząc, że Margot nie była mi wierna?

- A ty jej nigdy nie zdradziłeś?

- Wiesz, jak jest...

Wstał. Podszedł do biblioteczki i wziął dosyć dużą paczkę, której wcześniej nie zauważyłem.

- Co to jest? - spytałem.

- Nic ważnego, książki.

Otworzył ją, zawartość położył obok mnie, na sofie.

- Ależ one są wszystkie jednakowe! - zawołałem. - Po co ci dwadzieścia kopii tej samej książki?

Wziąłem jedną do ręki. Tytuł był zwyczajny: *Poezje*. Autorka to Margot Khaled. Oslupiałem. Spozrzegłem, że tomik był po francusku. Ale była też wersja arabska, hiszpańska, włoska i angielska.

- Chcesz kopię?

Zabrzmiało to jak błaganie. Potem wybuchł. Jego głos stał się piskliwy, niemalże histeryczny:

- Matteo, tę książkę opublikowano we Francji i przetłumaczono na wiele języków. To tu znajdują się dowody na jej zdradę.

- Kto by pomyślał, że Margot zajmie się poezją - brzmiał mój pierwszy komentarz.

- Niespodzianek nigdy za wiele, prawda, Matteo?

Przypomniałem sobie tę „myśl”, jak ją nazwała, a którą przeczytała mi wiele lat temu. Nie powiedziałem mu jednak o niej. Muhammad miał zszargane nerwy i jeszcze by mnie oskarżył, że ukryłem czy przemilczałem przed nim coś ważnego.

Wykrzyknął:

- Zrobiła ze mnie kompletnego idiotę!
- Och, nie gadaj bzdur! Nie ma nic złego w tym, że Margot napisała książkę. Powinieneś być dumny z niej i z pamięci po niej.

- Matteo, ona opowiada swoją historię. Prawdopodobnie ja jako jedyny nie znam imienia jej kochanka.

Spytałem z odrobiną uszczypliwości, czy przez przypadek nigdy nie słyszał o wyobraźni, o fantazji pisarzy i poetów. Mogła przecież wszystko zmyślić.

- Matteo, znamy się od dawna. Razem spędziliśmy wspaniałe chwile. Bądź ze mną szczerzy. Czy masz odwagę spojrzeć mi w oczy i powiedzieć, że jesteś przekonany, że to stworzona historia?

Czułem się nieswój. Ból, który wyczuwałem w jego głosie, krępował mnie.

- Nie możesz mi zadawać takich pytań.
- Boisz się powiedzieć prawdę?
- Muhammad, ja nawet nie czytałem tej książki! - wykrzyknąłem.

Muhammad dalej wylewał żale:

- Nie mogę zaprzeczyć, że od czasu do czasu pozwalałem sobie na drobne „wakacje”, nazwijmy to tak. Mężczyźni potrzebują tego. Z kobietami jest inaczej.

- Należałoby posłuchać, co one o tym sądzą - zauważyłem z uśmiechem.

- Gdyby ktoś mnie o to spytał, przysięgłbym, że Margot to ostatnia kobieta na świecie, która byłaby zdolna do zdrady. Dlaczego napisała tę cholerną książkę? A skoro już musiała, to dlaczego, do diaska, nie posłużyła się pseudonimem?

- Muhammad, ona nie żyje.

- Użyła mojego nazwiska.
- Waszego nazwiska.
- Tym gorzej!

Muhammad oparł policzek na rękę, łokieć trzymał na stole. Nagle zmarszczył brwi, jak gdyby przyszła mu do głowy nowa myśl.

- To naprawdę wkurzające, że nic nie wiem o tym facecie. Nie wiem nawet, czy jest porządny. Może być Żydem, rozumiesz?

Moja odpowiedź była bezzwzględna. Powiedziałem, że przeżycie z tym gościem musiało być tak intensywne i pamiętne, że zaowocowało dziełem literackim. Popatrzył na mnie krzywo, ale w moich oczach dostrzegł dobrotliwe i tolerancyjne spojrzenie. Dodałem, że znając Margot, najprawdopodobniej ewentualny kochanek był porządnym człowiekiem.

- To i tak nóż w plecy - westchnął Muhammad. - Myślałem, że jest do mnie przywiązana. A ona mnie nienawidziła, inaczej nie napisałaby tej książki.

Pocieszyłem go, że Margot nie była zdolna do nienawiści. Odrzekł, że nie przekonam go, że Margot go kochała. Co moim zdaniem czuła do niego? Oparłem się i zamyśliłem.

- Sądzę, że byłeś jej obojętny.

Przeszedł go dreszcz, potem zaczerwienił się.

- To straszne - stwierdził - a na dodatek, co Allah dobrze wie, nie była nawet ładna - westchnął głęboko. - Co ty byś zrobił na moim miejscu? I nie zasłaniaj się habitem!

- Którego nawet nie noszę! Nie, Muhammadzie. - I dokończyłem z odrobiną ironii: - Ona już o wszystko sama się zatroszczyła.

Poderwał się i popatrzył na mnie z surowym wyrazem twarzy, jaki prawdopodobnie przybierał, aby zaprowadzić porządek pośród swoich strażników:

- Zostałem ośmieszony. Nie będę mógł chodzić po Jerozolimie z podniesioną głową. Może nawet zdejmą mnie z urzędu.

- Bzdury - odpowiedziałem szorstko, a potem uprzejmiej i tak serdecznie, jak tylko mnie było na to stać, dodałem:

- Posłuchaj: Margot nie żyje.

Przeprosił łamiącym się głosem. Zmusił mnie, abym fatygował się w tak nieciekawej sprawie. Odrzekłem, że jestem szczęśliwy, że mogłem mu pomóc, jeśli to można uznać za pomoc. Poprosił, abym wybaczył mu wybuch, ale uważa mnie za starego, dobrego i zaufanego przyjaciela. Spytał, czy chcę przeczytać książkę. Odpowiedziałem, że tak. Włożyłem do kieszeni wersję po francusku. Chciał się dowiedzieć, co z Vidigalem. Wyjaśniłem, że wie, iż wkrótce umrze, ale zachowuje się w sposób nadzwyczaj godny. Muhammad stwierdził, że Vidigal to wielki człowiek. Obiecałem, że przeczytam poemat Margot i powiem mu nie to, co myślę o jego literackiej wartości, ale o ewentualnej zdradzie.

Odprowadził mnie aż do Bab as-Silsileh. Tam, w bramie, omal nie zderzyłem się z osobnikiem pod czterdziestkę, niewysokim, chudym, z czarnymi zadbanymi wąsikami, o bliżej nieokreślonej narodowości. Uśmiechnął się lekko. Być może uśmiech ten skierowany był do Muhammada, ale on tymczasem gdzieś zniknął, nie było go koło mnie. Mężczyzna rozsiewał lekki zapach wody kolońskiej. Odniosłem wrażenie, że chce mi coś powiedzieć. Ale zmienił zamiar, poszedł przed siebie i wszedł na Wzgórze Świątynne.

Czekało mnie otwarcie sklepu Tera Ovanesiana. Mój ormiański przyjaciel wreszcie sfinalizował swoje marzenie, aby stworzyć miejsce spotkania i zabawy dla wszystkich dzieci w Jerozolimie. Z klasycznymi i nowoczesnymi zabawkami.

Misie, pandy, robociki które wszędzie chodzą za właścicielem, szklane kulki. Pluszowe małpki, wymyślne komputery, huśtawki, klocki, pociąg elektryczny, małe zdalnie sterowane samoloty, latawce, skakanki.

Ter Ovanesian wybrał w tym celu symboliczne miejsce. Sklep leżał przy placu, tuż za Bramą Jaffy, obok Cytadeli, na początku ulicy prowadzącej do dzielnicy ormiańskiej i na skrzyżowaniu z ulicą Dawida, którą schodzi się do *suku*⁷, a potem aż do Bazyliki Grobu Pańskiego i dzielnicy muzułmańskiej. Przed sklepem pięła się uliczka przecinająca dzielnicę chrześcijańską aż do konwentu Najświętszego Zbawiciela i kończąca na Bramie Nowej.

Kiedy dotarłem, przyjęcie dopiero się rozpoczęło. Ujrzałem chłopczyka, Przyjaciela ze Skały o sympatycznej buzi, jak stoi w drzwiach i nie wie, co robić. Pewnie chciał wejść, bo przyciągał go ogrom zabawek. Utkwił we mnie wzrok, jego czarne oczy spotkały się z moimi. Uśmiechając się, rozłożyłem ręce, aby dodać mu otuchy. Byłem jakieś pięć metrów od niego i od wejścia. Ruszył w moją stronę, odpowiadając na uśmiech melancholijnie. Potem zaczął biec, ominął mnie i odniosłem wrażenie, że na chwilę, zanim wyleciał w powietrze, pożegnał mnie, machając oburącz. Ja też przeleciałem parę metrów, a huk eksplozji ogłuszył mnie. Nie widziałem niczego i niczego nie słyszałem.

⁷ Suk (arab.) - bazar, rynek.

W Saint Louis

Właśnie myślałem o tym, że nie mogę zejść do refektarza. Najbardziej martwiło mnie, że bracia zaczęli już jeść i nie poczekali na mnie. Byłem niezwykle wymagający, jeśli chodzi o punktualność. Kto przychodził spóźniony, budził we mnie głęboką dezaprobatę, która przekładała się na donośnie wypowiedane uszczypliwe zdania. Dlatego sam nie chciałem łamać pewnych zasad.

Vidigal często radził, abym był uprzejmy i wyrozumiały, między innymi dlatego, że niezbyt często pojawiam się na obiedzie i kolacji, zatem bracia mogą nie wiedzieć, czy mają czekać.

Nie potrafiłem ruszyć się z łóżka i ku mojemu zaskoczeniu zdałem sobie sprawę, że to nie jest łóżko w konwencie Najświętszego Zbawiciela. Przed oczami przebiegł mi chłopczyk, który wpierw patrzył na mnie, a potem odbiegł daleko, jakby chciał mnie ocalić. Byłem pewien, że podarował mi życie.

Usiłowałem poruszyć rękoma, ale były zdrętwiałe. Jeszcze raz pomyślałem, że nie mogę zejść do refektarza. I ktoś musi ostrzec braci, że mogą już nawijać *spaghetti* w sosie pomidorowym na widelce. Dziwne wydawać się może, że po tragedii, w jakiej uczestniczyłem jako ofiara i której zasięgu jeszcze nie znałem, leżąc w szpitalnym łóżku, w stanie półsnu

martwiłem się o tak błahą rzecz. Ale istoty ludzkie są nieprzewidywalne w chwilach wielkiego napięcia.

Ludzie w momencie śmierci myślą o drobnych, niedokończonych sprawach. Pasażerowie tonącego transatlantyku potrafią wrócić do kabiny po mało wartościowe drobiazgi. Niedawno widziałem tego typu scenę w filmie *Manoela de Oliveiry*. Dziewczynka, która na łóżku zostawiła ulubioną lalkę, razem z mamą biegła, by ją zabrać, i to w chwili, kiedy ostatnia szalupa spuszczana była do morza. Statek eksplodował, zabijając matkę i córkę.

Błądziłem jeszcze we mgle. Gdyby ktoś powiedział mi wtedy, że nie mogę iść na kolację, odpowiedziałbym pełnym niedowierzania śmiechem. Ale w śmiechu tym kryłaby się histeria, bo gdy leżałem w obcym łóżku, moje serce biło jak oszalałe i oddychałem z trudem, jakbym dopiero co zakończył bieg. Doszedłem do wniosku, że jeśli dalej tak będę się zachowywał, moje serce stanie. Potwornie chciało mi się pić, ale nie mogłem się poruszyć. Natomiast ból w rękach jakby zezłżał.

Teraz wspominałem odległe wakacje. Ściany domów, jak w wielu innych wioskach rybackich basenu Morza Śródziemnego, były bielone albo malowane na niebiesko. Rify nie chroniły małego portu przed mistralem, który wściekle wiał z północnego zachodu. Ludzie żyli z połowów, a w wiosce była tylko jedna kafejka i dwie restauracje. Dom, w którym mieszkałem, znajdował się w miejscu zawietrznym i wysoko położonym, z tarasem na południe. Gałęzie sosen pięły się w górę, niemalże dotykały małych podpór balustrady.

Po prawej był mały cypel. Grzywki tamaryszku położył wiatr, a ich kolor kontrastował z intensywnym błękitem morza. Od czasu do czasu jakaś mała chmura piany wspinała się

-

po rafach. Miejsce to ogarniała cisza i spokój. Było gorąco, w ogrodzie grały cykady. Nie potrafiłem przypomnieć sobie nazwy tej wyspy. I nie byłem pewien, czy chodzi o wyspę. Może wioska leżała na stałym lądzie.

Męski głos wziął górę nad wszelkimi obrazami:

- Kustosz żyje, na szczęście. Cholerni terroryści, teraz wykorzystują nawet dzieci!

Potem nastąpiła przerwa. I znowu odezwał się ten sam głos, najwidoczniej zwracał się do kogoś drugiego:

- Najbardziej popularne obecnie słowo to atmosfera, i nie bez powodu jest to słowo nienamacalne. Nieprawdaż? Ludzie na kolacji i w synagodze, w biurze, a nawet tutaj, w szpitalu, pytają: co nowego? A odpowiedź brzmi: zmieniła się atmosfera. Nikt nie ośmiela się pójść dalej, napełnić tej atmosfery optymizmem. Gdyż, być może, za chwilę nadejdą kolejne wstrząsy. Dlatego wszystko pozostaje w zawieszaniu. I jeśli jest miasto, gdzie obiecaną przez Sharona i Abu Mazena atmosferze zagraża niebezpieczeństwo, jest też Hebron, gdzie sto pięćdziesiąt tysięcy Palestyńczyków otacza naszych czterystu osadników mieszkających w pobliżu grobu Abrahama. Osiedle w Hebronie jest najstarsze i najbardziej symboliczne, chroni go pięć tysięcy naszych żołnierzy. Nie sądzi ojciec, że ma tu miejsce pewna dysproporcja? Pięć tysięcy żołnierzy na czterystu cywilów. Proszę o tym nie zapominać. W Hebronie miała miejsce nasza najbardziej fanatyczna próba unicestwienia pokojowego procesu zrodzonego w Oslo. Pamięta ojciec tamten dzień, 25 lutego 1994? Doktor Baruch Goldstein wszedł do meczetu, chwycił za strzelbę, zmasakrował dwudziestu dziewięciu muzułmanów, zranił sto dwadzieścia pięć osób zebranych na modlitwie z okazji Ramadanu, zanim go otoczono i rozbito mu głowę telefonem. Była to jedyna broń,

jaką Palestyńczycy znaleźli wewnątrz budynku. Wie ojciec, co ja sądzę? Że nasza droga jest jeszcze długa i trudna. Martwi mnie tylko, że to starcy, jak Sharon, Peres, Abu Mazen, szukają dialogu. A ludzie młodszy od nas i młodszy od nich w ogóle się nie rozumieją.

Kolejna przerwa. Potem znowu ten sam głos: - Ojczy, chciałbym kiedyś przedstawić mojego teścia. Często przychodzi do mnie do szpitala. On założył Ateret Cohanim, organizację zajmującą się odzyskiwaniem dawnych żydowskich posiadłości, odkupywaniem nieruchomości będących niegdyś w posiadaniu Żydów i restaurowaniem mieszkań we wschodniej Jerozolimie. Mój teść ma konkretny polityczny cel: przywrócić nasze tradycje w dzielnicach, gdzie większość mieszkańców to Palestyńczycy. Dla niego i dla mnie sercem Jerozolimy nie jest jedynie Wzgórze Świątynne, ale także Góra Oliwna, Cytadela Dawida, źródła Gihonu. Ateret Cohanim pragnie przywrócić tę ziemię naszemu dziedzictwu. W Shiloach, gdzie leży jemeńska wioska, w małej dolinie między Górą Oliwną a starożytnymi murami Starego Miasta, jeszcze kilka miesięcy temu nie było nikogo z nas. Pewnego dnia Palestyńczycy dowiedzieli się, że siedmiopiętrowy dom, który restaurowało kilku robotników, został sprzedany dzięki Ateret Cohanim czterem naszym rodzinom. W sumie jakimś trzydziestu osobom, starszych i młodszych. Napięcie dosięgło gwiazd. Wie ojciec, co teraz tam się dzieje? Żołnierze muszą odprować kobiety, kiedy te idą na zakupy, a w sobotę całą trzydziestkę eskortują do Ściany Płaczu. Ci ludzie żyją jak w klatce.

Ojczy, inny przykład: Abu Tor, niezbyt odległy od murów Starego Miasta. Abu Tor pozostało takie jak w 1967 roku: z jednej strony my, z drugiej oni. A pośrodku pamięć o granicy, która niecałe czterdzieści lat temu oddzielała Izrael od Jordanii.

Ale Pan pragnie, aby siedziba Ateret Cohanim mieściła się w centrum arabskiej Abu Tor. Dwupiętrowa kamienica otoczona murem. Przed jedynym wejściem prywatna ochrona z karabinami maszynowymi i pistoletami.

Pozostając we wschodniej Jerozolimie: dwa tysiące naszych osadników żyje tam jak więźniowie. Ich dzieci nie bawią się na ulicy z palestyńskimi rówieśnikami, chociaż te cieszą się naszym obywatelstwem. Z dziećmi arabskimi nie bawią się nawet nasze dzieci z muzułmańskiej dzielnicy Starego Miasta. Co więcej, do szkoły odprowadzają je żołnierze. Prawda jest taka, ojcze, że Jerozolima to porażka tożsamości.

Rozmówca, który do tej chwili zachował milczenie, przemówił. Jego głos był słaby, jak gdyby z trudem wydawał z siebie dźwięki. Słowa jednak, które wypowiedział, były dobitne i poważne:

- Obawiam się, że w waszym narodzie istnieje tylko podział na ekstremistów, którzy uważają, że Jerozolima ma należeć wyłącznie do was, i na tych, którzy marzą o mieście ze znaczną żydowską przewagą, z mniejszością złożoną z nieprzysparzających problemów Palestyńczyków. Doktorze, jest pan wspaiałym lekarzem, ale niezbyt daleko wzrocznym obywatelem.

Nie wiedziałem, czy śnię, czy też przysłuchuję się rozmowie na jawie. Nie mogłem otworzyć oczu. Czuję się, jak gdybym leżał wewnątrz siebie; jeśli się poruszę - myślałem - będę strasznie cierpieć.

Doktor odrzekł:

- Na tym łóżku leży Kustosz Ziemi Świętej. On pragnie pokoju, a wasi palestyńscy przyjaciele wysadzili go w powietrze. I co, ojcze? Czy to ja jestem krótkowzrocznym obywatelem Jerozolimy?

Chciałem opowiedzieć mu pewną historię, która przydarzyła mi się niedawno. Ale wypowiedziałem ją w myślach, gdyż nie byłem w stanie wyartykułować słów.

Kiedyś odwiedził mnie pewien holenderski dziennikarz, dobry katolik, przyjaciel naszego Generalnego Ministra. Pojechał na Zachodni Brzeg, na Tereny Okupowane, aby zrozumieć przyczyny, które popychają terrorystów-samobójców do takiego gestu, a w szczególności żeby pojąć jakże częstą postawę zbolalej satysfakcji, przyjmowaną przez ich rodziny. Powiedział, iż długo rozmawiał z rodzicami, siostrami, braćmi tzw. zmarłych bohaterów i że udało mu się zanurzyć w ich psychologię, w moralny, polityczny i ludzki dramat. W pewnej chwili oświeciło go pewne wspomnienie. Jego ojciec walczył z nazistowskim okupantem w holenderskim ruchu oporu. Ale nigdy nie podłożyłby bomby pod autobus pełen niemieckich cywilów. Wtedy jego zrozumienie i solidarność w pewnym sensie znikły.

Pozornie przyznałem rację lekarzowi. Ale nie do końca. Ponieważ należało zrozumieć, że te same osoby mogły w imię tej samej sprawy działać jako terroryści albo jako wojownicy. Atakowanie stanowisk wojskowych i podkładanie bomby do autobusu pełnego cywili to nie to samo: ani z militarne go, ani z politycznego punktu widzenia.

Jeśli zaś chodzi o etykę, tutaj pojawiają się inne problemy. Wszystko dodatkowo komplikuje się, gdy w kwestię ingeruje religia. Dla mnie, jako kapłana, przemoc godna jest potępienia, musiałem jednak zadać sobie całą serię pytań. Na przykład jakie sądy są uprawnione do oceniania, kto jest winny, a kto nie? Czy taka sama odpowiedzialność spada na żołnierza, który strzela, i na dowódcę, który wydaje rozkaz? W Norymberdze, podczas procesu przeciwko organizatorom nazistowskiego horroru, zastosowano precyzyjne kryterium.

Rozkaz otrzymany i wykonany nie mógł być przyczyną niekaralności, lecz jedynie stanowić okoliczność łagodzącą. A dzisiaj w wielu kodeksach wojskowych jest napisane, że rozkazy sprzeczne z duchem człowieczeństwa mogą pozostać niewykonane. Jednym słowem, nikomu nie wolno uchylać się od osobistej odpowiedzialności moralnej ani też prawnej. To wszystko powiedziałem jednak do siebie. Nikt nie mógł mnie usłyszeć. Przypuszczam, że z ust wydobyło się jedynie ostatnie zdanie całego rozumowania:

- Honor wiąże się ze sprawiedliwością, nigdy z krwią niewinnego.

- Matteo, chwała niech będzie Panu. Jeszcze nie chciał ciebie w swoim Królestwie.

To był głos mojego drogiego Vidigala. Wreszcie go rozpoznałem. Radość, że żyję, nadała mu brzmienia: nie był już taki słaby jak wcześniej.

- Vidigal! - zawołałem z czułością.

- To ja, Matteo, a obok stoi doktor Leibowitz, wspaniały lekarz, który się tobą zajmuje.

- Vidigal - mówiłem dalej - wiesz, że mój przyjaciel Ter Ovanesian zorganizował wielką fetę na otwarcie swojego sklepu? Dla wszystkich dzieci, Kuzynów od Ściany, Przyjaciół ze Skały i Ormian, w najlepszej cukierni na Starym Mieście zamówił lody truskawkowe i pistacjowe, a także tyle mrożonej herbaty i coca-coli, ile dusza zapagnie.

Vidigal wykrzyknął:

- Panie, na pokój Twojego Królestwa, jak możesz pozwalać, aby te wszystkie istoty ryzykowały własnym życiem?

A doktor Leibowitz powiedział:

- Ojciec Matteo, proszę poruszać się powoli i otworzyć oczy, kiedy ojciec będzie miał na to ochotę. I proszę się zbytnio nie denerwować.

Pomyślałem, że takie polecenia mogą zaniepokoić nawet najzdrowszą osobę pod słońcem i postarałem się o lekki uśmiech. Najwyraźniej udało mi się, bo doktor Leibowitz dodał:

- Dobrze, rozumiał mnie ojciec. Teraz proszę spokojnie przeanalizować swoje siły.

Nic mnie nie bolało. Tylko ręce i dłonie, ale to z innego powodu. Otworzyłem oczy i spojrzałem na Vidigala, który troskliwie pochyłał się nade mną.

- Gdzie jestem?

- W Saint Louis, Matteo, gdzie niezbyt często mnie odwiedzałeś - odrzekł.

Kilkakrotnie zmarszczyłem czoło, aby rozruszać powieki. Popatrzyłem w prawo i okryłem doktora Leibowitza, oczywiście w białym kitlu. Był potężnie zbudowany, wysoki i otyły. Miał małe brązowe oczka i wyraźnie łysiał. Jego opalona twarz miała wyraz charakterystyczny dla człowieka niezwykle pewnego i zadowolonego z siebie i z wykonywanego zawodu. Biła od niego pozytywna energia. Mógł mieć około pięćdziesięciu lat.

- Chłopiec został rozerwany na strzępy - powiedział. - Głowa całkowicie oderwała się od tułowia. Pozostała nienaruszona, a jego oczy wyrażały zdziwienie, nie nienawiść. - I dokończył krótko: - W każdym razie był terrorystą.

- Biedną duszą - wyszeptalem.

- No tak... - odezwał się Vidigal.

Leibowitz mówił dalej:

- My w Saint Louis nie zajmujemy się tego rodzaju obrażeniami ciała, ale ponieważ ojciec jest głową franciszkanów, a tutaj leży jeden z jego współbraci, ojciec Vidigal, zrobiliśmy wyjątek.

- Nigdy się nie poznaliśmy, doktorze - zauważyłem. - To nie najlepsza okazja na spotkanie, ale nasze życie zależy przede wszystkim od Boga, nie od nas - dokończyłem po ważnym tonem.

Byłem już w stanie swobodnie poruszać głową. Pokój był mały i schludny. W oknach wisiały białe zasłonki, a po lewej stronie łóżka stała szafka z telefonem. Instynktownie popatrzyłem na dłonie. Nie miałem nałożonych rękawiczek. A palce były ciemniejsze niż zazwyczaj. Dostrzegłem, że także Vidigał patrzy na nie. Był nie tyle zaniepokojony, ile zdziwiony. Powiedział, że jest trochę zmęczony i wraca do siebie. Zobaczymy się później. Wyszedł powoli. Zdałem sobie sprawę, że bardzo schudł i chodził, opierając się o laskę. Zrozumiałem jego dyskrecję. Chciał, abym został sam na sam z lekarzem. Zamknął za sobą drzwi.

Leibowitz przyglądał się. Zapytałem:

- Od jak dawna tu leżę?

Odpowiedział, że od dwóch dni. Ciągłe spałem. A on nikogo do mnie nie dopuszczał, zwłaszcza moich braci.

Poprosiłem więc o informacje o Terze Ovanesianie. Usłyszałem, że ma się dobrze, a w sklepie ucierpiały jedynie szyby. Najdziwniejsze było, że młody terrorysta najpierw długo oglądał w środku zabawki, a potem wyszedł. Jak gdyby nie chciał eksplodować wewnątrz.

- Kiedy będę mógł stąd wyjść, doktorze Leibowitz?

Uśmiechnął się. Mogłem wyjść, kiedy tylko chciałem. Ale najpierw musi ze mną porozmawiać o rękach.

- No tak! Widział pan, w jakim są stanie? To chyba jakieś zakażenie. A właśnie, czy macie jakiegoś dobrego dermatologa?

Nic nie odpowiedział, zapytał tylko, od jak dawna na to cierpię. Od ponad dwóch miesięcy, odrzekłem. Nie powie-

działem nic o bólu rąk. To on pierwszy o tym wspomniał. Zauważył, że z pewnością źle sypiam z ociężałością w kończynach. Wytłumaczenie było proste. Krew zbyt słabo w nich krążyła. Przypomniałem sobie z przerażeniem, że do Saint Louis trafiają nieuleczalnie chorzy. Spytałem z dramatyzmem w głosie:

- Czy ja umrę?
- Kazałem zbadać ojca krew. Godzinę temu przyszły wyniki.
- No i jak?
- Nie są dobre.

Spytałem, czy mam raka. Zaprzeczył. Westchnąłem z ulgą. On zaś pokręcił głową.

- Rak to nie jedyna choroba, ojczu Matteo.

Poczułem się tak, jak gdyby ktoś oblał mnie lodowatą wodą. Leibowitz powiedział, że mam poważne problemy z krążeniem i że krew słabo i źle dociera do rąk. Chciałem wiedzieć, co to znaczy. Wyjaśnił szczegółowo, że powolna blokada krążenia wytwarza w rękach gangrenę. I zdziwił się, że jeszcze jestem w stanie ich używać. Oto dlaczego moje ręce wydawały nieprzyjemny zapach i były takie ociężałe.

Cierpiałem na chorobę Burgera, ale w rzadko spotykanej odmianie. On po raz pierwszy widział coś takiego. Zazwyczaj zaczyna się od stóp. Poprosił, abym dokładnie opisał mu ból, to, jak sypiam, kiedy najbardziej mi dokuczają. Im dłużej mówiłem, z tym większym zdziwieniem na mnie patrzył, ale też z podziwem. Na koniec spytałem, jak wygląda leczenie i jak długo będę musiał zostać w szpitalu.

- Jeśli choroba się nie zatrzyma - powiedział - obawiam się, że będę musiał amputować ojcu palce. Ojczu Matteo, będzie się musiał ojciec przyzwyczaić do protez. Bardzo mi przykro. Naprawdę.

Choroba

Choroba przychodzi nagle i niespodziewanie. Nie od razu wiesz, jaką ma barwę i jak smakuje. Powie o tym czas, który mierzy i analizuje jej skutki. Często jest tak szybka, że zalewa nas jak wysoka fala, pokrywa całkowicie, dusi niemalże. Uda-je nam się jednak zaczerpnąć powietrza, napełnić płuca, a po-tem znowu znajdujemy się z głową zanurzoną w czymś, co nas dusi i nie pozwala myśleć. Wszędzie panuje atmosfera silnego, bezgranicznego bólu. Później nachodzi nas ochota, by ją ukryć, traktujemy ją jak swego rodzaju wstyd, sądzymy, że nie będziemy już mogli należeć do wspólnoty, w której żyje-my, bo to tak, jakby wszyscy wiedzieli, że ją mamy, i patrzyli na nas innymi już oczami.

Choroba jest też jak kolega z klasy, ten najsilniejszy i naj-bardziej władczy, od którego zawsze trzymaliśmy się w lice-um z daleka, z którym nigdy się nie uczyliśmy. Nie zauważa-liśmy go na imprezach, a na egzaminie nie pomogliśmy, nie daliśmy mu żadnej podpowiedzi. Mieliśmy nadzieję, że już nigdy więcej go nie zobaczymy; on zaś wrócił, triumfujący, aby zemścić się za dni, kiedy go ignorowaliśmy. Zaczęliśmy go więc traktować jako coś niemiłego, stałego, przynajmniej do czasu, kiedy znowu uwolnimy się od niego.

Przypomniałem sobie pewne zdanie, które wiele lat temu gdzieś przeczytałem, a które zlekceważyłem, ponieważ wów-

czas mnie nie dotyczyło. Teraz zaś było na czasie: „Choroba to cena, jaką dusza płaci za zajmowanie ciała, jak lokator płaci czynsz za mieszkanie, w którym żyje”.

Doktor Leibowitz, wyjaśnwszy moją przyszłość jako człowieka chorego, stał teraz z lekkim uśmiechem, nie wiem, czy solidarności, czy naukowego zainteresowania dla moich palców, które miał amputować. Dlatego rzuciłem mu ostre jak brzytwa spojrzenie, długie i mrozące, jak gdyby to on był tym starym i zniechęconym kolegą z klasy. Leibowitz zaś, nie zwracając uwagi na moją minę, powiedział:

- Ojciec Matteo, mam zamiar leczyć ojca i wyleczyć, ale ojciec, jak mówią, ma trudny charakter. Mamy bardzo nie wiele czasu, który pragnę maksymalnie wykorzystać, zanim obetnę ojcu palce u rąk, a potem inne części, co nie wyda je mi się wspaniałą perspektywą dla ojca przyszłości. Nie prawda? W każdym razie jeśli ojciec sądzi inaczej, mogę za demonstrować niezłe stalowe protezy, o których już wspominałem. Oczywiście nie są z krwi i kości. Niemniej wielu ludzi chwali je sobie, uznaje za czyste i technicznie lepsze od kończyn, jakie zaoferowała Matka Natura.

Zrozumiałem, że stara się mnie sprowokować, miałem nadzieję, że dla mojego dobra, odpowiedziałem więc uprzejmie, że jeśli sądzi, że mnie przeraził, to mu się nie udało. Kapłan potrafi stawić czoła męczeństwu. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że zdanie to zabrzmiało zbyt patetycznie. Leibowitz uśmiechnął się znowu i powiedział, jak gdyby decyzję podjął za mnie - a faktycznie tak było:

- Kroplówkami zajmie się siostra Matilda. Jest tu wiele sióstr, lekarze są Żydami, jak ja, a właściwie Kuzynami od Ściany, jak ojciec nas nazywa. Nie ma za to Przyjaciół ze Skał, ani pośród nas, ani pośród personelu paramedycznego. Któręś razu będzie mi ojciec musiał wytłumaczyć, które

z dwóch określeń jest mniej sympatyczne. Nie chciałbym, aby ojciec przekładał Przyjaciół nad Kuzynów, między innymi dlatego, że to Kuzyni ojca leczą, proszę pamiętać. Teraz podamy pierwszą kroplówkę, następna będzie wieczorem. Od jutra - raz na dzień. Proszę być grzecznym i nie wagarować, bo to ojca zdrowie, a nie moje, ma otrzymać najlepsze stopnie. I proszę, żeby ojciec był przygotowany na egzamin.

Jeszcze nie wiedziałem, czy odpowiadał mi jego styl mówienia i traktowania. Ale o tym postanowiłem zdecydować później. On tymczasem pozdrowił mnie, mrucząc pod nosem:

- Kuzynie czy Przyjacielu... jak ojciec woli.

Do pokoju weszła siostra Matilda z całym oprzyrządowaniem koniecznym do podłączenia kroplówki. Była chuda i wysoka. Miała na sobie obszerny biały fartuch. Jej oczy były małe i słowiańsko błękitne. Włosy spięła pod białym czepkiem. Od razu przekonałem się, że lubi mówić, że nie potrafi się obejść bez gadania. Jej głos był wysoki i nosowy, jednostajny, ale przyjemny. Zdania budowała z uwagą, nagminnie posługując się czasownikami. Nie uciekała do krótkiego słowa, kiedy bardziej odpowiednie było długie. I nie robiła pauz. Była jak rzeka, która płynie w sposób uregulowany i stały, unosząc, pieszcząc i otaczając wszystko, co napotyka na swojej drodze.

Kroplówka trwała godzinę. W tym czasie dowiedziałem się o opiniach, zwyczajach, historii powołania siostry Matildy oraz o dziejach jej rodziny, braci, kolegów z uniwersytetu. Jest Hiszpanką, a właściwie Kastylijką, jak wyjaśniła wyniosłe. Na cmentarzu, w miejscowości, gdzie żyli jej dziadkowie, zanim wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych, za kościołem leżą groby przodków, rzemieślników. Dumna jest ze swego pochodzenia, ale także z faktu, że urodziła się w Ame-

ryce, chociaż dla niej jest to obszar rozciągający się wzdłuż wybrzeża atlantyckiego, a za prawdziwych Amerykanów uznaje jedynie osoby pochodzenia angielskiego, holenderskiego i hiszpańskiego. Tych, którzy przybyli później, czyli Szwedów, Niemców, Irlandczyków, Włochów, Rosjan i Polaków, jednym słowem wszystkich, którzy wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych w ostatnim stuleciu, uważa za niepełnych Amerykanów. Ale jako dobra katoliczka i kobieta głęboko wierząca, która poświęciła swoje życie Bogu, modli się za nich i jeśli tego potrzebują, pomaga im.

Już przed przyjazdem do Jerozolimy była sumienną pielęgniarką. W Saint Louis pracuje od roku, a trzy miesiące temu, jak wyznała z dumą, awansowała na szefową pielęgniarek. Wyjaśniła mi, że jest także wspaniałą kucharką. Jej siostry nie znają nikogo, kto robiłby tak wspaniałe placki z jabłek. Rozumie powagę mojej choroby, gdyż jej wiadomości z zakresu medycyny są wszechstronne. Ale nie brakuje jej nadziei. Nie cieszy się dobrym zdrowiem i przeszła dwie operacje, jedną na migdałkach, a drugą na wyrostku. Pomyślałem, że to nie były poważne operacje.

Siostra Matilda powiedziała też, że przeczytała wiele książek traktujących o technice konwersacji i że prowadzi zeszyty, w których zapisuje najciekawsze anegdoty zasłyszane od różnych współrozmówców. I kiedy przychodzi do uroczystej kolacji, na przykład aby uczcić urodziny jakieś siostry, wcześniej uczy się kilku, by nie dopuścić do kłopotliwej sytuacji. Stawia koło nich znaczek „S”, jeśli może je opowiedzieć siostrze, i „L”, gdy są bardziej odpowiednie dla towarzystwa lekarskiego. Wyjaśniła też, że jest specjalistką od kawałów, ale nie opowiedziała mi żadnego. Poza tym jest pilną i dokładną czytelniczką; czyta z ołówkiem w rękę, podkreślając

najbardziej interesujące ją zdania, a tych, które uznaje za najbardziej pożyteczne dla swoich potrzeb, uczy się na pamięć.

Kropiółka, na moje szczęście, skończyła się. Siostra Matilda nagle, jak gdyby nie miała już nic więcej do powiedzenia, a czas na jej słowa odmierzano był przez krople spływające do moich żył ze szklanej buteleczki, pożegnała się, przypominając o wieczornym spotkaniu.

Wstałem. Mogłem chodzić. Poszedłem do łazienki znajdującej się w pokoju, popatrzyłem na siebie w lustrze. Moja twarz przeraziła mnie: długa broda, worki pod oczami. Potem przypomniałem sobie, że rzadko spoglądam na siebie i że prawdopodobnie tak zazwyczaj wyglądam, dlatego nie powinienem się przejmować. Jest to oznaka upływu lat i razem z bólem w dłoniach powinienem przyjąć ją z franciszkańską cierpliwością. Ale nie ze zrezygnowaniem.

Przemyłem twarz, zastanowiłem się chwilę, czy się ogolić. Mogłem zapuścić gęstą brodę jak prorocy, ale biorąc pod uwagę mój wiek, prawdopodobnie byłaby szpakowata, a to wcale mi się nie podobało. Machnąłem ręką i lekceważąc ból, ogoliłem się, co prawda niezbyt dobrze, gdyż nie byłem w stanie porządnie utrzymać maszynki.

W pokoju znalazłem walizkę. Siostra Matilda powiedziała, że przewidujący ojciec Ramon dostarczył jej wszystko, co mogłoby być potrzebne. Nałożyłem spodnie z beżowego płótna z ogromną ilością kieszeni, lekką bawełnianą koszulę, przypuszczam, że wyprodukowaną w Indiach, w tym samym kolorze, ale w nieco jaśniejszym tonie. Moja siostra podarowała mi trzy takie koszule, nosiłem je na przemian, ponieważ były wygodne i cienkie.

Popatrzyłem na dłonie z czułością, z jaką patrzy się na chore dziecko, żywiąc nadzieję, że nie jest to zbyt poważna

choroba i że jego stan w każdym razie nie ulegnie pogorszeniu. Ważne, żeby żyło. W tym momencie byłem gotów zaakceptować je takie, jakie są, z ich gniciem i bólem, jakie mi sprawiały, bylebym tylko zdołał je zachować. Perspektywa stalowych protez przerażała mnie i nie bawiła mnie nawet myśl, że przypominałbym kapitana Hooka. Straciłem typową dla mnie ironię. A to było niepokojące.

Założyłem białe rękawiczki, wyszedłem na korytarz i skierowałem się w stronę pokoju Vidigala. Dobrą stroną tego miejsca było to, że nie przypominał szpitala. Podłoga była marmurowa, jak we włoskich domach z początku lat pięćdziesiątych, a drzwi do sal pomalowane na różne kolory: biały, szary, jasnobrązowy. Może każdy kolor sugerował stan zaawansowania choroby? W takim razie biały oznacza początek, szary stan pośredni, a brązowy - pogorszenie stanu pacjenta. Brakowało zielonego - koloru nadziei.

Drzwi Vidigala były białe, a zatem moje przypuszczenia okazały się błędne. Zapukałem, usłyszałem, że mogę wejść. Pokój był dokładnie taki jak mój. Vidigal wyglądał na bardzo zmęczonego. Skinięciem zaprosił, bym usiadł na łóżku, obok niego.

Od razu przeszedł do rzeczy:

- Matteo, musisz się leczyć - powiedział. - Nie gódź się z cierpieniem bez walki. Znam cię. Wiem, że zdolny jesteś do wielkiego bohaterstwa. Ale Pan chce, abyś był cały, pamiętaj o tym. Twoja choroba nie jest Mu potrzebna, uwierz mi. A jeśli chcesz rady, częściej mnie odwiedzaj. Posłuchaj się moim bólem, jakby był twój.

Kiedy tak mówił, zdałem sobie sprawę, że odrzucałem myśl o jego raku. Oddaliłem ją od siebie, a wszystko po to, aby uniknąć ogromnego smutku, że on wkrótce odejdzie. Teraz narastało we mnie pragnienie, aby przeprosić go za to

zaniedbanie. Vidigal zrozumiał, o czym myślałem. Uśmiechnął się i delikatnie pogłaskał po białych rękawiczkach.

- Matteo, czy wiesz, jak traktuję ten mój stan? Dużo śpię i mam sny. Często szybuję na dużych wysokościach, na głowie futrzana czarna czapka, a na niej baskijka i kapelusz z długim piórem, i melonik, a na końcu cylinder. Ktoś, brat, którego nie znasz, a który przebywa dzisiaj w zakonie w Asyżu, stara się mnie przytrzymać leżącego na ziemi, a ja usiłuję podskoczyć, ale przede mną jest przepaść, lecz zamiast spadać, przyczepiam się do gładkiej ściany, na siłę, z paznokciami niemalże wbitymi w skałę. Wreszcie się budzę, w szpitalnym łóżku. Matteo, gdy byłem mały, wycięto mi migdałki. Jadłem tylko lody i bardzo mi się to podobało. I właśnie podczas tych kilku dni pobytu w szpitalu, w Mediolanie, po raz pierwszy zobaczyłem Hektora Schmitza, w gazecie, którą ktoś zostawił na krześle przy łóżku sąsiada. Leżałem na korytarzu. Przeczytałem historię tego pisarza, który kazał zwać się Italo Svevo i pracował jako urzędnik. Od tamtego czasu zawsze niósł mi pocieszenie. Znasz jego książki?

Nie znałem. Vidigal stwierdził, że warto, abym je przeczytał. Wyjaśniłem, że boję się śmierci. Chociaż jestem księdzem. Tylko jemu mogłem się z tego zwierzyć. I z tego, że od kiedy zaczęły się problemy z rękoma, zacząłem się przerażliwie bać, że kiedyś, na górze Nebo, gdy będę siedzieć po kolacji na tarasie i oglądać światła Jerozolimy i Betlejem, ktoś napadnie mnie od tyłu i wbije sztylet.

A potem opowiedziałem mu o pierwszym bólu, jakiego w życiu doświadczyłem. Któregoś lata, miałem chyba dziesięć lat, gościłem u ciotki w Alicudi. Rodzice pochodzili z Ginostri, ale część rodziny mieszkała w Alicudi. Jak mawiała mo-

ja matka, na tych dwóch wyspach głód idzie w parze z pragnieniem. Sierpień w Alicudi spędziłem w towarzystwie kormorana, który się zgubił albo zatrzymał tu na zimę, bo może rozboliła go łapka czy skrzydło, a jego stado poleciało dalej, ku Afryce. Za swój dom wybrał skały niedaleko od małego mola. W tamtych czasach statek nie przybijał do portu, zatrzymywał się sto metrów od wybrzeża. Pasażerowie przypływający i wypływający wsiadali do „Rollo” - tak nazywała się szalupa, która dowoziła ludzi.

Około ósmej rano kormoran wzbijał się do lotu, krążył przez dziesięć minut nad urwiskiem, a potem wracał na swoje miejsce.

Zacząłem obserwować jego zwyczaje. Nie mogę powiedzieć, że przywykł do mnie, miałem jednak nadzieję, że wyczuwam jego uczucia i skłonności. Latał wysoko, a potem rzucał się jak strzała do wody. Nie łapał jednak ryb. Wolał jeść to, co ja mu przynosiłem i co dostawałem od rybaków wracających wczesnym rankiem z nocnych połowów na morzu. Potem rozsiadał się na wodzie i zasypiał, zachowując jednak czujność, gdyż nurt wody nigdy go nie zniósł.

Pod koniec sierpnia, w poniedziałek o godzinie ósmej kupiłem pół kilo sardynek i poszedłem na małe molo. Kormoran leżał nieruchomo na wodzie. Wyglądał, jakby spał, ale on był martwy. Doszedłem wtedy do wniosku, że zabiło go cierpienie.

Vidigal stwierdził, że może to samotność odebrała mu życie. Często jednak samotność jest bliską krewną cierpienia. I dodał:

- Matteo, w Jerozolimie zawsze stoimy na rozdrożu. Nie ma nawet sensu temu zaprzeczać! Odpowiada to naszym historycznym i ludzkim uwarunkowaniom. Jak tylko wychodzimy na ulicę, stykamy się i konfrontujemy ze sprzeczny-

mi realiami. Aby zachować z nimi kontakt, nasza wyobraźnia musi wymyślać coraz to nowe gesty, nowe słowa, nowe postawy. Duchowa odpowiedzialność, jaką musimy na siebie przyjąć, nie jest mała. Nie daje nam spokoju, ani kiedy spowiadamy nieznanego, ani kiedy stykamy się z inną kulturą, wykraczającą poza obszar naszych znajomości czy przekonań, ani kiedy zmierzamy się z innym sposobem bycia i mówienia wewnątrz naszej własnej tradycji, gdzie pewne sprawy w krótkim czasie przeszły znaczną ewolucję. Wiesz, co jest dzisiaj prawdziwym problemem nie tylko dla katolicyzmu, ale i dla całego chrześcijaństwa? Wątpliwość zawsze czyhała na wierzących, ale teraz erozja wiary w prawdy *Credo* dosięgła także wielu z nas, kapłanów. Oczy Vidigala płonęły.

- Dlatego tylu mężczyzn i kobiet Kościoła rezygnuje ze świadczenia o *sacrum*, aby przekształcić się w świadków życia rzeczywistego i budowniczych dobrych rzeczy na ziemi, mówi nieustannie i jedynie o ubóstwie człowieka, a nigdy o wielkościach Boga, które należy kontemplować, a miłość zastępuje solidarnością, modlitwę zaś społecznym zaangażowaniem społecznym, bo Jezus został sprowadzony do zwykłego proroka tradycji żydowskiej, głoszącego pokój, solidarność, dialog, ale nie Królestwo Boże. Skoncentrowanie wielu z nas na problemach świata odpowiada osłabieniu nadziei na życie w zaświatach.

Długo wpatrywał się we mnie. Spytałem, czy jego zdaniem poświęcenie moich dłoni wyraża wolę Boga i może okazać się pożyteczne. Odpowiedział wymijająco:

- Pamiętaj, Matteo, to my jesteśmy księżmi i zawsze musimy na nowo oceniać nasz sposób myślenia i wyrażania się. Przed nami stoją ojcowie rodzin. Kuzyni od Ściany, którzy na przykład chronią własne dzieci, i Przyjaciele ze

Skały, którzy zachowują się w ten sam sposób. A co jeśli jedna wola wchodzi w konflikt z drugą? I oto masz rozdroże. Przynależy do naszej codzienności i zaprzeczanie jej istnieniu równoważne jest wymijaniu się od obowiązku ciężącego na kapłanie żyjącym na Ziemi Świętej. Oczywiście nie chodzi o zastąpienie naszej kapłańskiej prawdy wielością prawd mniej lub bardziej sobie równoważnych. Gdyby tak miało być, nie istniałoby ani prawdziwe rozdroże, ani trudność wyboru. Dziś często istnieje zamieszanie między prawdą minioną, jedyną, rozdrobnioną, a wielością, której stawiamy czoła.

Nie można zniszczyć jednego systemu wartości, nie zastępując go innym, lepszym. Wykroczyć poza naszą kulturę to porzucić przekonanie, że nasza dawna prawda jest definitywna. Słuchanie innych, bez względu na to, czy są Kuzynami od Ściany, czy Przyjaciółmi ze Skały, pomaga w kapłaństwie. Natomiast rezygnacja z otworzenia się na odmienne kultury i tradycje oznacza strach, że nasza kultura i tradycja nie jest wystarczająco dobra.

Matteo, zawsze stoimy na rozdrożu. Być może to jest nasz krzyż, który musimy dźwigać, i to na sposób mało widoczny. Dobrze by było, gdybyśmy mogli dzielić go ze wszystkimi, by wspólnie nieść naprzód kielek naszego człowieczeństwa. Ale pamiętaj, im więcej śnimy, tym bliżsi jesteśmy śmierci.

Jego głos pełen był teraz bólu. Mówił dalej:

- Pomyśl, Matteo, o stu tysiącach drzew oliwnych wyrwanych z korzeniami, aby wybudować mur na Zachodnim Brzegu Jordanu. One stały się moją obsesją. Pomyśl o już wzniesionych dwustu kilometrach i setkach milionów dolarów wydanych na to szaleństwo.

Zmieniłem temat. I opowiedziałem o wycieczce - jak ją nazwałem - do miejsca chrztu Jezusa. Vidigal zainteresował

się. Kilka razy prosił, abym opisał Maga, a ja za każdym razem dodawałem jakiś szczegół, a to o otyłości, a to o sposobie ubierania się czy mówienia. Vidigala tak to bawiło, że na koniec obiecałem, że następnym razem zabiorę go ze sobą i wspólnie wypijemy z nim kawę. Wyraźnie się zasmucił.

- Matteo, czy ja kiedykolwiek wyjdę ze szpitala?

- Oczywiście - stwierdziłem, ale on wyczuł brak przekonania w głosie. Wtedy, niejako na przeprosiny, opowiedziałem o jaskini i szkieletach. Poprosił, abym podarował mu obrożę. Zapewniłem, że następnym razem przyniosę mu ją.

- Kiedy? - zapytał nieco piskliwie.

- Jutro.

Wróciłem do swojego pokoju, rozmyślając nad tym, że wierze pozbawionej rozumu grozi ogołocenie albo nieludzki charakter, a rozum bez oparcia w wierze czy tajemnicy niechybnie popada w dogmatyczny relatywizm. Jednak dla mnie nadal istniało tylko jedno fundamentalne pytanie: czy poświęcenie moich rąk było na coś potrzebne Bogu?

Nie udało mi się wyjść ze szpitala. Doktor Leibowitz, który moim zdaniem ukrył się w pustym pokoju obok i tam na mnie czekał, poprosił, abym pozostał dwanaście godzin na obserwacji. Chciał się upewnić, że wezmę dwie kolejne kroplówki. Potem miałem dostawać już tylko jedną dziennie. Najlepiej wcześniej rano. Spytałem, dlaczego zmienił zamiar.

- Dla dobra ojca.

Pozegnał się, a na jego miejsce przyszła siostra Matilda. Ona chyba też ukryła się w tym samym pokoju. Wyglądała na spokojniejszą i mniej gadatliwą, kiedy siedziała przy mnie, pilnując, aby igła tkwiła we właściwym miejscu w żyłę i żeby krople spływały regularnie. Przyznała się, że ma jedno marze-

nie. Chciałaby zaprowadzić grupę osadników do Ściany Płacz. I podczas gdy oni modliliby się, zawodząc głośno, ona weszłaby na Górę Świątynną, rozłożyła na skrawku ziemi płótno z wypisanymi nazwiskami osadników ze Strefy Gazy, którzy musieli ją opuścić. Potem wróciłaby do Ściany Płacz i powtórzyłaby tę czynność, tym razem jednak z imionami uwieczonych Przyjaciół ze Skały. Problem był jednak taki, czy pozwolono by jej na takie demonstracyjne akty. Powiedziałem, że wątpię. Siostra Matilda zdradziła, że pomysł przyszedł jej do głowy po ewakuacji Strefy Gazy. Nauczyła się na pamięć nazw wszystkich osiedli wraz z liczbą mieszkańców. Zaczęła mi je wyliczać:

- Elei Sinai, 400 osadników. Pougit, 40 osadników.

Powstrzymałem ją, pytając, czemu miałyby to służyć. Powiedziała, że co wieczór modli się za każdą z pustych już osad.

Dni, w których przeprowadzono ewakuację, uznała za dni żałoby z powodu Kuzynów od Ściany, żałoby z powodu osobistego bólu osadników, których marzenia legły w gruzach, żałoby, gdyż Izrael, państwo, które ją gościło i które ona uznawała za Ziemię Świętą, zmuszony był działać w tak brutalny sposób wobec swoich własnych obywateli. Nie zdoławszy nawet wykorzystać tej okazji, by rozpocząć prawdziwy proces zaprowadzania pokoju. Żałoby z powodu przepaści, która się wytworzyła, z powodu Kuzynów od Ściany, którzy musieli porzucić własne domy, z powodu wszystkich młodych Przyjaciół ze Skały przetrzymywanych w okropnych więzieniach na środku pustyni.

Pragnęła, aby ludzie w Jerozolimie, zarówno z jednej, jak i drugiej części, płakali nad utraconym marzeniem, nad złamanymi życiami, nad utraconymi siłami, nad zasobami, które mieli do dyspozycji, aby owocować i stawać się coraz

lepszymi, i nad tym, że zamiast korzystać z nich, sycili się tylko krwią. Zbyt wiele energii zmarnowano.

Nie przerywałem jej, gdyż widziałem, że wkłada w to całe serce i jest szczerą. Zrozumiałem jednak jedną rzecz. I nie zastanawiałem się dwa razy, czy ją o to spytać:

- Czy siostra jest nawróconą Kuzynką od Ściany?

Uśmiechnęła się słodko:

- Nie pytam, jak ojciec to odgadł. Być może w moich słowach pobrzmiwała absolutna wiara i prawdziwy ogrom współczucia.

- Nie tylko. Siostra mówi z żarliwością człowieka, który dogłębnie zna te problemy. Kto żył w Gazie, jak przypuszczam.

Tak, potwierdziła. Rok. Ale jeden z kuzynów, jego żona i dzieci od początku żyli w Gazie. Ich wyjście traktowała więc jak nową diasporę.

Kropłówka skończyła się. Delikatnie wyjęła igłę z żyły, podziękowała za zrozumienie i pogłaskała mnie po głowie. Powiedziałem, że chcę wrócić do Vidigala.

- Zna ojciec drogę. Ten szpital to ojca drugi dom.

Natychmiast zdała sobie sprawę, że zdanie to było mało delikatne. Od razu się poprawiła:

- Chciałam powiedzieć, że wie ojciec, gdzie iść. - I dodała: - Do zobaczenia rano. Proszę nie zapomnieć!

Kiedy zwiewnie i lekko wychodziła z pokoju, poczułem zapach perfum, których nie wyczułem podczas pierwszej kropłówki. Była to męska woda kolońska Atkinsona, ta sama, której używał mój ojciec w niedzielę, gdy po kąpieli wkładał dobry garnitur, by iść na mszę.

Kościół w Ginostrze leżał dwieście metrów od naszego domu. Ja i moje dwie siostry, matka i oczywiście ojciec ubieraliśmy się w najlepszą odzież. Każdy z nas otrzymywał

zadanie. Zamknięte w plecakach, które nieśliśmy na ramionach. Wszystkie były jednakowe, z logo tego samego towarzystwa lotniczego, chyba Air France. Znajomy ojca, nie pamiętam, czy steward, czy może nawet pilot, dał mu je w geście podziękowania za wyświadczoną przysługę.

Ten znajomy przyjechał do Ginostry na wakacje, ale przy wyjeździe zapomniał walizki, a mój ojciec w krótkim czasie odesłał mu ją. Normalna i banalna rzecz. Dług wdzięczności spłacił, podarowując całej rodzinie plecaki.

W moim, najcięższym, znajdowała się woda mineralna i puszki z coca-colą; siostry niosły chleb, wędliny i jajka na twardo; w plecaku mamy były owoce, a u ojca - wino, kurczak i pieczone króliki. Po mszy ojciec częstował wszystkich obecnych. Często nie starczało dla mnie. Ale uznawałem to za ofiarę, więc nie było mi przykro.

Zapach Atkinsona rozwiął się. Opuściłem rękaw koszuli, nałożyłem kurtkę, wyszedłem z pokoju i różnym krokiem skierowałem się do Vidigala. Stałem przed drzwiami. Zapukałem. Nie odpowiedział. Otworzyłem. Oddychał normalnie, chrapał, ale z typową dla siebie dyskrecją. Pomyślałem, że może wyzdrowieje. To nie było niemożliwe, zdarzały się cuda. Podeszedłem, długo patrzyłem na jego twarz. Spontanicznie wykonałem gest, którego nigdy dotychczas nie robiłem. Puściłem mu całusa. A właściwie dotknąłem ustami moich chorych palców i dmuchnąłem całe uczucie i czułość w stronę jego twarzy, uważając, aby go nie zbudzić.

Wyszedłem ze szpitala, sprzeciwiając się życzeniu, a właściwie poleceniu Leibowitza. Postanowiłem wrócić na noc do konwentu Najświętszego Zbawiciela. Wcześniej jednak przystanąłem przy kiosku obok Bramy Nowej i z apetytem zjadłem kebab. Właściwie zamówiłem dwie porcje. Jadłem na stojąco, popijając zimną, ale nie zmrożoną colą.

Pokrzepiony na ciele i w dobrym samopoczuciu, pomimo bólu w rękach, podążyłem w stronę Kustodii. Po drodze spotkałem kilku współbraci, którzy z troską spytali o zdrowie. Szerokim machnięciem zapewniłem ich, że wszystko w porządku. Ich zadowolenie było może zbyt namaszczone, ale szczere. Dotarłem do Najświętszego Zbawiciela i skierowałem się prosto do gabinetu, skąd zszedłem do kaplicy. Długo dziękowałem Panu. Kiedy wróciłem na górę, spotkałem czekającego już na mnie ojca Ramona. Po okolicznościowym powitaniu przypomniał mi o spotkaniu z nowym Nuncjuszem Ziemi Świętej i wręczył jego list. Potem oddalił się.

List Nuncjusza i książka Margot

Nigdy nie lubiłem umawiać się naprzód. Skąd mam wiedzieć, czy danego dnia, może za trzy lub cztery tygodnie, będę miał ochotę zjeść kolację z daną osobą? Tymczasem może pojawić się znacznie ciekawsza alternatywa. I co wtedy? Data zostaje z reguły ustalona z tak dużym wyprzedzeniem właśnie po to, aby obie strony miały pewność, że będą wolne. Ale to nie wszystko: tak wczesna zapowiedź spotkania każe od razu przypuszczać, że pełne będzie napuszonych słów i komplementów.

Zawsze sądziłem, że aby moje wymówki nie brzmiały niegrzecznie, muszą być niezwykle ważne. Ale nie mogłem ciągle wykręcać się mozaikami, zwłaszcza że wszyscy wiedzieli, że - podobnie jak pozostali archeologowie - kopałem w lecie. Jednym słowem nieraz musiałem zgodzić się na spotkanie za miesiąc, wiedząc, że przez wszystkie następne dni ciążyć nadę mną będzie ponura perspektywa.

Takie spotkanie bruździło mi w planach, wprowadzało do mojego życia udawkę. Był tylko jeden sposób, aby go uniknąć: odwołać w ostatniej chwili. Byłem jednak zbyt dobrze wychowany, aby postępować w ten sposób.

Od kiedy zaś zostałem wybrany na Kustosza, spotkania wybijały rytm moim dniom. W większości przypadków znosiłem je cierpliwie.

Nowy Nuncjusz Stolicy Apostolskiej na Ziemi Świętej pojawił się nawet w szpitalu, jak powiedział doktor Leibowitz: klasyczne grzecznościowe odwiedziny, w przekonaniu, że i tak się ze mną nie spotka. Z pewnością nie byłem w stanie prowadzić żadnej rozmowy, nawet czysto formalnej.

Miesiąc wcześniej, tuż po swoim przyjeździe do Jerozolimy, z typowo kurialną uprzejmością Nuncjusz przesłał mi liścik, zapowiadając swoje odwiedziny i wyrażając nadzieję, że takiego a takiego dnia o takiej i takiej godzinie nie będę miał innych obowiązków. W rzeczywistości sam zdecydował o naszym spotkaniu, z precyzyjną dokładnością. Ale na tym nie koniec. Teraz, na dzień przed spotkaniem, przesłał oficjalny list.

Pierwszą moją reakcją, jak tylko ojciec Ramon zamknął za sobą drzwi, była chęć wyrzucenia go. Dobrze jednak wiedziałem, że nie mogę tego zrobić. Dlatego z rezygnacją oddałem się temu, co, jak przewidywałem, okaże się nudną lekturą.

Nuncjusz pisał, że chce porozmawiać o kwestiach, jakie wspólnie powinniśmy rozważyć. Moja pierwsza i oczywista uwaga brzmiała, że on już je rozważył sam i dlatego rozmowa będzie raczej trudna. Wszyscy księża przybywający z Rzymu byli tacy sami, bez względu na stopień w hierarchii. Różnił się tylko kardynał Martini: prowadził dyskretne życie, w poszanowaniu dla siebie i dla innych. I faktycznie, nie spotykaliśmy się, chociaż nawzajem darzyliśmy się wielkim szacunkiem. Bo cóż nowego mogliśmy sobie powiedzieć? Kiedyś, przy stosownej okazji, przeprowadziliśmy długą i szczerą rozmowę.

List Nuncjusza tak dalej brzmiał: „Pragnę wyjść od kwestii geograficznego rozmieszczenia ludności żydowskiej na świecie, cechującej się trzema głównymi ośrodkami: obie Amery-

ki, na pierwszym miejscu Stany Zjednoczone; państwo Izrael; Europa wraz z wielorakością narodowych sytuacji. Na początku trzeciego tysiąclecia owe trzy bieguny życia Żydów znacząco odbiegają od siebie. Każdy z nich, oglądany z punktu widzenia antysemityzmu, prezentuje szczególne aspekty.

Pragnę w pierwszym rzędzie przypomnieć, że ruch syjonistyczny i emigracja do Stanów Zjednoczonych miały swój początek w tym samym okresie, w wieku XIX, i posiadają wspólną cechę. W obydwu przypadkach Żydzi z różnych państw Europy, a w szczególności ci z Europy Środkowo-wschodniej, chcieli uciec z obszarów Starego Świata, od jego sprzeczności i prześladowań. Gdzie mieli się skierować, by znaleźć ziemię, która przyjąłaby ich, gwarantując godność i prawo obywatelskie?

Syjonistyczny projekt zrodził się, aby wyrwać Żydów z ich stanu diaspory, postrzeganej jako główna przyczyna antysemityzmu.

Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone, projekt «ojców założycieli», potomków angielskich dysydentów z XVII wieku, zaoferował żydowskim imigrantom zasady przyjmowania, które odpowiadały ich pragnieniom i oczekiwaniom. W Europie bowiem państwa narodowe były praktycznie tożsame z wyznawaną religią. Dlatego też Żydzi zachowywali status ludzi obcych, w mniejszym bądź większym stopniu otoczonych opieką. Stany Zjednoczone zostały stworzone przez dysydentów, przekonanych, iż aby każdemu zagwarantować całkowitą wolność w kwestii wyznania, należy ogłosić oddzielenie władzy świeckiej od jakiegokolwiek instytucji wyznaniowej. Żydowscy emigranci mogli dzięki temu zachować własną tożsamość, stając się obywatelami nowej demokracji, zdolnej zapewnić swoim członkom poszanowanie praw człowieka,

i radykalnie odcinając się od politycznych systemów Starego Kontynentu.

Trudno się zatem dziwić, że w samym procesie narodzin Stanów Zjednoczonych można odnaleźć aspekty przywołujące nierzadko w sposób zaskakujący aspekty państwa izraelskiego.

Ucieczka i rzeź Żydów były nieodwołalną stratą dla kultury narodów Europy. Myślę w szczególności o Polsce, Rumunii, Litwie, Niemczech, Austrii. Stratą niepowetowaną także dla europejskiej tożsamości, którą od półwiecza staramy się «odzyskać». I to właśnie w Stanach Zjednoczonych i w Izraelu znaleźli schronienie uchodźcy z europejskiego potopu, ofiarowując cywilizacji tych nowych światów własną kulturę.

We wszystkich tych przypadkach pojawiła się i nadal rozwija idea «skruchy» czy wręcz «naprawy», przyjęta przez nas i promowana w swoim historycznym i duchowym wymiarze, wspólnie z najbardziej autorytatywnymi przedstawicielami wyznania izraelskiego. Ojciec Święty Jan Paweł II wezwał wszystkie narody zaangażowane w okrutne konflikty do «oczyszczenia ich pamięci». Oczyszczenie możliwe jest jedynie za cenę szczególnej skruchy, poprzez udrękę rozdartego serca. «Nie gardzisz, Boże, sercem pokornym i skruszonym», jak głosi Psalm 51, wers 19⁸. Ale oczyszczona pamięć musi pracować także nad odbudowaniem przyszłości, wychodząc od głosowania soborowego z 1965 roku nad deklaracją nazwaną od jej pierwszych słów po łacinie *Nostra Aetate*, która otwiera nowy rozdział w stosunkach Kościoła katolickiego z narodem żydowskim.

⁸ Wszystkie cytaty pochodzą z Biblii Tysiąclecia, wydanie IV, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań 1984.

W świetle powyższego, Wielebny Ojcze, uważam, że walka z antysemityzmem nie może ograniczać się do tłumienia jego przejawów.

Zadanie, jakie nas czeka, jest niezwykle złożone i potrzebuję przyjaźni Ojca jako Kustosza i wielkiego archeologa".

Po tych słowach zaczynała się najciekawsza i mniej retoryczna, mniej banalna, ale za to bardzo krótka część:

„Krażą pogłoski dotyczące obecności pewnej tajemnicy na obszarze Jerozolimy. Rzym jest tym zaniepokojony. Dlatego przyjechałem do Ziemi Świętej. I potrzebuję Ojca pomocy i współpracy".

List Nuncjusza zanutził mnie. Nie rozumiałem znaczenia ostatnich zdań. Jerozolima pełna była tajemnic. Co tak bardzo niepokoiło Rzym, że wysłał jednego ze swoich „policjantów"? W pozostałych kwestiach jego uwagi były dla mnie tak oczywiste, że nawet nie zasługiwały na dalszą refleksję.

Pomyślałem, że spotkanie z Nuncjuszem nie będzie ciekawe. Całe ręce i dłonie bardzo mnie bolały. Może to on je zdenerwował. Tak się tylko pocieszałem.

Naszła mnie ochota, aby zerknąć do książki Margot. Muhammad, wręczając mi ją, błagał, abym natychmiast przeczytał. Leżała w torbie, która chociaż razem ze mną wyleciała w powietrze, w ogóle nie ucierpiała. Znalazłem ją w gabinecie, na biurku, jak gdyby była starą i dobrą towarzyszką. Ktoś musiał ją podnieść i przekazać ojcu Ramonowi.

Wziąłem tomik do ręki, przewertowałem. Pierwsze wrażenie nie było pozytywne. Wersy wydały mi się przesadnie długie.

- Kiedy je przeczytasz - powiedział Muhammad - zrozumiesz, kim była.

Historia pisana w pierwszej osobie rozpoczynała się zadziwieniem kobiety o imieniu Margot, ponad pięćdziesięcioletniej, w której umyśle pojawiło się podejrzenie, iż mężczyzna niewiele ponad dwudziestkę może być w niej zakochany. Najpierw Margot nie wierzy. Boi się oszustwa. Potem jest przerażona, kiedy odkrywa, że ten chłopiec potwornie ją pociąga. Z taką różnicą wieku, gdyby uwierzyła we własne uczucia, skazałaby się na wieczne nieszczęście.

Młodzieniec wyznaje jej niepohamowaną namiętność i sprawia, iż ona wyjawia mu swoją miłość; wówczas błaga ją, by uciekła razem z nim. Margot nie czuje się na siłach, aby zostawić męża, dom, dzieci. Jakież życie by na nich czekało, na dojrzałą kobietę i młodego chłopaka? Nawet najdrożsi i najszczersi przyjaciele wyśmialiby ją. A jej dzieci, jak by się zachowały? Poza tym, czy może być pewna, że ta miłość przetrwa próbę czasu? Wtedy prosi go, aby zlitował się nad nią. Ale napotyka na miłosny entuzjazm, który jest jak wir. Młodzieniec pragnie jej szaleńczo i w końcu Margot ulega namiętności. Po tym następuje okres ekstatycznego szczęścia. Każdy gest, każdy czyn jest cudowny.

Pojawiły się też smutne wersy, w których Margot żali się, jak straszne stałoby się jej życie, gdyby on ją porzucił. Ale wszelkie cierpienie warte było chwil radości, które przeżyła, i godzin wspólnie spędzonych w hotelu, gdzie się spotkali i gdzie leżeli objęci bez potrzeby mówienia.

Margot była przekonana, że historia skończy się po kilku tygodniach, a trwała aż trzy lata, zaś miłość i namiętność zamiast zanikać, tylko wzmagały się. Młodzieniec nadal nalegał, aby uciekła z nim do dobrego dalekiego kraju, ale kiedy po licznych wątpliwościach i niepewnościach zgodziła się, on nagle zmarł. Ostatnie wersy były wspaniałe. Margot w pełnych napięcia słowach wyjaśniła, że trzy lata warte były tyle

co całe życie, i uznawała za cudowny podarunek losu, że mogła zasmakować takiego szczęścia, gdyż nie wszystkim ludzkim istotom bywa ono dane.

Byłem wzruszony. Rzadko miałem okazję przeczytać tak wstrząsające słowa o miłości. A w duszy Margot mieściło się piękno i szczerłość.

Zadzzwoniłem do Muhammada. Powiedziałem, że natychmiast chcę się z nim zobaczyć. Spotkaliśmy się w restauracji na Nablus Road. Tylko ja mówiłem. Stwierdziłem, że tym, co czyni poemat Margot wyjątkowym, jest namiętność, jaką przeżywała w każdym wersie.

- Muhammad, wielcy poeci przemieniają w poezję najgłębsze cierpienia. Czytając te rozdzierające strofy, myślałem o Safonie. Margot jest wielka.

Muhammad obserwował mnie bacznie, gdy tak wychwalałem dzieło jego żony. I wyjaśniałem, że nie powinien czuć się upokorzony, ponieważ w rzeczywistości nie doszło do żadnej zdrady. Ona stworzyła prawdziwy hymn wiary w miłość, a to powinno go pocieszyć. Margot w żaden sposób go nie obraziła ani też nie miała zamiaru zranić. I gdyby nie umarła, z pewnością wszystko by mu wytłumaczyła.

Muhammad słuchał mnie z uwagą. Dokończyliśmy jeść. Właściwie on dokończył, gdyż ja tylko mówiłem. Podziękował mi, poczekał, aż przełknę zeberko cielęce, zapłacił i na koniec powiedział z niezwykle poważną twarzą:

- Matteo, jestem ci winien przysługę.

Wypadek czy zasadzka:

Pieszo poszliśmy w stronę Bramy Damasceńskiej. Muhammad był zamyślony.

- Powiedz mi jedną rzecz - spytałem. - Kto znalazł poemat Margot i opublikował go?

Westchnął przeciągle. Pokręcił głową, na jego twarzy pojawił się wyraz poirytowania.

- Matteo, zapewniam cię, że to niewiarygodna historia. Serce Margot przestało bić, kiedy była w naszym mieszkaniu w Paryżu, gdzie mieszka także nasza córka, Amina. Ona twierdzi, że to tylko chwilowe, zanim wynajmie coś dla siebie, ale nic się nie zmienia od trzech lat i jak przy puszczam, nie ma najmniejszego zamiaru się przeprowadzać. Margot poleciała do Paryża, aby spędzić z nią kilka dni. Amina powiedziała mi, a nie mam powodów, żeby jej nie wierzyć, że Margot dzień przed zawałem, kierując się chyba przeczuciem, wręczyła jej zeszyt w czarnej okładce z białą nalepką. Widniał na niej napis, coś na kształt tytułu, w cudzysłowie: „Poemat Margot Khaled”. Po pogrzebie Amina, niczego mi nie mówiąc, przekazała zeszyt swojej przyjaciółce, agentce literackiej, aby oceniła utwór. Ta pani wezwała ją dwa dni później, aby powiedzieć, że poemat jest wspaniały i da go do przeczytania pewnemu wydawcy, który był wręcz zachwycony. I tak doszło do

pierwszego wydania, potem drugiego, trzeciego, czwartego. Przypuszczam, że agentka sprzedała prawa na całym świecie.

Spytałem, kto podpisał kontrakt. Muhammad uderzył się w czoło zaciśniętą pięścią.

- Ja, jak jakiś głupiec! Nie wiedziałem nawet, o co chodzi. A Amina nieco mnie oszukała. Powiedziała, że to hołd dla mamy. Pomyślałem, że ten hołd jest w zbyt wielu językach, ale podpisałem wszystkie umowy.

- A co z prawami autorskimi?

Muhammad przystanął na środku ulicy.

- To dużo pieniędzy, Matteo, i ciągle napływają nowe. Postanowiłem razem z dziećmi, że wybudujemy za nie szpital pediatriczny w Gazie. Nie wiem, czy wystarczą, w każdym razie udostępniłszy naszemu rządowi olbrzymią sumę, która ciągle rośnie. Pieniądze leżą na koncie bankowym zapisanym na naszą trójkę.

Dotarliśmy przed Bramę Damasceńską. Powiedziałem, że mam ochotę przespać się w moim starym pokoju w Konwencie Biczowania, we Flagelacji, siedzibie Studium Biblicum Franciscanum. W moim prawdziwym domu, gdzie spędziłem najlepsze jerozolimskie lata. W miejscu, gdzie sam się uczyłem i gdzie wielu młodych braci i świeckich - którzy potem wrócili do swoich państw i zostali nauczycielami tego przedmiotu, a najlepsi spośród nich archeologami - nauczałem geografii biblijnej. Naszła mnie nagła tęsknota. Pojawiła się też myśl, że gdybym tam pozostał i nie zgodził się na urząd Kustosza, być może nie zachorowałbym, a moim palcom nie groziłaby amputacja.

Muhammad upierał się, że mnie odprowadzi. Od czasu do czasu uśmiechał się do własnych myśli. Miałem nadzieję że to reakcja na moje entuzjastyczne przyjęcie książki Margot.

Przeszliśmy całą Via Dolorosa⁹ aż do Flagelacji. Przed bramą klasztoru pożegnał się, mówiąc:

- Matteo, przypuszczam, że masz poważny problem z dłońmi. Nie chcę wiedzieć, co ci jest, skoro mi o tym nie mówisz, wierzę jednak, że wszystko będzie dobrze. Bo ty jesteś człowiekiem wiary, jak i ja zresztą.

Rogatki Kuzynów od Ściany, znajdujące się dokładnie naprzeciwko bramy naszego klasztoru, tuż przy wyjściu z tunelu, który biegnąc pod muzułmańskimi domami, łączy Via Dolorosa ze Ścianą Płaczu, były puste. Straż złożona zazwyczaj z trzech żołnierzy, jednego oficera i dwóch szeregowców, pojawiała się wczesnym rankiem, kiedy tunel otwierano dla wycieczek. Muhammad uścisnął mnie w milczeniu i wrócił Via Dolorosa do Bramy Damasceńskiej.

Otworzyłem bramę, posługując się dużym kluczem, który znacznie obciążał pęk, jaki zawsze przy sobie nosiłem. Nowoczesność kazała zmienić zamek na mniejszy, ale tradycja narzucała coś przeciwnego. Przeszedłem przez dziedziniec pewnym krokiem, chociaż podążałem w ciemnościach, wspominając wszystkie razy, kiedy wracałem późno. Gabinet i pokój sypialny znajdowały się na pierwszym piętrze.

Skrzynki na listy braci ze Studium znajdowały się w atrium, tuż przy ścianie, po lewej stronie bramy wejściowej i ze dwa metry przed schodami. Kiedy naciskałem kontakt światła, zerknąłem przez szybkę mojej skrzynki, bardziej z przyzwyczajenia niż w nadziei, że coś znajdę. O dziwo, leżał w niej telegram. Otworzyłem go. To Nuncjusz potwierdzał datę spotkania. Pomyślałem, że ten „rzymianin” nie potrafi

⁹Via Dolorosa - z łac. Droga Krzyżowa; tutaj ulica w Jerozolimie, po której zgodnie z tradycją szedł Jezus, dźwigając krzyż.

spokojnie czekać. Włożyłem papier do kieszeni w spodniach i wszedłem na schody.

Otwierając i czytając telegram, straciłem jakieś pół minuty, dlatego światło zgasło, kiedy jeszcze byłem na schodach. Musiałem po omacku dotrzeć do półpiętra. Nie zapaliłem lamp jednak, gdyż uznałem to za marnotrawstwo, a poza tym na pamięć znałem korytarz i rozkład pokoi.

Nagle naszła mnie ochota na kawę. Maszynka znajdowała się w gabinecie, podarował mi ją współbrat, z którym utrzymywałem dosyć letnie, by tak rzec, stosunki, ojciec Benjamin. Właściwie dał mi dwie maszynki. Ale używałem tylko Bialetti, wydawała mi się lepsza od Scuderi. Ponieważ nie dość, że marka była mało znana, co nie było wielkim problemem, to jeszcze kawa wychodziła bardzo wodnista.

Wkładając klucz do zamku, narobiłem niezłego hałasu. Zamek nie był zatraskowy, dlatego kiedy wychodziłem, musiałem dwukrotnie przekręcić klucz, inaczej każdy mógłby wejść, zwyczajnie naciskając klamkę. W gabinecie byłem trzy dni przed eksplozją, przez którą skończyłem w szpitalu, i na pewno zamknąłem drzwi tak jak zawsze. Teraz jednak klucz nie przekręcał się, a drzwi od razu się otworzyły. Co więcej, rozwarły na oścież.

W pierwszej chwili pomyślałem, że to Rifaat, Przyjaciel ze Skały, portier i złota rączka w Studium, który miał uniwersalny klucz, z jakiegoś powodu wszedł do gabinetu, może aby posprzątać, chociaż wiedział, że sam wolę to robić, a wychodząc - zwyczajnie zapomniawszy za sobą zamknąć. Dlatego wyciągnąłem rękę w lewo, aby zapalić światło. Nie od razu znalazłem kontakt, chociaż gest ten wykonywałem tysiące razy. Problem stwarzały dłonie, które w niewielkim stopniu mogłem wykorzystać, zatem żadnego ruchu, którego kiedyś były głównymi sprawcami, teraz nie było łatwo wykonać. Jednym

słowem, z trudem macałem po ścianie, gdy nagle mój nos zarejestrował coś, co mnie zaniepokoiło.

Prawie wszystkie gabinety mają swój charakterystyczny zapach. W moim unosiła się mieszanina atramentu, mielonej kawy i korektora w płynie. Ale to, co teraz czułem, było tak intensywne, że niwelowało wszystkie pozostałe wonie. Był to zapach wody lawendowej, i to szczególnie dobrej marki. Serce nieprzyjemnie podskoczyło mi do gardła. Znieruchomiałem, nie wiedząc, co robić. W tej samej chwili oblało mnie oślepiające światło latarki. Źródło stało jakieś dwa metry dalej. Podniosłem ręce, aby przesłonić oczy. Krzyknąłem:

- Co się dzieje...

Ale nie dokończyłem zdania. Kiedy otwierałem usta, by mówić dalej, usłyszałem suchy trzask, przypominający otwieraną puszkę coli i poczułem, że coś muska mnie po twarzy jak wełniana nitka. Sekundę później ogarnął mnie ostry ból. Ktoś łokciem walnął mnie po dłoniach. Jak gdyby tajemniczy gość wiedział, że były chore. Nie wiem jak, ale posługując się tylko łokciami, udało mi się go schwytać. Nie mogłem dobrze mu się przyjrzeć, ale wyglądał na chudsze i lżejsze ode mnie. I nie był chyba zdolnym zapaśnikiem.

Chwycił mnie jedną ręką za szyję, którą ścisnął bez przekonania. Ręce mnie paliły, ale walczyłem o życie, więc ból w tamtej chwili miał niewielkie znaczenie. Potem zaszło coś nieoczekiwane: napastnik poddał się. Jak gdyby zrozumiał, że jestem silniejszy. Po omacku zapaliłem światło. Stał teraz wyprostowany przede mną.

Wąły, średniego wzrostu, o ciemnej karnacji, ani piękny, ani brzydki, z czarnymi nastroszonymi wąsikami pod nosem. Miał ciemne i błyszczące oczy o długich rzęsach, ciemne,

krótko obcięte i z dbałością uczesane włosy i ubrany był na czarno. Popatrzyliśmy na siebie. Widziałem go już wcześniej i czułem jego perfumy. To był ten człowiek, którego spotkałem na Wzgórzu Świątynnym, gdy wychodziłem z Muham-madem.

Byłem sparaliżowany i nie wiedziałem, co robić. On patrzył na mnie szyderczo, a może tylko tak mi się wydawało. Nie wiem, jak długo staliśmy w milczeniu, obserwując siebie nawzajem. W pewnym momencie mężczyzna włożył rękę do kieszeni i wyciągnął flakonik zakończony pompką. Ze spokojem przyglądałem się jego gestom, a kiedy zrozumiałem zamiar, było już za późno. Powoli i ciągle patrząc mi w oczy, rozpylił coś prosto w moją twarz. Nie był to gaz łzawiący, zbyt dobrze go znałem, nieraz go zasmakowałem, gdy znalazłem się pośród zwyczajowych i codziennych starć między policją Kuzynów od Ściany a młodymi Przyjaciółmi ze Skały.

To było coś dziesięć razy gorszego, nie miało żadnego szczególnego zapachu i od razu zaczęło działać. Najpierw poczułem przeszywające ukłucie w nosie, potem w gardle i w piersi. Po tym nastąpiły torsje, ale mój żołądek nie uwolnił się od treści. A potem uderzenia, prawdziwe ciosy w brzuch, a także w ręce i w ramiona. Nie straciłem przytomności, ale zacząłem słać się na nogach, z zaciśniętymi powiekami, aż w końcu znalazłem krzesło, na które opadłem, nie robiąc sobie jednak krzywdy. Nawet nie próbowałem wstać. Jedyne, czego pragnąłem, to żeby wreszcie ból minął i żebym mógł znowu oddychać.

Nie wiem, ile minęło czasu, zanim przeszywające skurcze zelzały. Bałem się poruszyć, nie wiedziałem, czy utrzymam się na nogach, czy odzyskam równowagę. Ciągle byłem w gabinecie, ale siedziałem po ciemku. Po jakimś czasie, macając

wokół, spróbowałem poznać moją pozycję. Dotknąłem nogi od krzesła, na którym usiadłem, chroniąc się niejako od dalszych możliwych ataków, a to dało mi wyobrażenie miejsca, w którym się znajdowałem, koło biurka. Oczekałem kolejną minutę, potem przesunąłem się w stronę drzwi. Dopiero kiedy natrafiłem na framugę, wstałem. Żołądek i cały brzuch już się uspokoiły. Ręce nie, ale do tego byłem przyzwyczajony. Kiedy nogi wróciły do formy, znalazłem kontakt i włączyłem światło.

Na biurku panował porządek. Potrzebowałem czegoś mocnego. Drżałem z zimna. W jednej z szuflad - nie zostały przeszukane - leżała butelka whisky, prezent od jakiegoś brata, oraz kartonowy kubek. Nalałem po brzeg. Wypiłem duszkiem. Alkohol podziałał jak dobroczynna dawka energii. Postanowiłem wrócić do Najświętszego Zbawiciela na noc.

Wyszedłem z gabinetu. Rytuał zamykania drzwi wydał mi się bezużyteczny: przekonałem się, że każdy mógł wejść do środka. Złodziej nie znalazł tego, czego szukał. Albo nie zdążył. Ale kim był, czego chciał? Musiałem się tego dowiedzieć. Chciałem zobaczyć, gdzie się podział napastnik, czy zostawił jakiś ślad, czy uciekł przez główną bramę. Ale przede wszystkim, jak tu się dostał.

Bałem się wyjść na ulicę. Ale postanowiłem, że podejmę ryzyko. Zszedłem na parter. Tym razem zapaliłem zarówno światło na schodach, jak i na dziedzińcu. Ku mojemu wielkiemu zaskoczeniu zobaczyłem, że brama jest otwarta na oścież, a w moją stronę zdąża Gruber.

Nie wiem, co mnie napadło: wrzasnąłem na policjanta, że przyjmuję tylko po wcześniejszym zapowiedzeniu się i w siedzibie Kustodii Ziemi Świętej, w konwencie Najświętszego Zbawiciela, i że mój sekretarz nazywa się ojciec Ramon.

Miniony dzień był ciężki i nie miałem ochoty na pogaduszki ze szpiegiem. Gruber był bowiem wicedyrektorem Tsometu, sekcji Mossadu¹⁰ zajmującej się państwami arabskimi.

Przeszedłem przez dziedziniec zdecydowanym krokiem. Gruber odskoczył na bok i powiedział, że chce ze mną porozmawiać, ale nie przystanąłem. Przypomniałem sobie o starym Renaulcie, którym czasami się posługiwałem, kiedy miałem ze Studium pojechać gdzieś blisko. Zaparkowany był pięćdziesiąt metrów na lewo od Flagelacji, na początku Via Dolorosa. Dotarłem do niego, kluczyki miałem przy sobie, spięte z pozostałymi. Otworzyłem drzwi, a kiedy w pośpiechu wsiadałem do środka, zobaczyłem kątem oka, że nadbiega Gruber. Zakrzyknąłem, aby mnie usłyszał:

- Pan jest sępem!

Chociaż oddychałem z trudnością i cały drżałem, a ręce były jednym ogniem, udało mi się włożyć kluczyki do stacyjki i zapalić, zanim dobiegł Gruber.

Panowała duża wilgoć i asfalt był mokry. Przejechałem ostatni odcinek Via Dolorosa, by za Bramą Świętego Szczepana skręcić w lewo. Gdyby na poboczu nie stała zaparkowana ciężarówka, być może zdołałbym jakoś wymanewrować. Ale miałem na to zbyt mało miejsca.

Popełniłem błąd, naciskając pedał gazu, wpadłem w poślizg i uderzyłem tyłem w ciężarówkę. Renault podskoczył na asfalcie i wpadł na słupek na przeciwległym chodniku. Głową uderzyłem w kierownicę. Oszłomiło mnie to.

Ktoś delikatnie zapukał w okienko, które na szczęście się nie rozbiło. To był Gruber. Otworzył przednie drzwi, te od

¹⁰ Mossad - izraelska agencja wywiadowcza, utworzona w 1951 roku. Tsomet - prawicowa partia izraelska.

kierowcy, i spytał, czy jestem cały. Odparłem oschle, że tak. Zaprosił mnie do swojego samochodu. Zawiezie mnie do Najświętszego Zbawiciela. A Renaultem zajmą się jego ludzie.

Powiedział, że to cud, że w tej samej chwili nic nie jechało, gdyż zginąłbym na miejscu. Po drodze wyjaśnił, że niepotrzebnie się zdenerwowałem. On tylko przejeżdżał Via Dolorosa, kiedy zobaczył, że brama do Flagelacji jest otwarta i że wybiega przez nią jakiś człowiek. Nie zdołał jednak dostrzec jego twarzy. Potem ja się pojawiłem.

Było to wierutne kłamstwo, ponieważ wiele minut upłynęło między ucieczką napastnika a chwilą, kiedy ja wyszedłem. Wytknąłem mu to. Odpowiedział, że może czas mu się pomylił.

W fioletowym świetle starych lamp barwiącym mury Staro Miasta samochód przejechał koło Bramy Damasceńskiej i skierował się ku Bramie Nowej.

Gruber odezwał się:

- Wie ojciec, o czym jestem przekonany? Że potrafię stawić czoła problemom. A te głupki, moi koledzy po fachu, twierdzą, że nie nadają się do praktycznych działań.

Po krótkiej chwili wymamrotał kilka niezrozumiałych słów, śmiejąc się pod nosem.

- Ze co, proszę? - spytałem.

- Cytowałem pewne stare greckie przysłowie, ojciec Matteo. Brzmi mniej więcej tak: nawet świerzbowaty wielbłąd uniesie więcej niż stado osłów.

Siostra Matilda

Gruber wysadził mnie przed Najświętszym Zbawicielem i powiedział, że zbada, kto na mnie napadł. Znał jednak mało szczegółów. Lepiej więc by było, gdybym mu powiedział, co wiem.

Pożegnałem go teatralnym skinieniem i wysiadłem z samochodu. Zawołał mnie, ale tylko raz. Byłem zbyt zmęczony na rozmowę czy słuchanie innych jego wersji. Ruszył, lekko przyspieszając, co zdradziło jego poirytowanie.

Wchodząc po schodach i kierując się w stronę sypialni, myślałem o kontaktach, jakie kiedyś nas łączyły. Widywaliśmy się przy okazji bardzo bolesnego wydarzenia, które dotyczyło śmierci jego ojca, wielkiego dyrygenta oraz skomplikowanego przemytu sztuki. Dzisiaj miał mniej włosów na głowie i kilka kilo więcej na ciele. Zmęczone i zaczerwienione oczy zdradzały, że niewiele sypiał. Jednym słowem, postarzał się. A przecież minęły zaledwie dwa lata od naszego ostatniego spotkania. Nie wiem, czy dostrzegł to wszystko w moim spojrzeniu, kiedy go pożegnałem. Wzniósł jednak oczy do nieba i pokręcił głową.

Teraz marzyłem tylko o tym, by położyć się spać. Byłem wykończony i nie miałem ochoty na żadne rozmyślenia. Ani nawet na sen. Ale dręczył mnie pewien szczegół. Dlaczego

w Studium żaden brat nie przybiegł mi na pomoc? Przypomniałem sobie jednak, że większość z nich wyjechała na konferencje do Nazaretu i Kafarnaum. A ci, co zostali, czyli najstarsi, być może spali ciężkim snem albo mieli zatyczki w uszach. To mnie nieco uspokoiło.

Następnego ranka o wczesnej porze pojechałem do Saint Louis. Odszukałem doktora Leibowitza. Zbadał mnie, skarcił, że oddaliłem się ze szpitala przed upływem dwudziestu czterech godzin, wysłuchał moich wyjaśnień dotyczących minionych wydarzeń i stwierdził, że jestem nieroztropny i za mało skupiam się na swojej chorobie. Dodał, że niepotrzebnie daję się zadreć własnym myślom i że powinienem przyjąć inną postawę. Moja choroba jest poważna, a on widzi, że ja ją najwyraźniej lekceważę. Powiedział też, że kroplówki są swego rodzaju próbą, że nie ma pewności, że ocale dłoń. Odparłem, że mnie atakuje. Nie atakował, przeprosił, ale boi się, że nie będę o siebie dbał. I chociaż ludzi Boga tak samo czeka śmierć jak wszystkich pozostałych, miał nadzieję, że dożyję setki albo i więcej.

Gdy wychodził z sali kroplówkowej - tak przechrzcilem własny pokój - weszła siostra Matilda. Doszedłem do wniosku, ganiąc samego siebie, że Leibowitz zdołał mnie przestraszyć. Siostra Matilda, czuwając, aby płyn spływał do żyły i rurka nie zapełniła się bąbelkami powietrza, zaczęła krytykować wszystkich miłośników gry w karty. Wiedziałem już dobrze, że mój Burger stanowił dla niej jedyną okazję do nieprzerwanego albo też nienapotykanego sprzeciwu monologu.

- Dziwię się, jak inteligentna osoba może całe godziny spędzać nad kolorowanymi figurkami. One zabijają rozmowę! Człowiek to zwierzę społeczne i w jego naturze leży uczestniczenie w relacjach społecznych.

- Kto marnuje czas, dotknięty jest swego rodzaju szaleństwem - zauważyłem. - Gdyż marnuje coś, co jest bezcenne.

Na moją odpowiedź zareagowała zadowolonym uśmiechem.

- Rozmowa angażuje najwznioślejsze zdolności umysłu i ojciec, jako naukowiec i człowiek wiary, dobrze o tym wie, powinien więc ofiarowywać swojemu współrozmówcy, czyli w tym przypadku mnie, maksymalną uwagę.

Nie powiedziała tego kąśliwie, lecz z pogodną cierpliwością siostry, która wiele już zniosła. Ona tylko stwierdziła fakt, który mogłem zaakceptować bądź odrzucić.

Nie lubiłem czytać na głos ani też, aby mnie czytano. Siostra Matilda wyjaśniła, że jest profesjonalną lektorką powieści, opisała mi, na czym polega teoria i praktyka tej sztuki. Istnieją dwie szkoły: teatralna i naturalna. Według pierwszej należy naśladować głosy osób opisywanych w książce i płakać, kiedy bohaterka cierpi, oraz śmiać się, jeśli jest wesoła. Według drugiej natomiast należy zachować neutralność, obiektywność, być właśnie naturalnym. To trudniejsze, gdyż wymaga wyjątkowej koncentracji.

Druga szkoła była tą, do której należała.

Przez siedemnaście lat pracy podarowała swoim pacjentom radość zasmakowania powieści Sir Waltera Scotta, Jane Austen, Charlesa Dickensa, sióstr Bronte, Thackeraya, Nathaniela Hawthorne'a, Dumasa ojca, Balzaca, Tołstoja. Zrozumiałem, że czytanie na głos stanowi dla niej jak gdyby powtórzną lekturę, zaś uniemożliwienie jej wykonywania tej pracy sprawiłoby ogromny ból. Wolałem jednak, dla zachowania spokoju, unikać groźby znoszenia jej głosu przez godzinę. Jednocześnie nie chciałem jej obrazić. Ale mnie wyprzedziła:

- Proszę posłuchać tego zdania z *David Copperfielda*. To tylko trzy linijki.

Z kieszeni habitu wyciągnęła małe ekonomiczne wydanie, dosyć zniszczone i nieco przybrudzone. I przeczytała cały pierwszy rozdział bez chwili przerwy na zaczerpnięcie tchu. Miarowym głosem podawała mi jedną stronę po drugiej, jak na tacy. Ja się wierciłem, zakładałem nogę na nogę, licząc, że dostrzeże moje zakłopotanie, ale ona czytała dalej. Kiedy skończyła, stwierdziła z zadowoleniem:

- Moim zdaniem jest to jedna z najpiękniejszych książek, jakie kiedykolwiek napisano. Porywa uczucia i przepelnia nas nieustanną dumą. Ojciec Matteo, czy nie wydaje się ojcu, że świat Davida jest odrobinę za doskonały? Dobrzy zwyciężają, źli przegrywają, nie od razu, ale w końcu otrzymują to, na co zasłużyli. W prawdziwym życiu rzadko tak bywa.

Odpowiedziałem dość banalnie. Jesteśmy osobami duchownymi i powinniśmy pokładać nadzieję w dobroci. Nie wyglądała na przekonaną. Zdradziła mi, że uznaje się za intelektualistkę. I godzi się z tą definicją, jak święty godzi się z narzędziem męczeństwa: święty Wawrzyniec z rusztem, święta Katarzyna z kołem, święty Sebastian ze strzałami... Na szczęście nie wymieniła Krzyża.

- Także święty Tomasz był intelektualistą, i święty Franciszek też.

Chyba przesadziła. Ale nie powiedziałem jej tego. Siostra Matilda z jednej strony doprowadzała mnie do rozpacz, ale z drugiej wzbudzała czułość. Jej słowa w rzeczywistości pomagały mi zaakceptować hańbę mojej cielesnej choroby. Nigdy nie cierpiałem, nawet na gripę. To, co teraz mnie spotkało, raz traktowałem jak obrazę, innym razem jako przyłodek. Chodziło jednak o subtelność i całkiem bez znaczenia różnicę. Jak gdyby kielnia, którą się posługiwałem na wy-

kopaliskach, teraz bez żadnego wyraźnego powodu zwróciła się przeciwko moim rękóm i chciała je pokroić na kawałki.

Archeologia była aktem wiary i nauki. Kroplówka, która siłą wpychała w moje żyły nieznany płyn, miała mnie wyleczyć i ocalić. A jednak uznawałem ją za akt przemocy równy chorobie. Oto dlaczego bezgraniczna i naiwna słodycz siostry Matildy pomagała mi, a jej dziecinna wiara ofiarowywała wewnętrzny uśmiech. Miała tak dobre intencje, była tak chętna, pełna szacunku, uprzejma, że musiałem przyznać, że pomimo niezwykle krótkiej znajomości żywiłem wobec niej coś, co zbliżone było do przyjacielskiego uczucia. Jej uroczysty sposób bycia przypominał gesty wiejskiego proboszcza, który musi dbać o swoją trzódkę, wysłuchiwać i rozumieć racje wszystkich wiernych, uważając, aby nikogo nie urazić. Nie było w tym nic nagannego, gdyż nawet jeśli niektóre dobre maniere wypływają ze społecznych nakazów, wystarczy dobre, szczerze i hojne serce, aby uczynić je bardziej ludzkimi.

Uświadomiłem sobie, że siostra Matilda była gotowa do gestu uprzejmości i wyrozumiałości wobec każdego, kto jej zdaniem tego potrzebował, i nie uznawała tego bynajmniej za wysiłek. Postępując w ten sposób, szanowała i wypełniała wolę Boga. Sądzę, że była prawdziwą chrześcijanką, zgodnie z powszechnie przyjmowanym znaczeniem tego słowa.

Poświęcała mi całą swoją uwagę, do tego stopnia, że pomimo cierpienia trudno mi było pohamować uśmiech - ale tak, aby tego nie zauważyła - patrząc na pedantyczność, z jaką mierzyła mi temperaturę i czuwała nad powolnym spływaniem kropel, które miały ocalić mi dłonie.

Dbiała o mnie z troską i wytrwałością, doradzała też pokarm, który uznawała za najodpowiedniejszy dla takiego chorego jak ja. Naturalnie same rzeczy, których nie lubiłem,

z wyjątkiem gotowanych ziemniaków. Ale przecież nie mogłem żywić się tylko nimi. Oczywiście, gdyby tylko mniej mówiła, byłaby doskonała.

Tamtego ranka, po trzech czwartych kroplówki stwierdziła poważnie, że zaraz po wyzdrowieniu - bo ona wiedziała, że wyzdrowięję - przyjdzie do mnie, do Kustodii na mszę i z radością przyjmie Komunię z moich dłoni, pachnących i bez rękawiczek. Po czym zacytowała wersy, które bardzo lubiła:

- Ten drugi Eden, ten połowiczny raj, forteca, jaką natura wzniosła ku swojej obronie, ten kamień szlachetny osadzony w srebrze morza....

Spytała, czy wiem, kto to napisał. Odpowiedziałem, że nie. Łagodnie pogroziła palcem i wykrzyknęła:

- No przecież to Szekspir, *Ryszard III*

I dodała, że nietrudno zrozumieć, dlaczego Anglicy często cytują ten fragment i dlaczego zwłaszcza zdanie „ten kamień szlachetny osadzony w srebrze morza” stało się przysłowiowe. Gdyż oddaje silną więź między ziemią a morzem, gdzie wyspa jest jedynie skrawkiem ziemi oddzielonym od kontynentu.

- Widzi ojciec, ja, skromna zakonnica, od dłuższego czasu mieszkająca w Jerozolimie, boję się, że nasi izraelscy przyjaciele, Kuzyni od Ściany, jak ojciec ich zwie, czują się podobnie jak Anglicy. I doszli do przekonania, że są drogo cennym kamieniem osadzonym na ziemi, którą my zwiemy Ziemią Świętą. A dla świata arabskiego, który nie darzy ich miłością, jest to Palestyna. I tak jak Anglicy byli panami oceanów, tak Kuzyni od Ściany sądzą, że panują nad ziemią roztaczającą się wokół nich. Ale tak nie jest. I nawet niektórzy z ich intelektualistów podchodzili do tej idei z rezerwą. Czytałam ostatnio list Zygmunta Freuda do Alberta Einsteina:

wyjaśnia w nim, że nie powinien odczuwać sympatii wobec tego, kto za rzecz fundamentalną dla swojej religii uznaje kawałek Muru Heroda i w ten sposób obraża uczucia miejscowej ludności. I proszę pomyśleć, wielbny ojczy, że Freud w 1922 brał poważnie pod uwagę możliwość przeniesienia się do Ziemi Świętej. Ale potem, tuż po powrocie z podróży do Jerozolimy, wysłał list do Arnolda Zweiga, w którym wyjaśnił, że Ziemia Obiecana, którą on dopiero co odwiedził, zachowywała się w dziejach człowieka w sposób szalony i wydała jedynie religie, które pragnęły zdominować ludzkie życie za pomocą iluzji.

Wcale nie byłem taki przekonany, że Freud faktycznie to powiedział, ale po co jej zaprzeczać?

Nagle siostra Matilda przestała mówić. Zauważyłem, że kropłówka skończyła się już kilka minut temu. Przeprosiła mnie gorąco. Zagapiła się, taka z niej gaduła. A potem, jak gdyby dopiero w tym momencie sobie przypomniała, poprosiła, abym poszedł do Vidigala. Chciał koniecznie ze mną porozmawiać. Pożegnała się. Jej myśli zajęte były już czym innym. Napadło mnie podejrzenie, że może także wobec pozostałych chorych zachowuje się w ten sam sposób i ja w gruncie rzeczy jestem tylko jednym z wielu, których pragnie uzdrowić tymi samymi lekturami.

Oddaliłem podejrzenie i doszedłem do wniosku, że wzięło się ono raczej ze złości na chorobę, nie miało żadnych poważnych podstaw ani nie wiązało się z osobą dobrodusznej siostry Matildy. Zrozumiałem też, że kropłówka stała się automatycznie swego rodzaju cennym spotkaniem z własnym sumieniem. Zmuszała mnie do rozmyślań nawet wtedy, kiedy już się skończyła. Z większą uwagą patrzyłem na osoby wokół mnie. Wsłuchiwałem się w kawałki rozmów i myślałem o Jerozolimie.

Siostra Matilda bardzo mnie uspokajała. A kroplówka, namacalny dowód mojej choroby, jeszcze bardziej wiązała mnie z Vidigalem. Wiedziałem, że nigdy nie byliśmy sobie tak bliscy jak teraz. Łączyło nas cierpienie. Dlatego kiedy wszedłem do jego pokoju, od razu z radością przekazałem mu tę myśl.

Leżał w łóżku. Powiedział, że uzyskał od doktora Leibowitza pozwolenie, abym kolejne kroplówki przyjmował u niego. W ten sposób będziemy mogli rozmawiać tak jak jeszcze nigdy dotąd. O Jerozolimie, o Kustodii, o moich rękach, i może znajdziemy jakieś rozwiązania.

- Jakie? - moje pytanie było natychmiastowe, spontaniczne i być może niezbyt uprzejme.

- Bóg jest tak wielki, że wszystko dopuszcza, Matteo. Nawet to, by mieć Matkę, którą jest On sam, w ludzkim wcieleniu. Średniowieczne chrześcijaństwo wymyśliło Trójkę złożoną z czterech bytów. Czwartym była Maryja, gdyż Maryja stała się częścią Trójcy. Maryja nie była jedynie Matką Jezusa, ale także Matką Boga, a nie można być Matką Boga, nie będąc również Bogiem. Matteo, Średniowiecze poskapiło bohaterów, ale było też epoką lansującą kobiety. Przykładem jest kult Maryi. Średniowiecze nie było monoteistyczne, lecz politeistyczne. Dogmat o trzech Osobach w Trójcy mówi o całkiem osobnym Bogu, nie mówiąc już, że Jezus to kilku Bogów: Dzieciątko Jezus, Jezus Umęczony, Jezus Zmartwychwstały. Matteo, proszę, nie ulegaj zarozumiałemu przekonaniu, że Bóg nie może cię uzdrowić.

Dodał jeszcze, że również siostra Matilda będzie z nami podczas kroplówki, bo dowiedział się, że bardzo się polubiliśmy. I że opowiada mi piękne historie. Zadałem mu więc podchwytliwe pytanie: czy mówiła mu kiedykolwiek o Freudzie i Einsteinie? Vidigal zakaszał. Wyjaśnił, że oni

nie prowadzili tak wzniosłych rozmów. Uśmiechnąłem się, a Vidigal dopytywał się, co mnie tak bawi.

- Zawsze potrafiłeś człowieka uspokoić.
- Wiesz, dlaczego powiedziałem siostrze Matildzie, że chcę się z tobą zobaczyć?
- Przypuszczam, że po to, by porozmawiać. Ale nie wiem, o czym.

Vidigal poprosił, abym podłożył mu jeszcze jedną poduszkę pod plecy, nie mógł już wytrzymać na leżąco, a tak, w pozycji nieco uniesionej, łatwiej mu było budować i wypowiadać zdania.

- Nigdy nie opowiadałem ci o mojej operacji. Kiedy rok temu mnie otworzyli, znaleźli we mnie wroga. I go nie pokonali. Wróciłem do Najświętszego Zbawiciela, do pracy w bibliotece, i powiedziałem ci, że wszystko poszło dobrze. Ale ja wiedziałem, że jest inaczej. A zrozumiałem to pod narkozą. Byłem w niebie, wysoko, nieruchomy. Miasta i góry stawały się coraz bardziej zamazane, odległe, bezkształtne. Z błękitem gór i zielenią pól wymieszało się coś świetlistego. To były chmury, niezbyt liczne, niskie, przesunięte ku mnie, na zachód, coraz bielsze, aż oślepiały. W miarę jak przesłona atmosfery między mną a przestrzenią stawała się coraz cieńsza, niebo, które na początku miało wiosenny kolor błękitu, przybierało coraz ciemniejszą i gęstsza barwę, a potem stało się czarniejsze od każdej czerni, jaką kiedykolwiek widziałem.

Vidigal przerwał, był rozemocjonowany, pogładził mnie po białych rękawiczkach. Potem znowu zaczął mówić:

- Pod narkozą widziałem też z bliska słońce. Może jeszcze przed czernią, a może już po, nie pamiętam. Było jak żarzący się białym, aż sinym światłem dysk. Wszystko działo się z ogromną prędkością i nie czułem ani strachu,

ani bólu. Potem znalazłem się nad Jerozolimą, oglądałem ją z pogodnym dystansem. To nie ja ją zostawiałem, to ona mnie porzucała na zawsze. A wokół w przestrzeni odczuwałem obecność - niewidzialnych dla mnie - licznych dusz, jak ja pozbawionych jakiegokolwiek osobistej namiętności. Zamilkł na chwilę.

- Wtedy zrozumiałem, że nie wyzdrowieję. Matteo, od kilku dni śnię z otwartymi oczami. I drzę. Śnię o życiu, które mi umyka. I złościę się na pierwszą osobę, która staje przede mną. Ta złość ogarnia mnie jak szaleństwo, które sprawia, że zapominam o dobrym wychowaniu. Nigdy coś takiego mi się nie przydarzyło. Dobrze o tym wiesz, Matteo, znasz mnie od wielu lat. Zmienia mi się nawet twarz, która zresztą nigdy nie była szczególnie piękna. A teraz jest na dodatek stara.

Pogłaskałem go po czole. Objęliśmy się, a każdy z nas starał się być tak mało chorym, jak to tylko możliwe. Potem Vidigal powiedział:

- Matteo, wysłuchujesz bredni starego umierającego przyjaciela. Przebacz mi. A właśnie, myślałem o historii, którą mi opowiedziałeś, i o zardzewiałej obroży na szyi szkieletu. Obiecałeś, że mi ją dasz. Przyszła mi do głowy pewna myśl. Muszę koniecznie się jej przyjrzeć.

Przeprosiłem go. Całkiem o tym zapomniałem.

Kiedy wychodziłem, pomyślałem, że ten kawałek żelaza, chociaż nie jest wart, sprawi, że Vidigal poczuje się ważny. To uspokoiło mnie nieco. Zaniedbałem go co prawda, ale teraz, przekazując obrożę, dam mu możliwość znowu bycia użytecznym przez tę resztkę życia, która mu jeszcze pozostała.

Nuncjusz

Niektórzy mają niezwykłą łatwość nawiązywania znajomości. Posiadają mentalne fluidy, które pozwalają im w jednej chwili ciepłym, przyjaznym, przekonującym i niezapomnianym uśmiechem stworzyć odpowiednie porozumienie z rozmówcą. Pytanie, odpowiedź, znowu pytanie i odpowiedź. I zaraz, pijąc kawę czy whisky, w zależności od gustów, dwaj przygodni towarzysze rozmawiają miło, jak dobrzy przyjaciele, o tysiącu sprawach.

Ja byłem całkowicie pozbawiony tej umiejętności. Nigdy pierwszy się nie odzywałem i zawsze czekałem, aż ktoś do mnie przemówi. A kiedy miałem spotkać się z kimś, kogo nie znałem, ogarniało mnie podenerwowanie, które w połączeniu z koniecznością bycia uprzejmym sprawiało, że jednym razem stawałem się sztywny i chłodny, innym zaś przesadnie serdeczny. Dlatego rozmówca obierał mnie jako człowieka niepewnego albo nieodpowiedniego do urzędu, który pełniłem, i być może zdolnego nawet do brzydkiego kawału.

Zazwyczaj twierdziłem, że nigdy się nie nudzę. Nuda dotyczy tych, którzy nie posiadają duchowości. Nie żywiłem złudzeń na swój temat, a sukces na polu archeologicznym nie uderzył mi do głowy. Potrafiłem dokonać subtelnego rozróżnienia między sławą a rozgłosem.

Czekając na Nuncjusza, postanowiłem, że zignoruję własną nieśmiałość. Chciałem ukazać się jako człowiek godny zaufania i życzliwy, mieć coś żartobliwego do powiedzenia, poprowadzić rozmowę, być sprytny. Cekał mnie niezły trud. Uważałem się jednak za inteligentnego, zatem absurdem było obawiać się, że nie będę potrafił rozmawiać z ludźmi banalnymi, okazując im zainteresowanie. Jestem przecież kapłanem! Ale gdyby wszyscy byli jak mój drogi Vidigal, świat byłby zdecydowanie lepszy.

- Proszę o wybaczenie, że przeszkadzam - powiedział Nuncjusz.

Ojciec Ramon wpuścił go do mojego gabinetu. Pukał, ale nie usłyszałem. Natychmiast zostawił nas samych.

Nuncjusz był mężczyzną średniego wzrostu, około pięćdziesiątki. Zanim zaczął mówić, odwrócił się, aby dać prztyczek, chyba z sympatii, mojemu sekretarzowi. Miał na sobie czarną marynarkę i spodnie, szarą koszulę ze sztywnym kołnierzykiem, a w klapie złoty, rzucający się w oczy krzyż. Zauważyłem, że spodnie opadały bezładnie w dół z pośladków, przez co całość przywodziła na myśl tylne nogi słonia. Włosy miał proste, czarne i długie. Jego obwisała i pożółkła twarz wyglądała typowo dla człowieka, który zbyt wiele je i za mało śpi. Nad ciężkimi powiekami widniały niebieskie, zaczerwienione i wodniste oczka. Nos był duży i gąbczasty.

Twarzy wyrazu nadawały mięsiste usta o niewyraźnych konturach. Od razu dało się zauważyć, że ten mężczyzna mówił to, co wypadało powiedzieć, ale swoje wiedział. Miał białe i równe zęby. Oczy razem z ustami rozciągniętymi w słodkim uśmiechu wzbudzały wrażenie ciepłości znoszącej wszelkie przeciwieństwa. Wyglądał na osobę, która nigdy nie cierpiała, wobec której los okazał się przychylny i która zachowała ufność w dobroć rodzaju ludzkiego.

Nie przypominał męczennika modlącego się do Pana w chwili, kiedy go torturują, lecz kogoś, kto zdoła uniknąć wszelkich mąk. Przywodził mi na myśl pewnego księdza, którego spotkałem kiedyś w Asyżu: pod mało kapłańskim wyglądem krył wielkie serce i głęboką wiarę. Ciekawe, czy to samo dotyczyło Nuncjusza. Miałem nadzieję, że nie przynależy do tej kategorii jednostek, które oplakują nieszczęścia innych, ale z egoistycznym poczuciem pewności siebie.

- Nie przeszkadza ekscelencja - powiedziałem.

Zauważyłem, że oddychał głośno, jak gdyby miał zatkany nos. Pewnie chrapie, kiedy śpi. Usiadł na krześle przed moim biurkiem i pokręcił powoli głową.

- Bardzo ojciec uprzejmy. Jaka to rzadka cnota w dzisiejszych czasach! Jak mało myślimy o innych!

Jego zaczerwienione oczy spotkały się z moimi. Mówił z akcentem, którego nie zdołałem zlokalizować. Bełkotliwy, lekko gardłowy, jak z pełnymi ustami. Czasami utykał w połowie trudnego zdania, połykając jedno bądź więcej słów, powtarzał je wtedy po francusku albo angielsku, jak gdyby był dwujęzyczny. Ciągle rozdarty, nie wiedząc, na który ma się zdecydować. Wyciągnął z kieszeni paczkę amerykańskich papierosów.

- Mogę zapalić? - spytał, częstując mnie.

- Proszę, ale ja nie palę.

- Kiedy Stolica Apostolska powołała mnie, abym przyjechał do Jerozolimy, zrozumiałem, że będzie to miłe doświadczenie.

Uśmiechnął się, jak gdyby udzielał mi błogosławieństwa albo głaskał mnie w duchu po głowie. Jego spostrzeżenie nie wydało mi się bardzo wnikliwe, ale udałem, że tego nie dostrzegam.

- To trudne, ale fascynujące miasto - dodał tonem kogoś, kto wypowiada pamiętne słowa.

Spytałem, gdzie się urodził. Byłem ciekaw. Nuncjusz rozłożył wielkie miękkie dłonie, ukazując na palcu wskazującym złoty pierścień z herbem, rzucający się w oczy równie silnie jak krzyż w klapie.

- Jestem światowym kapłanem - powiedział, nie zaspokajając mojej ciekawości. - Dla mnie wszystkie państwa, wszystkie języki są piękne. Ech, gdyby ludzie mogli żyć jak bracia, bez nienawiści, dostrzegając tylko to, co dobre. Ale tak nie jest. Jak wielebny ojciec myśli, dlaczego?

Rozłożyłem ręce. Robiłem tak, kiedy nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Nuncjusz zbił mnie z tropu sprytnym banałem. Doszedłem do wniosku, że nie jest łatwą rozmówcą. Zauważyłem, że odruchowo odrzuca ręką długi kosmyk włosów, który ciągle opada mu na czoło.

Spróbowałem podejść go bardziej osobistym pytaniem. Dlaczego nie pozbędzie się kłopotu za pomocą nożyczek? Popatrzył na mnie ze zdziwieniem. I nic nie odrzekł. Był naprawdę lepszy ode mnie w dialektycznych gierkach.

Szybko spostrzegłem, że skłonny jest do żartu i do ironii. Jego uszczypliwy sposób bycia mógł tylko głupcowi wydać się obraźliwy. Długo ironizował na temat Kurii i naprawdę rozbawił mnie anegdotami o słabościach pewnych kardynałów, których wymienił z imienia. A im bardziej widział, że doceniam albo przynajmniej pokazuję, że doceniam te opowiadki, tym bardziej jego usta rozciągały się w szczerym uśmiechu zadowolenia, a oczy zapalały wesoło.

Spojrzał na rękawiczki. Wyjaśniłem niedbale, że to przez zakażenie pod paznokciami, nic poważnego. Niestety stosowanie różnych maści zmuszało mnie do tej ostrożności, aby nie zatłuścić rzeczy czy osób, które przyjdzie mi dotykać.

Zrobił minę, jakby uwierzył w moje wytłumaczenie, i wykrzyknął:

- Współczuję ojcu!

Zmieniłem temat, może zbyt pośpiesznie:

- Zatem po raz pierwszy ekscelencja przybywa do Jerozolimy?

- Na tak długi okres, tak.

Był naprawdę zdolny. Nie dawał mi minimalnych szans. Poczęstowałem go lemoniadą. I spytałem, czy znał poprzedniego Kustosza. On też lubił lemoniadę. Uśmiechnął się. Odpowiedział, że znał. I dodał, że w Rzymie, na Gregorianie¹¹, był jego uczniem. Pamięta go jako wspaniałego nauczyciela. Ten szczegół sprawił, że wydał mi się bardziej sympatyczny. Spytałem więc, czy chce, abym opowiedział mu o Jerozolimie. Odrzekł, że z wielką przyjemnością mnie posłucha. Pomyślałem, że wreszcie udało mi się zdobyć jakąś przewagę.

Wyjaśniłem, nie szczędząc szczegółów, że w Starym Mieście przestrzeń jest ściśle podzielona na odwieczne i niezmiennie strefy, wyznaczające w przybliżeniu cztery kwadraty odpowiadające dzielniczy muzułmańskiej, żydowskiej, chrześcijańskiej i ormiańskiej. Przechodzenie z jednej do drugiej, nawet jeśli wymaga pokonania kilku metrów, oznacza przekroczenie niejako granicy, za którą wpada się w obręb innej religii, innego języka i innych ludzi, odprawiających swoje obrzędy w hebrajskim, arabskim, ormiańskim, greckim, łacińskim, syryjskim, rosyjskim, etiopskim.

A ponadto zarówno Kuzyni od Ściany, jak i Przyjaciele ze Skąły właśnie dlatego, że uważają siebie za historycznych

¹¹ Gregoriana - Pontificia Universitas Gregoriana, papieski uniwersytet w Rzymie.

mieszkańców Jerozolimy, nigdy nie nazywają dzielnicami muzułmańskiego czy żydowskiego obszaru wewnątrz Starego Miasta. Dla nich są nimi jedynie zbiorowiska domów zamieszkiwane przez wiernych innych wyznań.

Jerozolima to jedyne miasto na świecie obchodzące trzy uroczyste dni w ciągu jednego tygodnia. Niedziela rozbrzmiewa uderzeniami naszych dzwonów, które towarzyszą procesjom pielgrzymów przemierzającym Via Dolorosa. W piątek tę samą drogę, lecz w kierunku Góry Świątynnej, przemierzają Przyjaciele ze Skały, wzywani przez głos muzeza. W sobotę Kuzyni od Ściany przerywają wszelką pracę. A tysiące synagog przepelniają się wiernymi. Środki komunikacji miejskiej są sprowadzane do warsztatów i garaży, nie wychodzą gazety, a teatry, kina i restauracje zostają zamknięte.

Nuncjusz słuchał mnie z maksymalną uwagą. Jeśli udawał, robił to bardzo dobrze. Kontynuowałem niewzruszony:

- W Bazylice Grobu Pańskiego o godzinie jedenastej modlimy się my, o północy prawosławni, o pierwszej Ormianie, a potem Koptowie, w języku faraonów. Pośród wyznań muzułmańskich najważniejszy jest odłam sunnitów, szyitów, sufich¹², Beduinów i Cyganów. Dzisiaj większość z nich ubiera się według zachodniej mody, prawie zawsze jednak wkładają *kefije*¹³ w szachownicę, aby przypominać, że urodzili się w Palestynie. Wielu chrześcijan nosi tradycyjne stroje, jak mnisi ormiańscy, greccy, koptyjscy, syryjscy i etiopscy, zresztą my, franciszkanie, też mamy własny strój, habit. Dla mnie to wszystko jest znakiem jedności, a nie różnic, gdyż stanowi

¹² Sufi - wyznawcy sufizmu. Jest to zbiorcze określenie różnych nurtów mistycznych w islamie.

¹³ Kefija - arabskie męskie nakrycie głowy w postaci chusty.

świadectwo przywiązania do tysiącletniej historii religii. A przecież religia czyni nas bliższymi sobie, dlatego dobrze byłoby modlić się wspólnie w piątek, sobotę i niedzielę i traktować meczety, synagogi i kościoły jako jedno miejsce kultu, a nie podzielone przez wzajemne niezrozumienie i nienawiść.

Proszę wyobrazić sobie brata klęczącego w meczecie obok Ormianina i Kopta. A za nimi Kuzyna od Ściany z Mea She-arim, w czarnym stroju oraz prawosławnego Greka i dwóch mułłów, sunnickiego i szyickiego. A także rabina aszkenazyjskiego w ciemnym płaszczu, z długimi pejsami i ze skórzanym nakryciem głowy. Ubiera się tak od XVII wieku, kiedy prawo otomańskie narzuciło każdej jerozolimskiej wspólnotcie nakładanie własnego tradycyjnego stroju w celu lepszej rozpoznawalności. I każdy modli się we własnym języku, szanując Boga drugiego człowieka, ale wiedząc w głębi serca, że chodzi o tego samego Boga.

W 1982 roku prezydent, premier i kilku członków rządu Kuzynów od Ściany udało się na Pustynię Judzką, aby uczestniczyć w państwowym pogrzebie ku czci ludzkich kości liczących prawie dwa tysiące lat. Zostały znalezione jakiś czas wcześniej przez grupę archeologów, których znam, podczas wykopalisk prowadzonych w wiosce, gdzie prawdopodobnie żyli zeloci¹⁴. Nie wiadomo, czy były to szczątki wojowników, którzy uczestniczyli w powstaniu Bar Kochby przeciwko Rzymianom w latach 132-135 po Chrystusie. Premier w gorącym przemówieniu pogrzebowym pożegnał odważnych braci. Potem wojskowa orkiestra zagrała hymn narodowy, a oddział honorowy wystrzelił kilka salw. Trumna zawierająca kości

¹⁴ Zeloci - polityczno-religijne ugrupowanie w Palestynie z I w. n.e., dążące do walki zarówno z rzymskim okupantem, jak i z kolaborującymi z nim Żydami.

została przykryta flagą i zniesiona do grobu przez obecnych na uroczystości generałów.

Zrobiłem przerwę, która miała zwiększyć efekt. Potem dodałem:

- Przyznaję, że czasami odnoszę wrażenie, jak gdybym żył w miejscu, gdzie wyobraźnia bierze górę nad rzeczywistością i wszystko staje się możliwe.

- No tak - skomentował Nuncjusz.

Zachęciło mnie to do kontynuowania:

- W Świętym Mieście często odnoszę wrażenie, że znajduję się wewnątrz maszyny czasu. Ekscelencję też to spotka. Na dachu naszej Bazyliki Grobu Pańskiego mnisi etiopscy grają na tamburynach i obchodzą wesele Salomona i królowej Saby, związek, z którego - jak święcie wierzą - sami się wywodzą. A kiedy nad Grobem Jezusa w każdą Wielkanoc odbywa się uroczystość „świętego ognia”, na Górze Scopus komputery Uniwersytetu Hebrajskiego przeprowadzają skomplikowane analizy i przesyłają naukowe informacje analogicznym instytutom na całym świecie. Góra Scopus leży osiemset metrów nad poziomem morza. W zimie pokryta jest śniegiem, ale w pół godziny można zjechać nad Morze Martwe, by się wykapać.

Istnieje wiele Jerozolim: Jerozolima Przyjaciół ze Skąły, nasza Jerozolima, Jerozolima Kuzynów od Ściany, Jerozolima dawnych mieszkańców, nowych imigrantów, wolnych myślicieli, aspirujących proroków, którzy wyjaśniają napotkanym osobom, że są telefonem do Boga, Jerozolima misjonarzy, fanatyków, handlarzy odpustami i krucyfikami, turystów i pielgrzymów, Jerozolima dyplomatów, którzy mają swoją siedzibę w Tel Awiwie i zatrzymują się tu nie więcej niż na godzinę na spotkaniu z ministrem spraw zagranicznych. Jest też Jerozolima polityków, którzy przebywają w niej tylko na

czas trwania posiedzeń Knesetu, a potem szybko wyjeżdżają. Jest Jerozolima poetów, jak Saul Tchernichowsky, który marzył, aby miasto przestało być świętym dla trzech religii, i jak Jehuda Amichai, dla którego Jerozolima to jedyne miasto na świecie, gdzie umarli mają prawo do głosowania.

Na tym zakończyłem. Nuncjusz ze zwyczajową niewzruszonością kurialną zauważył:

- W konfesjonale rodzą się silne relacje, które przekształcają się następnie w trwałe więzi. Poprzednik ojca był nie tylko moim nauczycielem, ale i spowiednikiem. Dobrze się wyrażał o ojcu. Kiedyś powiedział: „Ojciec Matteo ma nie tylko głowę, ale i wiarę”. A chce ojciec wiedzieć, o czym z nim rozmawiałem? O tym, co się dzieje z duszą po śmierci i o niemożności porozumienia się z bliskimi. Ten święty człowiek znał wiele odpowiedzi. A wszystkie możliwe do przyjęcia i zrozumiałe.

Po raz pierwszy słyszałem, że ktoś nazywa poprzedniego Kustosza świętym człowiekiem. Nie wiedziałem, czy zgodzić się z Nuncjuszem.

On zaś wyciągnął paczkę z kieszeni i podał mi ją.

- To prezent dla ojca. Mam nadzieję, że mu się spodoba.

Otworzyłem z ciekawością. Była to mapka Jerozolimy z 1574 roku, naszkicowana przez Antonina de Angelis. Podziękowałem gorąco. Była naprawdę cenna. Miałem już kopię, ale posiadanie oryginału to prawdziwy przywilej. Powiedziałem uroczystym głosem, że zajmie honorowe miejsce w muzeum Studium Biblicum we Flagelacji.

Najwyraźniej rozmowa dobiegła końca. Wstałem, aby odprowadzić Nuncjusza do drzwi. Dłonie bardzo mnie piekły: musiałem jak najszybciej zanurzyć je w letniej wodzie.

Irytowało mnie, że w chwilach, kiedy, jak sądził, tego nie widzę, z coraz większym zainteresowaniem przyglądał się moim rękawiczkom.

Poza tym musiałem jechać do szpitala na kroplówkę. I tak byłem już spóźniony. Nuncjusz jednak najwyraźniej nie miał zamiaru jeszcze wychodzić. Lekko zniecierpliwionym głosem zapytałem:

- Czy coś jeszcze, ekscelencjo?

Podrapał się po szyi. I powiedział, że nie wie, od czego zacząć, gdyż historia, którą musi mi opowiedzieć, jest skomplikowana. Wspomniał o niej w swoim liście. W tej właśnie chwili przerwał mu ojciec Ramon, wchodząc do gabinetu, jak zwykle, bez pukania. Był bardzo poruszony. Zrozumiałem, że musiało się wydarzyć coś poważnego. Zauważyłem, że ma zadyszkę i że z kącików ust splywa mu odrobina śliny.

- Wielebny ojcze, proszę iść za mną do Cytadeli Dawida!
- krzyknął piskliwie. Jego słowa brzmiały jak rozkaz.

Zostawiłem Nuncjusza w gabinecie, mówiąc na odchodnym: „Muszę iść, ekscelencja widzi”, i podążyłem za ojcem Ramonem, który schody pokonał, przeskakując po dwa stopnie, ryzykując upadek. Wbiegliśmy w uliczkę prowadzącą w dół, która przecina dzielnicę chrześcijańską, przechodzi koło budynku będącego siedzibą łacińskiego Patriarchy i kończy się obok Bramy Jaffy, na placu przed Cytadelą Dawida. Właśnie tam, gdzie razem z młodym Przyjacielem ze Skąły wyleciałem w powietrze. Zerknąłem na sklep Tera Ovanesia. Był otwarty i pusty. O tej porze dzieci były jeszcze w szkole.

Kordon policji blokował wejście do Cytadeli na małym zwodzonym moście. Przed nim stał Gruber, jakby tylko czekał na mnie. Skinął, abym poszedł za nim. Weszliśmy na dziedziniec. Mimiką wskazał coś, co znajdowało się na

samym środku. Na trawie między dwoma murkami leżał skulony mężczyzna. Nie widziałem jego twarzy. Nie ruszał się. Kawałek dalej zobaczyłem ojca Benjamina, otoczonego policjantami. To ten brat, który podarował mi maszynki do kawy, jakie trzymałem we Flagelacji. Popatrzył na mnie. Był przerażony. Policjanci odprowadzili go. Spostrzegłem, że ojciec Ramon gdzieś w tym czasie przepadł.

Gruber znowu na mnie skinął. Podeszliśmy do skulonego mężczyzny. Gruber niezbyt subtelnie nałożył skórzane rękawiczki i z grymasem obrzydzenia podniósł głowę leżącego, abym mógł się jej przyjrzeć. Zadrzałem. To był człowiek, który wpadł na mnie na Wzgórzu Świątynnym i z którym potem walczyłem w moim gabinecie. „Przyszła kryska na Matyska” - pomyślałem. I od razu powstydzilem się tych słów, chociaż pojawiły się tylko w mojej głowie.

Gruber spytał, czy znam denata. Zaprzeczyłem, starając się, by zabrzmiało to jak najbardziej przekonująco. Przybrałem odpowiednią minę, wzorując się na Nuncjuszu. Zapytał więc, czy nie mam ochoty na pogawędkę. Od dawna nie rozmawialiśmy, a nasze ostatnie spotkanie było zbyt krótkie i pełne nerwów. Z tęsknotą wspominał nasze niegdysiejsze rozmowy. Aby go nie zdenerwować i być może nawet urazić, nie zdradziłem, że nie odwzajemniam jego tęsknoty.

Wyszliśmy z Cytadeli. Jego samochód, tym razem z szoferem, już na nas czekał. Pojechaliśmy do siedziby Tsometu, na Agron Street. Miejsce to przypominało mi dawne, minione przygody, a przede wszystkim tę, podczas której Gruber ocalił mi życie, ratując z pułapki, w którą sam wpadłem. Zabójca zwabił mnie do domu położonego niedaleko od biur Tsometu. W ostatniej chwili, być może zbyt ostatniej, interweniował Gruber.

- Ciągłe ta sama nazwa! - zauważyłem już na miejscu. Biura Tsometu kryły się za wiecznie wypolerowaną mosiężną tablicą z napisem: Instytut Nauk Talmudycznych.

- Jesteśmy wielkimi tradycjonalistami - skomentował Gruber z lekką satysfakcją.

Wysiedliśmy z samochodu. Przez drewnianą bramę, wyraźnie wymagającą już malowania, weszliśmy do budynku. Tynk pękał, a farba, która kiedyś była w kolorze brązowym, teraz stała się neutralna.

Podczas gdy przemierzaliśmy zakurzone korytarze, obudowane z dwóch stron półkami pełnymi książek, Gruber znowu spytał, czy znałem ofiarę. Najwyraźniej doszedł do przekonania, że nie mówiłem prawdy. Dotarliśmy pod drzwi jego gabinetu. Po drodze nikogo nie spotkaliśmy, jak gdyby siedziba Tsometu była pusta. Weszliśmy. Wystrój pozostał ciągle ten sam. Biurko z komputerem i telefonem, za nim fotel ze skórzanym siedziskiem i wiklinowym oparciem, kartki i karteczki ułożone na blacie w sposób pozornie nieuporządkowany oraz dwa identyczne fotele po bokach, dla ewentualnych gości. A za nimi, przy ścianie, biblioteczka pełna papierów, segregatorów, teczek o najprzeróżniejszych etykietkach. Biblia w czarnej okładce i ze złotymi napisanymi stanowiła jedyną książkę.

Usiedliśmy, on na swoim miejscu, ja naprzeciwno.

- Co się stało z ojcem Benjaminem? - spytałem otwarcie.

Zwlekał, zapalając cygaro. Potem w powietrzu rysował esy-floresy zgaszoną zapalką. Nie przypominałem sobie, aby wcześniej palił. Spytałem, od kiedy się nawrócił. Nie odpowiedział. Skoncentrował się na czymś, co leżało na biurku. Podążyłem za jego wzrokiem. Przed nim znajdował się stos dokumentów. Miałem wrażenie, że chce zyskać na czasie.

Napisał coś na białej kartce. Otworzył kopertę, która leżała osobno, z prawej strony, na widoku. Wyciągnął list i przeczytał na głos:

- „Niestety, zastąpienie Pana jest niemożliwe. Minister pragnie przypomnieć, że Instytut Talmudyczny nie może się bez Pana oraz bez Pana wspaniałej i przynoszącej rezultaty pracy obejść. Minister pragnie również poinformować, że przedsięwziął kroki w sprawie awansu”.

Podskoczył, jak gdyby otrzymał cios prosto w twarz. Zapalił zapalną, podpalił papier i wytrzeszczył oczy:

- Chciałem dostać inne zlecenie!
- Panie Gruber. Proszę nie mówić, że żałuje pan.

Zacisnął pięści.

- Niech pan pomyśli o korzyściach, jakie ta praca przyniosła.

- Jakich korzyściach? - pochylił się naprzód i wpatrzył we mnie.

- Bardzo się pan różni od człowieka, którego poznałem jakiś czas temu. Wtedy był pan zadowolony. A dzisiaj pogardza pan tym, co robi. Pan nie aprobuje siebie. Dlaczego?

Nie odpowiedział.

- Co się stało z ojcem Benjaminem? - powtórzyłem pytanie.

Na biurku stała też butelka whisky. W całym tym bałaganie początkowo jej nie zauważyłem. Gruber wyciągnął z szuflady dwa tekturowe kubki, nalał do nich. Wzniósł toast za naszą starą przyjaźń. Potem rozsiadł się wygodnie na fotelu, jak ktoś, kto właśnie przygotowuje się do dłuższej mowy.

- Kiedy dochodzi do zbrodni - każde słowo wypowiedział z przesadną wręcz powolnością - każdy człowiek staje się

specjalistą. Kto potrafi posługiwać się nożem, przedłoży go nad pistolet. Truciciel nigdy nie dusi, a dusiciel nie ma zwyczaju noszenia przy sobie żelaznego pręta. W czasie wojny żołnierz, kiedy może wybierać, chwytą za broń, z którą czuje się najlepiej, i decyduje się na taktyki, które najbardziej odpowiadają jego naturze. Zazwyczaj te, dzięki którym poprzednio odniósł najlepsze wyniki.

- Panie Gruber, co z tym wszystkim ma wspólnego ojciec Benjamin? On jest człowiekiem Bożym i nie potrafi posługiwać się prętami, pistoletami ani innymi narzędziami śmierci.

- To ja o to ojca pytam, jako Kustosza. Ojca brat, który - jak mnie poinformowano - sprawuje znaczący urząd, w znaczeniu hierarchicznym jest ojca podwładnym.

Spróbowałem wyjaśnić, że franciszkanie to nie wojsko z generałami, pułkownikami, majorami i kapitanami. Nas łączy wiara, a nie stopnie. I dodałem:

- W każdym razie ojciec Benjamin jest dyskretem braci Francuzów.

- Znam waszą strukturę, ojciec Matteo - odrzekł kąśliwie. - Wiem, że każdy dyskret reprezentuje językową wspólnotę i jest członkiem Dyskretorium, czyli takiej waszej rady ministrów. Proszę powiedzieć mi coś więcej o ojcu Benjaminie, bo jeśli to jeszcze nie jest jasne, oskarżony jest o zabójstwo.

Nie wierzyłem. Postanowiłem improwizować:

- Benjamin pośród nas zawsze odgrywał rolę niespokojnego, inteligentnego i upartego brata, zawsze krytycznie do wszystkich nastawionego, w dobrym jednak celu. Gotowy był walczyć i gryźć przeciwników, ale także płacić każdą cenę za swoje decyzje.

Gruber długo się uśmiechał. Potem uciął krótko:

- No tak!

I obiecał, że umożliwi mi spotkanie z ojcem Benjaminem.

- Jest w więzieniu?

Nic nie odpowiedział, zapytał tylko:

- A właśnie, co z ojca dłońmi?

Zaskoczył mnie.

- Dobrze - odpowiedziałem.

- Ojciec Matteo, proszę się leczyć. Choroba Burgera to straszna bestia. Pewien przyjaciel skończył pocięty na kawałeczki. Brzydka śmierć, zapewniam.

Przypuszczałem, że jeśli spytam, skąd wie o mojej chorobie, odpowie ze śmiechem, że jest szpiegiem, nie zarea-gowałem więc. Wezwał jednego ze swoich ludzi. Miał mnie zaprowadzić do brata Benjamina.

Benjamin

Kiedy rozstałem się z ojcem Benjaminem, poczułem przemożną chęć na długi, samotny spacer do Najświętszego Zbawiciela. Przeszedłem Agron Street i skręciłem w prawo. Kiedy dotarłem do King David, zobaczyłem mały tłumek Kuzyków od Ściany z Nowego Yorku, którzy zebrali się prawdopodobnie na *micwe*¹⁵.

Z ojcem Benjaminem widziałem się w małej celi w piwnicach siedziby Tsometu. Byłem tam już kilka lat wcześniej, by spotkać się z przyjaciółką aresztowaną przez poprzednika Grubera.

Prowadzący mnie żołnierz ogromnym kluczem otworzył żelazne drzwi. Wszedłem, zamykając je za sobą. Powiedziałem, że zawołam go, gdy rozmowa dobiegnie końca.

Benjamin siedział na zardzewiałej pryczy, na dosyć zniszczonym materacu. Wystroju wnętrza dopełniał stolik, krzesło i wiadro. Kiedy mnie zobaczył, na jego twarzy pojawił się wyraz ulgi. Wstał, podszedł i objął mnie. Staliśmy tak kilka chwil w absolutnej ciszy. Między nami nigdy nie było tego rodzaju zażyłości, jednak sytuacja wydawała się tak absurdalna, że dopuszczone były gesty dotychczas nie do pomyślenia.

¹⁵ Bat miewa - uroczystość w judaizmie, podczas której dziewczynka po ukończeniu 12 osiąga pełnoletniość. Bar miewa - uroczystość, podczas której chłopiec staje się pełnoprawnym członkiem wspólnoty żydowskiej.

Poprosił, abym go wysłuchał. A to, co mi powiedział, bardzo różniło się od tego, co spodziewałem się usłyszeć.

- Wiesz, Matteo, kiedy skończyła się druga wojna światowa, ja miałem sześć lat. Ale bardzo dobrze pamiętam wcześniejsze miesiące. W wiosce na północy Francji, gdzie się urodziłem i gdzie mieszkałem, nie powiem ci nazwy, bo i tak jej nie znasz, pewnego ranka pod koniec czerwca zobaczyłem nad swoją głową stado ptaków, jakich jeszcze dotychczas nie spotkałem, a niebo było błękitne i bezchmurne. Leciąły w dół w szyku, czasami któryś z nich odlatywał na prawo albo na lewo, wykonując koziółki, i zdarzało się, że przecinał drogę innemu, ale kiedy już miały się spotkać, nagle rozłączały się, wracając na własne miejsca.

Pomyślałem, że miałem wyjątkowe szczęście odkryć nowy gatunek ptaków. Z lekkim uczuciem rozczarowania zauważyłem, że nie leciały w moją stronę, a ja nawet rozłożyłem ręczki, aby je przywitać, lecz kierowały się, jak gdyby ktoś je prowadził, prosto w stronę domostw sąsiedniej wioski. Zazdrościłem szczęśliwszym od siebie rówieśnikom, to oni mieli w domu spotkać te piękne i nowe ptaki o srebrzystym upierzeniu.

Potem, Matteo, dobiegł mnie straszny hałas, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Stałem na środku łąki i niczego więcej nie widziałem. Moje ptaki znikły, wioska też.

Później zrozumiałem, że to były bomby, a nie ptaki. Wtedy jednak nie miałem pojęcia o ich istnieniu, były czymś całkiem obcym dla takiego dziecka jak ja, które mieszkało na wsi, które ledwo wiedziało, co to jest radio, i nigdy nie było w kinie, a zwłaszcza nie wiedziało, czym jest faktycznie wojna. Słyszałem to słowo u dorosłych, ale nie przypisywałem mu jeszcze jego prawdziwego znaczenia.

Potem ziemia koło mnie poruszyła się, podskoczyła i zobaczyłem obok moją matkę, która tuląc mnie do siebie, wykrzyczała to nowe słowo: „Bomby, bomby”. Uciekaliśmy. Ona, ja i moja o rok młodsza siostra. Ojca pojmano rok wcześniej, ale nie wiedziałem, co znaczy więzienie.

Zrozumiałem, że bomby to nie nowy gatunek ptaków i że niosą śmierć. Matteo, w trakcie ucieczki przechodziliśmy przez zniszczone miasta i opuszczone stacje kolejowe. Widzieliśmy spalone samochody i wielu zmarłych. Po jakimś czasie przestali na mnie wywierać jakiegokolwiek wrażenie, stanowili część krajobrazu, jak psy, koty, kury, świnie i osły, leżące z łapami i kopytami w górze, patrząc na mordercze niebo.

Koło jakiegoś lasu znaleźliśmy chatę, która w cudowny sposób ostała się, nie było jednak wody ani światła. Chata stała się naszym drugim domem. Kiedy zapadał zmrok, szliśmy spać. W dzień ciągle szukałem czegoś do jedzenia, skórki od chleba, ziemniaka, marchwi. Robiłem też co innego, za co nawet dzisiaj nie potrafię się wstydzić.

Dwa kilometry dalej znajdowało się miejsce, polana, na której Niemcy - dopiero później zrozumiałem, że byli to żołnierze SS - rozstrzeliwali moich rodaków, a nawet dzieci, jak ja.

Ja kryłem się za drzewem i obserwowałem ciągle tę samą scenę. Najpierw nadjeżdżała kolumna ciężarówek z wojskową plandeką, zamykana przez dwa wozy pancerne wiozące żołnierzy z karabinami i strzelbami. Żołnierze mieli długie płaszcze, ściągnięte pasem. Doszedłem wtedy do przekonania, które utkwilo we mnie na całe lata, że ludzie ubierający się w takie płaszcze to zawodowi zabójcy. Potem na polanie rozpoczynało się coś, co mnie przerażało, ale jednocześnie pociągało. Z zapatym tchem czekałem na strzały. Po nich zapadała

cisza. Dowódca żołnierzy liczył zmarłych, ołówkiem, tak mi się wydawało, notował coś pilnie w czarnym kajeciku, może imiona, może liczbę. Potem wydawał rozkaz. Żołnierze kopali doły, wrzucali trupy, zasypywali ziemią. Na zewnątrz nie pozostała nigdy ani jedna para butów. Matteo, rozumiesz? Zakopywali ich ze wszystkim, co mieli na sobie. Chwilę później kolumna odjeżdżała bez jeńców.

Matteo, marzyłem o parze dobrych butów. Od chodzenia na bosaka skóra na stopach stała się twarda. Na początku wojny mój ojciec kupił mi mokasyny z cielęcej skórki, ale wyrosłem z nich. Marzyłem więc o porządnym, grubym butach, nawet kozakach. Rozmiar mnie nie interesował, mogłem tonąć w nich. Z żądzą i zawiścią patrzyłem na buty esesmanów i skazanych.

Chyba już zrozumiałeś, co zrobiłem. Któregoś razu zauważyłem, że esesmani z lenistwa albo z innego powodu wykopali zbyt płytki dół. Kiedy odjechali, rękoma odgarnąłem całą ziemię, aż dotarłem do ciała, które wpadło w nie-naturalny sposób, głową w dół, a nogami do góry. Jak osły, o których ci mówiłem. Wydawało mi się, że Bóg chce mi podarować buty tego biedaka, którego twarzy nie mogłem nawet zobaczyć. Matteo, najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że buty miały mój rozmiar, i właściwie nie były to buty, lecz skórzane trzewiki, prawie nie noszone, jak nowe. Może należały do mojego rówieśnika. Wyczyściłem je śliną, pocierając ręką tak długo, aż zaczęły błyszczeć. Potem nałożyłem je, były doskonałe, i już więcej nie wróciłem oglądać egzekucji. Wiesz, że mam je do dziś?

Spojrzał na mnie uważnie.

- Brzydzisz się mną, Matteo?

- Nie - odpowiedziałem zdecydowanym głosem.

- Chcesz wiedzieć, co przydarzyło mi się potem? Dla mnie wojna nie skończyła się ani w 1945, ani później. Kto przeżył wojnę, dla tego ona nigdy się nie kończy. Gdzieś przeczytałem, że człowiek umiera naprawdę dopiero wtedy, kiedy umiera ostatni z ludzi, którzy dobrze go znali i pamiętali. Innymi słowy, przestajemy istnieć, kiedy na świecie nie ma już żywej pamięci o nas. Coś podobnego stało się z wojną. Kto ją przeżył, nigdy jej do końca nie zapomni. Pozostaje wewnątrz niego, jak rak, być może niezłośliwy, ale uporczywy, którego nawet tak wielki twórca złudzeń jak Czas nie potrafi usunąć.

Czy kiedykolwiek próbowałeś rozmawiać z kimś, kto przeżył wojnę? Nieważne, od czego rozpoczęcie konwersację: piłka, miłość, film, opera czy koncert. W pewnym momencie pojawią się dawne wspomnienia. I nawet po latach pokoju taki człowiek nadal będzie przedkładał dawne obrazy nad rzeczywistość, nawet tę szczęśliwą i zadowalającą, w jakiej dzisiaj żyje. Ale z którą nie potrafi w pełni się związać, gdyż dotyczy ona teraźniejszości, on natomiast jest więźniem przeszłości, która jest jak oprawca przypominający mu ciągle o tym, co widział i czego doświadczył.

Moje myśli nieustannie biegają ku tym egzekucjom i ku nogom w górze, z butami. Świat, jaki ja widzę, pełen jest okrucieństwa i okropności. Podczas wojny jedyną prawdą jest siła. Zwycięża ten, kto rozrywa na strzepy przeciwnika. Matteo, przez długi czas myślałem, że życie jest jak wojna. Nie dziw się. Dla mnie wojna utożsamiała się z dzieciństwem, a lata odbudowy z młodością. Przekonany byłem, że to nie pokój, ale wojna jest normalnym stanem. Że głód, strach, pragnienie butów, pożary, osły z kopytami w górze, masowe egzekucje, spalone koty i psy, ptaki, które były bombami, to prawdziwy naturalny porządek życia. Kiedy nagle przyszedł

pokój, nie wiedziałem, co o nim myśleć, jak go traktować. Potem pewien ksiądz powiedział: „Piekło się skończyło, teraz wreszcie wraca człowiek”. Benjamin westchnął głęboko.

- Matteo, przeżyłem wojnę i dlatego rozumiem, jak trudno jest ją opisać komuś, kto na swoje szczęście nie wie, czym ona jest. Umarli przekazali mi coś ważnego. Nawet para buczków posiada wartość i znaczenie. I należy je respektować. Ludzie tacy jak ja wiedzą, że srebrne ptaki są tylko rezultatem fanatyzmu, nienawiści, ignorancji, pychy. Później pojechałem do Paryża z rodziną, ale bez ojca, który nie wrócił z obozu jenieckiego. Matteo, to, co przeszedłem w ostatnich godzinach, przypomina mi wojnę. Nie zniosę tego po raz drugi. Proszę, zabierz mnie stąd. I kup mi nowe buty.

Kiedy wróciłem do Grubera, spytał, czy Benjamin zdradził mi coś. Zaprzeczyłem.

- Co znaczy, że oskarżony jest o morderstwo? - chciałem się dowiedzieć.

Gruber popatrzył na mnie pytająco.

- To, ojcie Matteo, że brat ten wyrzucił z jednej z wież Cytadeli człowieka, którego nazwiska jeszcze nie znamy. Nie miał przy sobie dokumentów. Wygląda mi to na morderstwo, i to raczej bestialskie. Zwłaszcza jeśli popełnione przez osobę duchowną. Nie sądzę, aby w zwyczaju franciszkanów leżało wypychanie osób.

Spojrzałem na niego z taką odrazą, na jaką tylko było mnie stać. On udając, że niczego nie dostrzega, zdradził uprzejmym tonem, po raz kolejny zaskakując mnie:

- Mamy świadka, który wszystko widział. Jest głównym oskarżycielem ojca Benjamina.

- Znam go? - spytałem.

- To ojca sekretarz, ojciec Ramon.

Zdolności Vidigala i tajemnice Szejka

Dopiero co wróciłem do gabinetu. Ojciec Ramon stał na baczność przede mną. Byłem na niego bardzo zły. Wiedział o tym i rozumiał, że powinien podać jakieś wiarygodne wytłumaczenie. Z jego milczenia i wyrazu twarzy wyczytałem, że nie miał takiego. Dlatego sam się odezwałem jako pierwszy.

Mrożącym głosem zauważyłem, że najwyraźniej, kiedy przyszedł, aby mnie uprzedzić, że wydarzyło się coś strasznego, z powodu silnego wzburzenia zapomniał przekazać mi najważniejszą informację. Że to on widział, jak ojciec Benjamin wypycha człowieka z wieży Cytadeli. Zakończyłem surowo, że postąpił wobec mnie lekkomyślnie. I miałem nadzieję, że zdaje sobie z tego sprawę. Ramon zareagował dosyć nietypowo. Rozłożył ręce i ze zdecydowaniem zaprzeczył głową. Poprosiłem, aby wyjaśnił mi, dlaczego.

Z pewnością dopuścił się winy wobec Kustosza, tak się właśnie wyraził, gdyż nie uprzedził go, że Benjamin jest w jakimś stopniu zamieszany w całą historię, ale on absolutnie nie widział, żeby współbrat czegoś takiego się dopuścił. Sprawy potoczyły się tak. Przyszedł do Cytadeli z grupą pielgrzymów z rodzimego miasta, Sewilli. Zaprowadził ich do salki, gdzie pokazywany jest ciągle ten sam film dokumentalny o historii Cytadeli, który rozpoczyna się od nieco

niewyraźnych zdjęć przybycia do Jerozolimy generała Allenby'ego. Widać, jak Allenby przechodzi przez Bramę Jaffy, a za nim różni oficerowie, na końcu zaś niski i wąły Lawrence.

Prychnąłem. Ojciec Ramon miał przykry zwyczaj popadania w dygresje. Zreflektował się i natychmiast powiedział przepaszająco, że on ten film zna na pamięć, dlatego logiczne mu się wydało - ciekawe, dlaczego użył tego słowa, nie przerzywał mu jednak - żeby wyjść i zaczerpnąć świeżego powietrza. Przed salą znajdował się taras, który wychodził na centralny dziedziniec Cytadeli.

Stał tam, rozmyślając nad wielkością Pana, kiedy nagle jęk, a potem uderzenie biczem, nie, najpierw uderzenie biczem, a potem jęk, zmusiły go do podniesienia głowy. Jakieś dwadzieścia metrów nad nim, na wyższej wieży, ku swemu zdziwieniu zobaczył Benjamina, jak wyciąga ręce w stronę mężczyzny wyglądającego, jakby stracił równowagę, pewnie po to, aby go złapać.

Ojciec Ramon zrobił przerwę, potem mówił dalej:

- Wielebny ojcie, najpierw pomyślałem, co ojciec Benjamin robi tam na górze. Wieża ma bardzo niską poręcz, w zasadzie jest niezabezpieczona. Ja na przykład, ponieważ cierpię na lęk wysokości, nie wszedłbym na nią za żadne skarby świata. Z przerażeniem patrzyłem, jak mężczyzna spada, bo nie mogłem absolutnie nic zrobić. Wyglądało to tak, jak gdyby stracił równowagę, ale spadał, nie machając, nie krzycząc, nie ruszając bezwładnie rękoma. Wielebny ojcie, spadał tak, jakby już nie żył, rozumie ojciec? Mogę to stwierdzić z całą pewnością, gdyż przeleciał dwa metry od moich oczu. Może pękło mu serce w wyniku zawału, który mogły wywołać silne emocje, nie wiem, ale jeszcze widzę jego sztywność. Daję moje słowo, że tak było.

Stwierdziłem więc, że nie jest żadnym świadkiem Grubera. Pokręcił głową i wyjaśnił, że Gruber pojawił się za nim, kiedy zbiegł z tarasu na dziedziniec, gdzie ten człowiek leżał. Od razu kazał swoim policjantom zatrzymać go, a jemu do ucha wyszeptał, że wie, że on wszystko widział.

- Jak gdyby mnie śledził! - wyjęczał ojciec Ramon.

Przysiągł na swojego anioła stróża, że powiedział mi całą prawdę. Widział, jak jakiś mężczyzna spada, ale nie żeby Benjamin go wypychał. Rozmawiali ze sobą, jak gdyby dobrze się znali i być może wybrali wieżę, gdyż było to odosobnione miejsce, a nie chcieli, aby ich widziano razem w lokalach publicznych, jak kawiarnia czy restauracja.

- Benjamin jest niewinny - zakończył.

Poprosiłem, aby zostawił w spokoju swojego anioła stróża i już na nic nie przysięgał.

Zmienił ton. Teraz jego głos brzmiał prawie wesoło.

- A właśnie, wielbny ojcze, kim jest zmarły?

Lubiłem ojca Ramona właśnie za te nagłe zmiany nastroju. Odpowiedziałem, że Gruber niczego mi nie zdradził. Pozwoliłem mu odejść, polecając, aby z nikim o tym nie rozmawiał. Odpowiedział śmiesznym: „Tak jest, wielbny ojcze”.

Byłem już bardzo spóźniony na kroplówkę, potrzebowałem jednak spaceru, poszedłem więc do Saint Louis na piechotę. Siostra Matilda przyjęła mnie z surowym obliczem. Wyprzedziłem jej wyrzuty, przepraszając. Odpowiedziała, że nie muszę przepraszać jej, ale siebie samego. Choroba zaatakowała mnie. Grzecznie spytała, czy chcę, aby mi towarzyszyła. Poprosiłem, aby została, gdyż chciałem jej opowiedzieć o pewnym zdarzeniu, które bardzo mnie zaniepokoiło. Kiedy wbijała mi igłę w rękę, prosiła, abym siedział spokojnie. Zdenerwowanie tylko mogło mi zaszkodzić.

Gdy opowiedziałem jej całą historię, stwierdziła, że Benjamin nie jest winny, ale na pewno coś wie. I chce, abym mu pomógł. Podziękowałem. Siostra Matilda przypomniała mi, że moja choroba jest realna i nie mogę liczyć, że łatwo wyzdrowieję, nie angażując w to własnej woli. Potem powiedziała, że Vidigal na mnie czeka. Spytałem:

- A nie mieliśmy razem przyjmować kropłówki w jego pokoju?

- Od jutra - odrzekła.

Vidigal przyjął mnie słowami, że już wie o ojcu Benjaminie i nie zgadza się z przypuszczeniem, że jest on mordercą. Poprosił, abym usiadł obok niego. Leżał, a na twarzy miał wyraz człowieka cierpiącego.

- Wiesz, Matteo, o czym właśnie myślałem? O tym, że za czasów Piłata mieszkańcy Jerozolimy zorganizowali swego rodzaju biały strajk. Grupa Kuzynów od Ściany rzuciła się na ziemię przed jego domem i leżała tak przez siedem dni i siedem nocy. Protestowali przeciwko zawieszeniu w mieście rzymskich godeł. Piłat kazał żołnierzom otoczyć demonstrantów i zagroził śmiercią, jeśli nie położą kresu rozruchom i natychmiast nie wrócą do domu; oni jednak tylko odkryli gardła, pokazując, że są gotowi oddać życie. Piłata tak uderzyła ich stanowczość i siła charakteru, że rozkazał zdjąć rzymskie symbole. Matteo, historia ta ma wiele z obecnej sytuacji.

Popatrzyłem na niego pytająco. Vidigal wyjaśnił, że jego opowieść stanowi etyczny przykład. Ja powinienem nadstawić gardło, jeślibym wyczuł, że coś przeszkadza czy też zagraża życiu moich współpracowników. Oto dlaczego należy za wszelką cenę bronić Benjaminą, bez względu na to, czy jest winny, czy nie. Nie mogę przecież znieść takiej obrazy dla Kustodii jak oskarżenie o morderstwo. Muszę być stanowczy. Zamknął

oczy na chwilę, zbierając myśli. Nie spytałem, komu mam podłożyć szyję i jabłko Adama.

- Matteo, nie miałeś mi czegoś dać?

- Obroża! - zawołałem. - Masz rację.

Włożyłem ją do kieszeni i całkiem o tym zapomniałem. Wręczyłem mu ją. Wyjął z plastikowego worka i przyjrzał się uważnie.

- Matteo, muszę zdrapać rdzę. Zajmę się tą pracą, jeśli siły mnie nie opuszczą. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Ty jesteś Kustoszem, nie zapominaj o tym.

Do konwentu Najświętszego Zbawiciela wróciłem targany różnymi myślami. Na szczęście upał nieco zelżał. Wróciły zwyczajowe przyjemne temperatury. Niestety, ręce ciągle mnie bolały, a to nie polepszało mojego nastroju. Zaczynałem żywić pewne wątpliwości co do skuteczności kroplówek. Ojciec Ramon czekał już na mnie i przypomniał, że Nuncjusz poprosił o kolejne spotkanie. Potem powiedział, że przyszedł pewien pilny list. Doręczono go osobiście, dodał, jak gdyby sprawa była niezwyklej wagi. Pozwoliłem mu odejść, usiadłem za biurkiem i przeczytałem. List przesłał Szejk, człowiek, z którym w przeszłości miałem niemało problemów. I nie rozstaliśmy się po przyjacielsku. Dziwiło mnie, że znowu się odezwał. I wcale mi się to nie podobało. Szejk był niebezpiecznym człowiekiem. Częściej kłamał, niż mówił prawdę. Byłem jednak ciekaw, o co chodzi.

„Drogi Matteo,

niewiele istnieje rzeczy lepszych od dobrego hawajskiego cygara. Gdy byłem młody i ubogi i cygaro paliłem tylko wtedy, kiedy ktoś mnie nim poczęstował, obiecałem sobie, że jeśli zarobię trochę pieniędzy, codziennie będę wypalał jedno po obiedzie i jedno po kolacji. To jedyne młodzieńcze

postanowienie, jakiego dotrzymałem. Jedyne marzenie zrealizowane, które nigdy nie spotkało się z rozczarowaniem.

Lubię lekkie cygara, ale o intensywnym smaku, nie małe, aby nie skończyły się, zanim spostrzeżesz, że palisz, ani nie duże, aby cię nie zanudziły. Muszą być zwinięte w taki sposób, abyś bez problemu mógł wciągać wdych, ale z liści na tyle trwałych, aby nie rozmiękły w ustach, i tak wyrobionych, aby zachowały smak aż do końca. A w chwili kiedy wciągasz ostatni haust, odkładasz zdeformowany niedopalek i kontemplujesz chmurę siwego dymu, która unosi się w powietrzu wokół ciebie, nie możesz - jeśli masz wrażliwą duszę - nie doświadczyć melancholii na myśl o całej pracy, która za tym wszystkim stoi. I o trosce, niepokoju i skomplikowanej organizacji, koniecznej, aby ofiarować ci pół godziny rozkoszy: ludzie pocący się i cierpiący w żarze tropikalnego słońca i statki przemierzające oceany.

Tego typu refleksje stają się bardziej bolesne, kiedy połtykasz tuzin ostryg, popijając lampką białego zimnego wytrawnego wina, a wręcz trudne do zniesienia, kiedy kosztujesz befsztyk. Gdyż właśnie zjadłeś istoty żywe. Jest coś strasznego w myśli, że od kiedy ziemia od milionów lat daje kolejnym pokoleniom życie, niektóre istoty rodzą się tylko po to, aby skończyć na talerzu z kruszonym lodem albo na patelni. Być może człowiek z małą wyobraźnią nie dostrzega wielkiej uroczystości chwili, w której ostryga zostaje poświęcona na ołtarzu łakomstwa. W zachowaniu ostrygi zawiera się całkowita pogarda dla cynizmu człowieka i dla jego daremnych rozkoszy. Nie wiem, jak można patrzeć na befsztyk i nie wrzucić się".

Przerwałem. Szejk przepisał te słowa. Ale od kogo? Nie potrafiłem sobie przypomnieć. Z pewnością nie były jego. Czytałem dalej.

„Pewnie zastanawiasz się, co porabiałem przez cały ten czas, kiedy się nie widzieliśmy. Dalej poświęcałem się handlowaniu dziełami sztuki, bacznie przyglądając wydarzeniom na świecie. Pod koniec wojny w Iraku udało mi się znaleźć cztery tysiące pieczęci. Leżały w jednej ze skrzyń w podziemiach muzeum w Bagdadzie. Zapakowałem je do walizki i przekroczyłem granicę. Nikt mnie nie zatrzymał. Zapłaciłem za nie pięćset dolarów, a sprzedałem za sto tysięcy znajomemu antykwariuszowi w Londynie. Prawdziwy złodziej, Matteo, bo puścił je w obieg za trzysta dolarów za sztukę. Zdajesz sobie sprawę? Bardzo mnie martwi to, co się teraz dzieje. Wszyscy kradną. I nikt nie ma szacunku dla cennych przedmiotów. Nie ma już takich kolekcjonerów jak kiedyś. Wiesz dobrze, że zawsze szukałem okazji, nie zaburzając jednak artystycznej równowagi. Ech, drogi Matteo, wszystko uległo zmianie!

Teraz wróciłem. I chciałbym się z Tobą spotkać. To ważne. Wiem, że przechodzisz trudny okres zdrowotny i że aresztowano jednego z Twoich współpracowników. Może mógłbym Ci pomóc.

Drogi Matteo, życie wobec wielu zachowuje się jak walec drogowy, nie zatrzymuje się, dopóki nie zostanie po nich mokrą plama. Ale wobec Ciebie powinno postąpić inaczej. A ja mogę Ci pomóc. Odwagi. Twój Szejk.

PS Czy wiesz, jak naprawdę się nazywam?"

Skomentowałem w duchu, że nie interesuje mnie, jak się naprawdę nazywa. Resztę dnia spędziłem zamknięty w gabinecie, wcześniej też położyłem się spać. Czuję się zniechęcony, nie byłem głodny. Ogarniał mnie smutek. A smutny kapłan jest bezużyteczny zarówno dla siebie, jak i dla innych.

Nowe rewelacje

Postanowiłem, że pojedę do Saint Louis, jak tylko się obudzę. Z trudem się myłem, co niestety stało się już normą. Zawsze uważałem prysznic i golenie się za przyjemne chwile dnia, niejako przebudzający wstrząs po nocy. Sen był natomiast obowiązującą przerwą. Tolerowałem go jako wymóg dla zdrowia i życia; gdybym nie spał, nie byłbym w stanie utrzymać się na nogach, wykonywać pracy i myśleć. Był konieczny i pożyteczny, ale nie przepadałem za nim.

Teraz natomiast choroba sprawiła, że stał się bezcenny, gdyż podczas godzin wypoczynku - maksymalnie sześciu - śniłem. A moje sny były kolorowe. Posługiwałem się dłońmi w przeróżnych przygodach i nie doświadczałem bólu, rozkoszowałem się na przykład kopaniem na stokach góry Nebo, w grocie i odkrywałem grób Mojżesza. Był to piękny i ozdobny grób, z rzeźbami i płaskorzeźbami oraz egipskimi inskrypcjami, które byłem w stanie odczytać, a które udowodniały pochodzenie Mojżesza od Faraona.

W innych snach byłem w Afryce, na Kilimandżaro, i odkrywałem kopalnie diamentów. Natomiast moje ulubione sny wiązały się z kalendarzem, jaki co roku przygotowywałem dla Fundacji Massoliniego z Bresci. Odwiedziłem i sfotografowałem dla nich wyjątkowe miejsca w Iraku, Etiopii, Libii,

Jemenie, Turcji i Egipcie. Przed oczami ukazywały mi się zdjęcia wymieszane ze sobą, dom w Sanie, bogaty w koronkowe dekoracje, nakładał się na oazę na Pustyni Libijskiej, a gęste wody Eufratu na zachód słońca w Assuan.

Byłem szczęśliwy, że mogę śnić, gdyż w snach czułem się dobrze. A kiedy się budziłem, brałem kąpiel, a nie prysznic. Łatwiej było mi zanurzyć się w wodzie, bo ręce mniej mnie przy tym bolały. Używałem miękkiej gąbki. Za jej pomocą myłem też dłonie, wyciskając pianistą wodę prawą ręką na palce lewej, a potem zamieniając ręce i powtarzając tę samą czynność. To wszystko i zabierało cenny czas, i sprawiało cierpienie. Stało się stałym punktem dnia, z którego jednak z przyjemnością zrezygnowałbym.

A poza tym pragnąłem przestać śnić. Wołałem wrócić do czarnego, pozbawionego obrazów snu. Niemniej przez chorobę zyskałem cenne godziny. Dokładnie wiedziałem, co przydarzało mi się w każdej chwili dnia, również w nocy. Śniąc, czynnie uczestniczyłem w całym moim życiu, a nie tylko w jego części.

Z takimi oto myślami w głowie ubrałem się, wypilem szklankę wody, przeszedłem do gabinetu, zszedłem do kaplicy, pomodliłem się do Pana, wyszedłem na dziedziniec i wsiałem do Land Rovera. Jak zwykle wyjechałem przez Bramę Nową, skręciłem w prawo, przejechałem koło Notre Damę i zaparkowałem przed Saint Louis.

Dłonie ciągle mnie bolały, doszedłem więc do wniosku, że mój los już się nie odmieni. Uśmiechnąłem się na myśl o dramatyzmie najbliższych lat, które przeżyję z protezami, i radośniejszy wszedłem do szpitala. Niewiele potrzeba było, aby poprawić mi humor. Wystarczyło, abym ciągle był świadom każdej chwili.

Siostra Matilda nie okazała zdziwienia, widząc, że tak wcześnie przyjechałem. Nie było jeszcze siódmej. Zrozumiałem, że przyzwyczaiła się, aby już niczemu się nie dziwić. Była to swego rodzaju forma samokontroli, ale także samoobrony. Zaprowadziła mnie do mojego pokoju. Nie spytałem, dlaczego kropiółka jeszcze nie została przeniesiona do Vidi-gala. Kiedy wbiła igłę w ramię, czule pogłaska mnie po dłoniach. Zrobiła tak po raz pierwszy. Wzruszyłem się. Czuję się, jak gdyby podarowała mi ciepło i dobry nastrój.

Nie odezwała się, dopóki ostatnia kropla płynu nie znalazła się w moich żyłach. Wyciągnęła igłę, jak zwykle delikatnie, i pożegnała się.

Wyruszyłem w stronę góry Nebo. Szejk mieszkał przy drodze schodzącej w kierunku Morza Martwego, dwa kilometry poniżej Bazyliki Grobu Mojżesza i naszego małego klasztoru, który zwaliśmy klasztorkiem. Chciałem jak najszybciej dotrzeć na miejsce, porozmawiać i wrócić do Jerozolimy. Na obiad do Najświętszego Zbawiciela zaprosiłem Nuncjusza.

Przejazd przez Most Allenby odbył się błyskawicznie, bez problemów. Także na Górę Nebo wjechałem spokojnie. Moje myśli zaprzątnięte były napawającymi mnie niepokojem losami Benjamina, dłońmi i czymś jeszcze, czego nie zdołałem zdefiniować. Jak gdyby wokół mnie wytworzyła się atmosfera zagrożenia. Nie wiedziałem, skąd się brała, **ale** czułem jej zapach.

Zajechałem przed willę Szejka.

Land Rover zaparkowałem w ogrodzie, obok jego samochodu. Był taki sam, z wyjątkiem koloru. Mój był szary, jego zielony. Wyszedł mi na spotkanie, jakby czekał. Uścisnął mnie. Rozejrzałem się wokół. Rabatki wyglądały tak jak dwa

lata temu, z zawilcami i stokrotkami, podobnie żwir na podjeździe i drzwi wejściowe, wylupane przy zamku: ktoś chyba próbował się włamać.

Szejk też wyglądał tak jak dwa lata temu. W przeciwieństwie do Grubera nie przytył i nie stracił włosów. Miał, jak zwykle, zuchwałą minę, ale jego życzliwość od razu czyniły go sympatycznym. Twarz i czarne uspokajające oczy wzbudzały ufność. W rzeczywistości był nieco inny, niż się wydawał, ale zanim jego rozmówca się spostrzegł, on otrzymał już to, czego potrzebował.

Zaprosił mnie do gabinetu. Wskazał fotel obity w skórę, na którym siedziałem poprzednimi razy, gdy go odwiedzałem. Z małego termicznego dzbanka, stojącego na biurku, nalał do filiżanki ciepłej kawy. Posłodził. Poprosił, abym spróbował, gdyż ziarno kupił w Brazylii, najlepszej jakości. Powiedział, że napisał do mnie, gdyż chciał mi opowiedzieć pewne wydarzenie, które mogło mnie zainteresować. Usiadł naprzeciwko mnie, na fotelu z wiklinowym oparciem i siedziskiem, i zdradził, że kilka dni wcześniej spacerował po centrum Tel Awiwu, nie mając nic do roboty aż do obiadu. Postanowił wówczas udać się do Levy'ego, dobrze zaopatrzonego antykwariusza, aby sprawdzić, czy nie ma jakiegoś interesującego eksponatu. Przed drzwiami wpadł na mężczyznę, którego poznał kiedyś w Jemenie podczas podróży w interesach. Nazywał się Jones i pracował w biurze przedstawicielskim ONZ w Sanie.

Skontaktował ich wspólny przyjaciel. Szejk napisał do niego, że pragnie zatrzymać się na kilka dni w Sanie i prosił o zarezerwowanie hotelu. Spotkali się na lotnisku. Jones czekał już na niego i zaprosił do swojego domu. Szejk nie wiedział, czy przyjąć zaproszenie. Idea bycia gościem u nieznanego człowieka nie napawała go entuzjazmem, poza tym w hotelu

miałby więcej swobody. Jones jednak nie przyjmował wymówek, jego dom był piękny i przytulny, zaś hotele w Sanie pozostawiały wiele o życzności.

Kiedy Jones przekonał Szejka i zawiózł go jeepem do swojej całkowicie odnowionej kamienicy, położonej w samym centrum miasta, 50 metrów od placu Al-Tahir, a następnie pokazał luksusowy pokój i łazienkę, ogarnęła go nagła nieśmiałość, a dotychczas gotowe i spontaniczne słowa jak gdyby wyczerpały się.

W następnych dniach Jones zajął się własnymi sprawami, podróżując nawet poza Sanę, co dało Szejkowi swobodę w spotykaniu się z handlarzami srebrem i antycznymi przedmiotami z laki. Kiedy nadeszła chwila wyjazdu, Jones, odwożąc Szejka na lotnisko, stwierdził, że dobrze się czuł w jego towarzystwie. Chociaż ani razu nie zjedli razem kolacji. Szejk z czystej grzeczności poprosił Jonesa, aby go zawiadomił, jeśli przybędzie kiedyś do Jordanii czy Izraela, gdyż chciał odwdziaczyć się za gościnę. Jones obiecał, że z pewnością napisze.

- W danej chwili - powiedział Szejk - bywa, że zapraszamy i czynimy to z całkowitą szczerością. Z pewnością tobie też się to przydarzyło. Ale kiedy odkrywamy, że zaproszenie zostało poważnie potraktowane, odczuwamy lekkie przerażenie. Miałem nadzieję, że już nigdy więcej go nie spotkam. Między innymi dlatego, że nie zrodziła się między nami żadna przyjaźń czy nawet zwykła sympatia. Ale pytanie, dlaczego mnie nie powiadomił, że przybywa do Izraela, jakie wypowiedziałem przed Levym, wyszło całkiem spontanicznie. Odrzekł, że nie chciał się narzucać, ja zaś na to, z niewielkim entuzjazmem, że cieszę się, iż znowu go widzę. Spytałem, jak minęły mu wakacje w Teł Awiwie. Odpowiedział, że się kąpał. Umówiliśmy się na kolację. Ale on się nie pokazał.

A ja odetchnąłem z ulgą. Dwa dni później otwieram gazetę i widzę jego zdjęcie. Jones to ten facet, który zginął w Cytadeli i z którym rozmawiał twój brat Benjamin. Matteo, mam wrażenie, że Jones był zamieszany w jakieś nieczyste interesy. Chciałbym pomóc ci uniknąć skandalu, jaki dotknie Kustodię. Należy ratować Benjaminą, jestem pewien, że jest niewinny. A właśnie, Matteo, dbaj o ręce. Choroba Burgera jest straszna. Mój drogi przyjaciel umarł na nią. Spotkał go potworny koniec. Ty jednak musisz mieć nadzieję.

Odparłem sucho, że nie mam zamiaru rozmawiać o dłoniach. W każdym razie dziękuję. Odprowadził mnie do samochodu z serdecznym uśmiechem. Pożegnał, klepiąc dłonią po ramieniu i szepcząc do ucha:

- Odwagi.

Prowadząc, zastanawiałem się nad tym, co usłyszałem. W żadnej gazecie nie pojawiło się zdjęcie Jonesa - czy jak się naprawdę nazywał - ani też nie opisano całego wydarzenia, a tym bardziej faktu, że zamieszany był w nie brat z Kustodii. Ale kiedy pojawiał się Szejk, oszustwa stawały się na porządku dziennym. A poza tym skąd dowiedział się o rękach? Trudno mi było wyobrazić sobie, że ma jakieś powiązania z Gruberem. Może jest przyjacielem Leibowitza, którego jednak wiąże tajemnica zawodowa. Doszedłem do wniosku, że w Świętym Mieście wszystko jest możliwe i że porozmawiam z Leibowitzem. Ale potem zastanowiłem się dlaczego zły jestem tylko na Szejka, a nie na Grubera, jak gdyby ten ostatni z racji pracy, jaką wykonuje, miał prawo znać każdy mój sekret.

Powrót do Jerozolimy przebiegł spokojnie. Można by nawet pomyśleć, że między Kuzynami od Ściany a Przyjaciółmi ze Skąły zapanował nagły pokój.

Nuncjusz czekał w gabinecie już od kilku minut. Przeprosiłem go i poprosiłem ojca Ramona, aby przyniósł nam coś do jedzenia. Nie chciałem schodzić do referatarza, mogliśmy zjeść przy stoliku stojącym obok sofy.

Ramon wrócił z dwoma talerzami *spaghetti all'olio*¹⁶. Na twarzy Nuncjusza pojawiło się rozczarowanie, wyjaśniłem więc:

- To skromny franciszkański posiłek.

Skinął głową bez przekonania i pochłonął swoją porcję. Potem, czekając, aż ja skończę jeść, i udając, że nie dostrzega, z jakim trudem nawijam makaron na widelec, stwierdził, że niepokoi go sprawa ojca Benjamina. Ciekaw jest wszystkich szczegółów, dlatego chciałby, abym dokładnie mu opowiedział, co się wydarzyło. Potem zadał mi jedno z tych pytań, które zazwyczaj określam mianem niepotrzebnych. Między innymi dlatego, że postanowił już, co uczyni, a rozmawianie o tym ze mną było całkiem zbędne.

- Czy mam poinformować Stolicę Apostolską?

Zastawiłem na niego pułapkę.

- Lepiej nie, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Zwłaszcza że niczego nie napisano w gazetach.

- Problem w tym - zauważył z udawanym zażenowaniem - że w Rzymie już wiedzą i prosili o dokładniejsze informacje.

- Rozumiem - skwitowałem.

Popatrzył na swój pusty talerz, potem przeniósł wzrok na mój. Zorientował się, że obiad dobiegł końca. Nie odważył się spytać, czy może zjeść spaghetti, które zostawiłem, i z głębokim westchnieniem powiedział, że chciałby porozmawiać o

¹⁶ Makaron przyrządzony tylko na oliwie z oliwek, ewentualnie z dodatkiem tartego parmezanu.

prawdziwej przyczynie jego wizyty w Jerozolimie. Miał ze sobą torbę, której wcześniej nie zauważyłem. Otworzył ją i wyjął ze środka kopertę. Zawierała kilka kserokopii. Wyjaśnił, że chodzi o przekład łacińskiego listu cesarza Fryderyka II. Powinienem się z nim zapoznać.

- Uczyni to ojciec? - jego głos przybrał niemalże błagalny ton.

Skinąłem twierdząco głową, jak gdyby było to oczywiste. Wychodząc z gabinetu, pożegnał mnie porozumiewawczym uśmiechem. A ja, pchany ciekawością, zacząłem czytać.

List cesarza

List zaczynał się zawołaniem: „Grzegorz IX! Już samo jego imię było programem, przypominało mi innego Grzegorza, który pod koniec roku tysięcznego sprzeciwił się z mocą Henrykowi IV. Jak On, Grzegorz IX nie posiadał pośród swoich cnót cierpliwości i doszedł do przekonania, od pierwszych dni pontyfikatu, że należy ostro stawić czoło problemowi nad problemami, czyli stosunkom ze mną.

Nawet szybkość, z jaką go wybrano, zaledwie dwadzieścia cztery godziny po śmierci Honoriusza III, nie wzbudziła wielkiego zadziwienia: w Kurii zajmował znaczące stanowisko, zdobyte dzięki dokładnej i wiernej pracy na służbie poprzednikom: Innocentemu i Honoriuszowi. A poza tym przypuszczałem, że kardynałom nie były miłe dobre stosunki między mną a Honoriuszem.

Grzegorz natychmiast zmienił panujący klimat. Pierwsza wiadomość, jaką mi przesłał, głosiła: «Nie zajmujcie stanowiska, które zmusi mnie do przedsięwzięcia kroków przeciwko Wam; wyruszcie na krucjatę, jak obiecaliście, albo poniesiecie tego konsekwencje».

Odniosłem wrażenie, że prawdopodobieństwo, iż wypełnię zobowiązanie w obiecany czas, uznał za nikłe. Miał zatem szansę ekskomunikować mnie za to, iż nie dotrzymałem

uroczystej przysięgi zdobycia Jerozolimy. Ale latem 1227 roku moje przygotowania do krucjaty były na zaawansowanym etapie. Zdołałem przekonać rycerzy, kupców, pielgrzymów - znosząc obowiązek opłaty celnej - aby przybyli do Apulii i tam wsiedli na statki płynące do Ziemi Świętej. Sam za nich pokryłem koszt.

Przyjaciel, Landgraf Turyngii, przybył z kilkoma setkami żołnierzy. Nie przypuszczałem, że warunki higieniczne są tak prowizoryczne: wybuchła epidemia cholery. Landgraf zmarł, a wraz z nim wielu jego ludzi. Ja także zachorowałem. Znalazłem się w ślepych zaułku. Nie miałem innego wyboru, jak rozkazać flocie, aby wypłynęła w morze. Wyruszyliśmy z Brindisi w miesiącu wrześniu. Czuję się coraz gorzej, lekarze polecili mi przerwać podróż.

Wysłałem przodem oddział galeonów ku Syrii, wydając polecenie księciu Liburgu oraz Hermanowi z Salcy, Wielkiemu Mistrzowi Krzyżaków, by przygotowali wszystko na moje przybycie. Chciałem jak najszybciej rozpocząć krucjatę. Ustaliłem datę. Maj 1228 roku.

Przybiłem więc do Otranto, gorączkując, z zawrotami głowy i trudnościami, by utrzymać się prosto na nogach, i w wygodnym wozie pojechałem do Pozzuoli. Grzegorz był przekonany, że nie byłem chory. Ale ja byłem. Nie przyjął mojego posłańca. Nie wypełniłem obietnicy, iż w 1227 roku stanę na Ziemi Świętej. Cała reszta, podjęta próba podróży i choroba miały małe znaczenie. Papież wykorzystał okazję, jak gdyby od dawna na nią czekał, i powiadomił wszystkich chrześcijańskich królów, że pomimo przysięgi nie przybyłem do Jerozolimy.

W październiku 1227 roku Grzegorz wysłał kolejny list, w którym żalił się, że prześladowuję kler na Sycylii, nie okazując żadnego poszanowania dla podatkowych przywilejów

i autonomii Kościoła sycylijskiego, co więcej, skazując na wygnanie najbardziej autorytatywnych duchownych. W zasadzie domagał się uznania jego władzy. Chciał wyrwać mi tę ziemię, którą tak bardzo umiłowałem.

W tym samym miesiącu ogłosił encyklikę, w której mówił o mojej niewdzięczności. Jego zdaniem szczęście bycia żywym zawdzięczałem Kościołowi. Papiestwo przyczyniło się do zdobycia przeze mnie władzy w nadziei, że stanę się obrońcą chrześcijańskiego świata. Zdradziłem wszelkie oczekiwania. Zasługiwałem na karę i byłem odpowiedzialny również za śmierć Landgrafa Turyni. Krótko mówiąc, byłem fałszywym krzyżowcem: nie wysłałem do Ziemi Świętej ani pieniędzy, ani statków obiecanych jeszcze na konferencjach w Ferentino i San Germano.

Zostałem ekskomunikowany. Krok ten sam w sobie nie był bardzo tragiczny, stanowił swego rodzaju ryzyko zawodowe. Liczyłem się z taką możliwością. Prawdziwym zmartwieniem była uparta nienawiść Grzegorza. To prawda, że na Sycylii zastąpiłem Kościół w sprawowaniu władzy, ale przesadą było utrzymywanie, że papiestwo w młodości ochroniło mnie przed licznymi wrogami.

Odpowiedziałem listem skierowanym do wszystkich, którzy przysięgali wyzwolić Święty Grób, starając się zachować jak najbardziej spokojny ton. Napisałem, że papież zawsze był dla mnie jak «ojciec», że obdarzałem czią Wikariusza Chrystusowego, pokładając w nim moją nadzieję, ale w zamian doczekałem się jedynie goryczy. Podważono nawet moją chorobę.

W Wielkanoc papież popełnił błąd, na jaki czekałem. W Bazylice Świętego Piotra wygłosił kazanie skierowane przeciwko mnie. Moi szpiedzy nie zwlekali. Rozpętali zamieszki wśród pospólstwa. Grzegorz musiał uciekać z Rzymu,

schronił się w Viterbo. Odwdzieczyłem się mu pięknym za nadobne. Nigdy mi tego nie wybaczył.

Krucjata niepobłogosławiona przez papieża, promotora świętych wojen, stanowiła zagrożenie dla jego politycznej wiarygodności. Tak sądziłem i byłem przekonany, że moja ponowna próba przyniesie lepszy rezultat od żenujących wyników piątej krucjaty.

Kontakt z Tobą, drogi przyjacielu, Fakhr ad-Dinie, był niezwykle pożyteczny. Wiedziałem, że przychyłność Twojego sułtana al-Kamila wobec mnie wypływała jedynie z obaw przed ekspansjonistycznymi zapędami brata, al-Mu'azzama, zarządcy Damaszku. Al-Kamil doszedł do przekonania, że prawdziwym celem al-Mu'azzama był Egipt. Jego gotowość, by przyjść mi z pomocą, miała określone znaczenie. Dla niego krucjaty były militarnymi operacjami zdobycznymi, a nie świętymi wojnami, dlatego nie miał oporów, by posłużyć się mną przeciwko jednemu z rywali świata islamskiego.

Dyplomacja była jedyną możliwą drogą, rzeczywistością, jaką krzyżowcy przybyli przede mną z trudem byli gotowi zaakceptować, nawet gdy zostali zmuszeni do negocjacji. Ryszarda Lwie Serce na przykład dręczyło wiele wątpliwości, zanim postanowił pertraktować z Saladynem. Ale ja kochałem Jerozolimę, islam i rozumiałem jego kulturę.

Moja strategia, zgodna z Twoimi radami, opierała się na nieprzyjaźni między al-Kamilem i al-Mu'azzamem. Niestety, w przeddzień mojej wyprawy al-Mu'azzam zmarł, a wraz z nim zgasły również zapędy al-Kamila. Kolejna komplikacja pojawiła się w kwietniu 1228 roku wraz ze śmiercią mojej żony Izabeli, prawowitej królowej Jerozolimy, po tym, jak wydała na świat Konrada. Jak wiesz, nadal nazywałem siebie królem Jerozolimy, nie bacząc na tych, którzy ograniczali moje prawa do zwyczajnej regencji w imię Konrada.

Jednym słowem również dzięki Tobie przekonałem al-Kamila, aby przekazał mi Święte Miasto. Jako warunek podał zburzenie murów. Niektóre budowle, jak Cytadela Dawida, ostały się, chociaż uszkodzone, niemniej Jerozolima została ogołocona, a jej jedyną ochroną było słowo al-Kamila. Zresztą „wyzwolenie” było tylko częściowe. Wam pozostawił Wzgórze Świątynne wraz z meczetami al-Aksa i Kopułą na Skale. Meczety, które zostały przemienione w kościoły z woli królów Jerozolimy z XII wieku, miały powrócić do pierwotnego kultu. Otrzymaliśmy jednak pozwolenie wstępu na Wzgórze Świątynne. Jerozolimę miały otoczyć islamskie obozy. Hebron pozostał w waszych rękach.

Ponieważ odzyskałem również Betlejem i Nazaret, mogłem powiedzieć, że pod moją kontrolą pozostawały trzy najświętsze dla naszej religii sanktuaria: miejsce Zwiastowania, Narodzenia i Ukrzyżowania. Ale dostęp do nich był niezwykle trudny, wąska ścieżka wijąca się po obszarze przez was kontrolowanym. Tylko tyle jednak byłem w stanie osiągnąć. Ponadto zdołałem uzyskać zgodę Twojego sułtana na odbudowanie i wzmocnienie murów w Sydonie, Jaffie i Cezarei.

Porozumienie z al-Kamilem zostało potraktowane przez templariuszy i przez przyjaciół Grzegorza za zdradę. Ja w każdym razie 17 marca 1229 roku przybyłem do Jerozolimy, a za mną znaczna liczba pielgrzymów, których niewiele interesował fakt, iż prowadzi ich człowiek ekskomunikowany. Obowiązkowym celem była Bazylika Grobu Pańskiego, która została nietknięta przez wszystkie lata waszej dominacji. Al-Kamil przekazał zadanie pełnienia honorów domu kadiemu¹⁷ Nablusu, Shams ad-dinowi, jednej z najbardziej szanowanych

-

¹⁷Kadi - muzułmański sędzia.

głów religijnych; ponadto w obawie, by mnie nie obrazić, z wielkim taktem kazał polecić muezinom, by w godzinach nocnych nie wzywali do modlitwy. Pożaliłem się na to Shams ad-dinowi, gdyż, jak wyjaśniłem, postanowiłem spędzić noc w Jerozolimie przede wszystkim po to, aby usłyszeć nawoływania muezinów do modlitwy i ich pochwalne wołania na cześć Allacha. A potem skarciłem niebaczego kapłana, który zamierzał wejść do meczetu Al-Aksa z Biblią w ręce.

Odwiedziłem Wzgórze Świątynne w towarzystwie Shams ad-dina, dałem się ponieść urokowi Kopuły na Skale i przeczytałem napis umieszczony na budowli przez Saladyna. Spytałem również o przyczynę obecności żelaznej kraty wokół świętej skały i stwierdziłem, że być może służyła temu, aby nas trzymać od niej z daleka.

Drugiego dnia pobytu, nie bacząc na dezaprobatę Patriarchy Herolda, udałem się przy cichym przyzwoleniu tych, którzy uważali mnie za ekskomunikowanego, do Bazyliki Grobu Pańskiego i ukoronowałem się na króla Jerozolimy.

To, co wydarzyło się potem, jest przyczyną niniejszego listu. I po części to wiesz. Templariusze otwarcie wspierający Herolda doszli do przeświadczenia, że chciałem uwięzić Wielkiego Mistrza i skonfiskować ich dobra, dlatego zastawili na mnie zasadzkę. Brat Franciszek przepowiedział mi ją. Przepowiedział coś jeszcze. I to właśnie muszę Ci przekazać. Gdyż jesteś jedyną osobą, która może mi pomóc. Dotyczy skarbu, jaki odkryłem. Nieoszacowanego..."

W tym miejscu list się urywał. Pierwsze pytanie, jakie sobie postawiłem, brzmiało: co takiego odkrył Fryderyk? A potem: co miał z tym wspólnego święty Franciszek? I templariusze? Zszedłem do biblioteki i po chwili szukania, utrudnionego stanem moich dłoni, odnalazłem hagiograficzny tom

o Świętym, zredagowany w połowie dziewiętnastego wieku przez naszego Salvatore da Terni: kronikę - nie wiem, na ile zbeletryzowaną - spotkania Fryderyka z Franciszkiem.

W 1222 roku, kiedy dwór Fryderyka znajdował się w Bari, pojawił się u niego Franciszek. Cesarz chciał skusić Świętego, pokazując mu piękną kobietę, ale kiedy zrozumiał, że to bezskuteczne, ponieważ Franciszek żyje zgodnie z tym, czego naucza, odprawił dworzan i przez kilka godzin rozmawiał z nim w cztery oczy, słuchając jego rad dla zdrowia swojej duszy.

Nic więcej książka nie podawała. Pozostawało wiele niejasności. Przypomniałem sobie, co kiedyś powiedział mi Vidigal. Że dla swoich współczesnych Franciszek głosił słowa niemalże heretyckie. Bardzo zbliżone do doktryny albigen-sów, którą kończyło powiedzenie: „Należy raczej słuchać Boga niż ludzi”.

Na tę teorię Innocenty III odpowiedział, utwierdzając pośrednictwo kapłana. Stygmaty dostarczały Franciszkowi mniej cierpienia niż formalistyczna hierarchia Rzymu. Wiedział, że bezpośrednio zjednoczenie duszy z Bogiem to najwznioślejsze przeżycie, ale z bólem zgodził się być posłuszny Kościołowi.

Tylko jeden człowiek - jak powiedział Vidigal - posiadał w tamtych latach równe bogactwo energii oraz wybuchowych i niebezpiecznych dla Kościoła przekonań. Był nim Fryderyk II.

W klinice i w niepewności

Nie zadzwoniłem do Nuncjusza, aby skomentować list cesarza. Poświęciłem się natomiast kilku problemom Kustodii, które zaniedbałem. Byliśmy właśnie w toku rozmów z prawosławnymi w sprawie restauracji małego kościółka na Górze Oliwnej. Aby uniknąć niebezpieczeństwa, że zostanie tak zniszczony jak kopuła Bazyliki Grobu Pańskiego podczas odnawiania, zaproponowałem pomoc Kustodii. Patriarcha Alekos obraził się: uznał moją propozycję za brak zaufania w kompetencje jego ludzi, którym przewodziła wiara. Tak mi powiedział. Teraz chciałem ponowić w liście propozycję, dodając cały szereg technicznych detali, dotyczących jakości tynku, jaki ma być położony na restaurowanych ścianach, wskazówek co do zastosowania takich a nie innych kolorów, jednym słowem: gotowość pomocy.

Z niechęcią zjadłem surówkę, pierś z kurczaka i jabłko. Pocieszyłem się myślą, że przynajmniej w ten sposób schudnę i poszedłem wcześniej spać. We śnie zobaczyłem siebie wśród egipskich grobów. Ale bez rewelacyjnych odkryć. Rano pamiętałem tylko oślepiające słońce w Dolinie Królów oraz - chociaż to wiele kilometrów dalej - cichy, pachnący wschód w Assuan, który przeniknął moje serce słodyczą i radością.

Dotarłem też do mauzoleum Agi Chana pośrodku pustyni. Piaski w Assuan są jedynym miejscem na świecie, które łagodzi bóle reumatyczne. Zazaądał, aby pochowano go właśnie tam.

Wstałem w lepszym nastroju. Jak co rano umyłem się. Ręce chyba trochę mniej bolały. Poszedłem do Saint Louis na piechotę. Siostra Matilda czekała już na mnie w fatalnym humorze. Zakomunikowała mi, że znowu odwleczono w czasie przeniesienia kłopotówki do ojca Vidigala. Nie wyjaśniła powodów. Po wbiciu igły w żyłę, siedząc przy mnie, opowiedziała o niewolnictwie na świecie, podając liczne zatrważające dane. Trzyście milionów niewolników, tych oficjalnych, większość w Azji, w Europie zaś i w Stanach Zjednoczonych pół miliona. A my, osoby duchowne, zajmujemy się roztargnionymi duszyczkami. Tak właśnie powiedziała: *roztargnionymi duszyczkami*.

Nie wstąpiłem do Vidigala, a do Kustodii wróciłem w złym nastroju. Męczyły mnie roztargnione duszyczki. Co chciała przez to powiedzieć? Odprawiłem mszę w prywatnej kaplicy o drugiej po południu. Była to rocznica śmierci mojej matki. Zasnęła snem wiecznym właśnie o tej godzinie. Zaprosiłem na mszę Nuncjusza, długo nalegał i z prawdziwą przyjemnością zauważyłem, że naprawdę mu na tym zależy. Ze zdziwieniem wysłuchałem także kilku jego słów o wierze i o miłości do Boga. Najwyraźniej nie zorientował się, że wypowiada je na głos.

Potem zaprosiłem go na kolejny franciszkański posiłek. Zgodził się bez zmruczenia okiem. Weszliśmy do gabinetu, na stoliku czekały już dwa talerze ciepłej zupy i surówki. Ojciec Ramon był przewidujący. Zjedliśmy w ciszy, a pod koniec Nuncjusz poprosił o kieliszek whisky. Pomyślałem w duchu, że chyba za wcześnie na alkohol. I pokazałem mu szufladę,

w której trzymam butelkę. Wlał dosyć sporą porcję. Potem podszedł do okna i zapatrzył się na dziedziniec Najświętszego Zbawiciela.

- Przeczytał ojciec? - zapytał.
- Tak.
- I co ojciec o tym myśli?
- Nie wiem. W Jerozolimie jest wiele skarbów.
- Czuję się dziwnie - stwierdził.

Nie wiedziałem, o czym mówi, dlatego nic nie odpowiedziałem. Wypił whisky. Podszedł do sofy, usiadł. Podniósł głowę i rzucił w moją stronę nieśmiały uśmiezek.

- Albo całkowicie oszalałem - zaczął - albo ktoś mnie śledził, kiedy wyszedłem z Nuncjatury. Dwóch mężczyzn.
- Jak jego ekscelencja się zorientował? - zapytałem.
- Czysty przypadek - odparł. Wzruszył ramionami.
- Zobaczyłem ich tuż za bramą. A kiedy szedłem, słyszałem kroki. Wówczas, aby ich zmylić, zacząłem kluczyć ulicą Dawida, aż do Grobu Pańskiego.

- I co?
- Szli za mną.

Dopił whisky.

- Szli aż do Najświętszego Zbawiciela. Na początku chciałem iść dalej, aby zbadać ich zamiary, ale potem zrezygnowałem.

- Dlaczego?

Uśmiechnął się nieznacznie.

- Zrozumieliby, że ich widziałem.

Wstał, nalał sobie kolejny kieliszek. Zapewnił, że nie musi się martwić, nie miał w zwyczaju się upijać. Potem kontynuował:

- Wywnioskowałem, że ktoś chce wiedzieć, dokąd idę. Ale kto? I co chce dokładnie wiedzieć? Nie mam pojęcia. To

nie mogą być Izraelczycy, wszystko o mnie wiedzą. A poza tym mam paszport dyplomatyczny. Może Palestyńczycy. Tylko po co? Ojciec Matteo, muszę coś wyznać. Nie przepadam za kryminalnymi historyjkami, ale przeczytałem kilka, i to dobrych autorów. I spodobały mi się. Uważam, że są nadzwyczajne, a przede wszystkim żaden bohater nie postępuje głupio. Na przykład nikt od razu nie idzie na policję; jeśli ma jakiś problem, czeka, bada samodzielnie.

- I co w związku z tym? - spytałem.
- Nie wiem, co robić.
- Czy ekscelencja chce rady?

Chyba nawet nie usłyszał, co powiedziałem. Nagle jego myśli skupiły się na czymś całkiem innym.

- Nie potrafię zrozumieć jednego.

Powstrzymałem się przed pytaniem: tylko jednego?

Wstał.

- W każdym razie wracam do Nuncjatury, przyszło mi do głowy, że dowodem na to, że mówiłem prawdę, będzie cofnięcie się.

Bardzo się denerwował. Cały był spocony. Żył na szyi miał nabrzmiąte. Zrozumiałem, że chciał przyznać się do czegoś, czego jeszcze nie powiedział i co zachował dla siebie, jak gdyby chodziło o sekret. Zaproponowałem mu przechadzkę. Zgodził się z ulgą.

- W ten sposób przekonamy się, czy mają nadal odwagę mnie śledzić - stwierdził.

Wyszliśmy z Najświętszego Zbawiciela i podążyliśmy ulicą prowadzącą do Cytadeli Dawida i Bramy Jaffy.

- Mieszkańcy Jerozolimy zostali zatruci religijnością - powiedziałem. - Widzi ekscelencja, że ulice Starego Miasta są naturalną sceną przedstawienia nieustającej modlitwy.

Weszliśmy w ulicę Dawida, napotykając na kaftany, czarne włosy, burnusy, brody, nieskalane szaty, islamskie chusty. Powietrze wibrowało od głosów muezinów, dzwonów z Bazyliki Grobu Pańskiego, litanii pielgrzymów. Głosy te towarzyszyły nam aż do placu przed wejściem do Grobu Pańskiego. Nuncjusz zgodził się ze mną, że to święte miejsce przemieniono w bazar, gdzie przewodnicy kłócą się o turystów, którzy trzaskają fotografiami i kupują fałszywe relikwie. Westchnął i powiedział:

- Nas, katolików, jest coraz mniej.

Pokręcił głową z zaskowaniem. Zaprowadziłem go do Świętej Anny, na początek Via Dolorosa i opowiedziałem, że słynie z solidnej architektury, a także wspaniałej akustyki. Krypta maryjnego sanktuarium była przez prawie siedem wieków metą dla pielgrzymów, którzy zostawiali w niej wota dla Maryi. Potem pokazałem mu wykopaliska w sadzawce Betesda, a on, patrząc na mnie, wyrecytował:

- Potem nastąpiło święto żydowskie i Jezus udał się do Jerozolimy. W Jerozolimie zaś znajduje się Sadzawka Owca, nazwana po hebrajsku Betesda, zaopatrzona w pięć krużganków. Wśród nich leżało mnóstwo chorych: niewidomych, chorych, sparaliżowanych. Znajdował się tam pewien człowiek, który już od lat trzydziestu ośmiu cierpiał na swoją chorobę. Gdy Jezus ujrzał go leżącego i poznał, że czeka już długi czas, zapytał: „Czy chcesz stać się zdrowym?”. Odpowiedział Mu chory: „Panie, nie mam człowieka, aby mnie wprowadził do sadzawki, kiedy nastąpi poruszenie wody. Gdy ja sam już dochodzę, inny wchodzi przede mną”. Rzekł do niego Jezus: „Wstań, weź swoje łoże i chodź!”. Natychmiast wyzdrowiał ów człowiek, wziął swoje łoże i chodził¹⁸. Ewangeliczne miejsce Betesdy zachęca

¹⁸ J 5,1-9.

do skupienia i modlitwy. Tutaj każdy z nas słyszy Jezusowe pytanie: „Czy chcesz stać się zdrowym?“. Wszystkim, których dotknęła choroba, zmęczenie fizyczne bądź moralne, wszystkim, których paraliżuje niepokój i rany duszy, powtarza: „Wstań, weź swoje łoże i chodź“. Jezus bowiem przyszedł nie do zdrowych, lecz do chorych. Zachęca do wyrzeczenia się bożków i do odnalezienia obok Ojca naszego, który jest w niebie, pokoju i zaufania. On pragnie przywrócić w nas godność dzieci Bożych, abyśmy mogli chodzić w Jego chwale.

Pomyślałem, że Nuncjusz nie może być złym księdzem i z większą dla niego przychylnością podążyłem wraz z nim Via Dolorosa. Zatrzymaliśmy się przy Drugiej Stacji, gdzie znajduje się Konwent Biczowania, siedziba Studium Biblicum Franciscanum.

Kiedy otwierałem bramę, jeden ze strażników pilnujących wejścia do tunelu prowadzącego aż do Ściany Płaczu i przechodzącego pod wieloma domostwami dzielnicy mużłmańskiej nagle wyrósł tuż koło mnie. Nuncjusz aż podskoczył ze strachu. Pchnąłem go lekko, aby pierwszy wszedł na dziedziniec, gdzie odetchnął z ulgą. Żołnierz podążył za nim, stając przede mną z lekko groźną miną, blokując mi przejście.

- Często tutaj przychodzisz - zwrócił się do mnie - ale nigdy nie przywitałeś się ani ze mną, ani z moimi kolegami. Czy my nie jesteśmy ludźmi?

Spojrzałem na niego. Odpowiedziałem, że nikomu nie wolno wchodzić z bronią do miejsca świętego, a zatem bardzo go proszę, aby wyszedł. On, zbity z tropu moją stanowczością, wycofał się z pochyloną głową, ale potem, rozmyśliwszy się, stanął w progu i powtórzył pytanie. Jego głos był już jednak inny, mniej agresywny. Odrzekłem, że uznaję jego

i jego kolegów za ludzi, kiedy zobaczą ich bez broni. Potem przeprosiłem Nuncjusza za żołnierzy i ich brak wychowania i zamknąłem bramę.

Oprowadziłem go po muzeum znajdującym się na parterze i zawierającym archeologiczne znaleziska z franciszkańskich wykopalisk na Ziemi Świętej. Plan Jerozolimy, który mi подарował, wystawiłem obok kapitelu z II wieku. Nuncjusz docenił gest. Weszliśmy na pierwsze piętro, do mojego gabinetu. Pokazałem Nuncjuszowi kolekcję rzymskich złotych monet, które trzymałem w szufladzie, gdyż nie miałem pieniędzy koniecznych do zainstalowania skutecznego systemu alarmowego. Zapewnił mnie - podobnie jak wielu innych przed nim - że przedstawi ten problem w Rzymie.

Poczęstowałem go również kawą, którą przygotowałem w jednej z dwóch maszynek od ojca Benjamina. Nuncjusz czuł się swobodnie, wydał mi się nawet sympatyczny. Nie dostrzegłem już owej „watykańskości”, która tak zirytowała mnie podczas naszego pierwszego spotkania. Wyglądał też na nieco chudsze.

Do gabinetu wszedł brat, młody badacz geografii biblijnej. Przeprosił i powiedział, że dzwoni mój sekretarz. Ojciec Ramon przekazał, że ojciec Vidigal chce się ze mną pilnie widzieć. Poprosiłem Nuncjusza o wybaczenie. On zaś powiedział, że sam wróci do Nuncjatury.

Ten sam brat podwiózł mnie samochodem do Saint Louis, przejeżdżając wzdłuż starych murów, a potem przed Bramą Damasceńską. Po raz kolejny wyraziłem w duchu podziw dla ojca Ramona. Zawsze wiedział, jak mnie znaleźć.

Vidigal i mur

Wchodząc do Saint Louis, wpadłem na doktora Leibowitza, który właśnie opuszczał szpital. W pierwszym odruchu chciałem naskoczyć na niego. Ale opanowałem się i powiedziałem tylko, że zadam mu proste pytanie, na które oczekuję prostej odpowiedzi. Popatrzył na mnie zmieszany. Chciałem wiedzieć, ile jeszcze kroplówek mnie czeka. Nie był w stanie tego stwierdzić. Przyznał szczerze, że kuracja przebiega wolniej, niż przewidywał. W każdym razie nie tracił nadziei.

Podziękowałem za jego optymizm i ważąc każde słowo, wyjaśniłem, że przykro mi z powodu wycieku informacji na temat mojej choroby. W lot pojął, o co chodzi. Uśmiechnął się miło i zdecydowanie zapewnił, że nie ma w zwyczaju rozpowiadać na prawo i lewo o cierpieniach swoich pacjentów. Pożegnał się uprzejmie i z odrobiną współczucia, jak gdyby rozumiał, że choroba może być u mnie przyczyną przesadnej nerwowości.

Vidigal był ubrany i siedział na łóżku. Powiedział, że czuje się na siłach, aby wykonać przy mojej pomocy coś, o czym już od dawna marzył. Na stronach gazety „Haretz” widział pewne zdjęcie, które wywarło na nim wielkie wrażenie. Przedstawiało dwójkę chłopców, Przyjaciół ze Skały, którzy

na rowerach jechali wzdłuż muru. On chciał ze mną uczynić to samo.

Przyszła siostra Matilda z kroplówką.

- Wreszcie się zdecydowaliście! - zakrzyknąłem.

Nic nie odrzekła. Także podczas całego zabiegu między naszą trójką panowało absolutne milczenie. Kiedy ostatnia kropla wpłynęła do moich żył, Vidigal rzucił mi błagalne spojrzenie. Rozumiałem, czego ode mnie chciał. Z trudem nałożyłem kurtkę, starając się nie myśleć o bólu w dłoniach, pożegnałem siostrę Matildę i poprosiłem Vidigala, aby na mnie zaczekał.

Poszedłem po samochód do Najświętszego Zbawiciela. Ojciec Ramon stał na dziedzińcu, chyba czekał na mnie. Spytał o zdrowie Vidigala. Wzruszyłem ramionami. Zrozumiał, że nie mam ochoty o tym mówić. Wtedy uświadomiłem sobie, że zachowałem się niegrzecznie. Uśmiechnąłem się lekko do niego. On popatrzył na mnie z niepokojem. Moja nagła uprzejmość zbiła go z tropu. Wszedłem do garażu, wsiadłem do Land Rovera i pojechałem do Saint Louis. Vidigal stał już przed szpitalem. Wyglądał jak dawniej, jak gdyby choroba nagle go opuściła. Tyle że był znacznie chudszy.

Pojechaliśmy do Jerozolimy Wschodniej. Vidigal zaczął mówić, a wyglądało to tak, jakby z jego ust wypływała lawina słów trzymanyh w gotowości na specjalną okazję. Okazję, którą ja mu dostarczyłem:

- Matteo, problem może się wydawać banalny, ale wcale taki nie jest: jak przeszkodzić człowiekowi czy zwierzęciu opuścić miejsce, w którym został zamknięty? Albo, zmieniając punkt widzenia, jak nie dopuścić, aby ktoś „wszedł” do miejsca, do którego nie wolno mu wejść? Pomyśl, Matteo. Starożytni, aby ogrodzić pola uprawne czy stajnie, wznosili

mury bez zaprawy, palisady i płoty. Rzymianie siali w rowie krzewy kolczaste i dzikie róże, dzięki czemu otrzymywali barierę odporniejszą od sztucznych ogrodzeń; barierę znacznie trwalszą w czasie, która na dodatek sama rosła, a przede wszystkim nic nie kosztowała. Podobnie rzecz miała się w Średniowieczu, ale z innymi już płotami i palisadami: przypomnij sobie rolniczy pejzaż namalowany przez Ambrożego Lorenzetiego na obrazie *Skutki dobrych rządów*, w Sienie. I tak było aż do epoki nowożytnej, dopóki w 1874 roku nie wyda- rzyło się coś, co całkowicie wszystko zmieniło.

Na wielkich równinach amerykańskiego Zachodu tereny ciągnęły się w nieskończoność. I równie nieskończone były pastwiska, na których pasły się stada zwierząt. Rozwój gospodarczy przebiegał w zawrotnym tempie, geografia z mie- siąca na miesiąc ulegała zmianie, dlatego nie było czasu na płoty, murki czy palisady, aby kontrolować rozległe pastwi- ska. Poza tym brakowało materiału. Na równinach kamieni nie było dużo, drewno co prawda można było sprowadzić koleją, ale się nie opłacało. Jak zatem przypilnować bydła?

W kulturze, która brutalnie obchodziła się nawet z ludźmi, celem nie było tylko uniemożliwienie zwierzętom ucieczki z przeznaczonych dla nich zagród: trzeba było je wychować, aby w ogóle nie podejmowały takich prób. Stąd wziął się po- myśl, aby ogrodzenie dodatkowo zaopatrzyć w sterczące dru- ty, które zranią zwierzę, jak tylko podejdzie zbyt blisko do ogrodzenia. Ale kiedy w pewnym momencie zorientowano się, że żelazny drut kosztuje znacznie mniej od ogrodzenia, gdyż przemysł hutniczy był w stanie produkować go w du- żych ilościach, i to po niskiej cenie, narodził się drut kolcza- sty. Był to szybki, ekonomiczny i skuteczny sposób ogradzania, a przede wszystkim możliwy do zastosowania na dużych powierzchniach. A jeśli już było, konie czy dzikie zwierzęta

raniły się o niego, mówiło się - trudno. Matteo, słyszałeś kiedyś o człowieku nazwiskiem Joseph Glidden? Dorobił się fortuny na produkcji drutu kolczastego, który był najprostszym i najbardziej bezpośrednim wyrazem okoliczności i potrzeb, a nie tylko geniuszu ludzkiego.

Z Dzikiego Zachodu drut kolczasty przeniósł swoje błyszczące zwoje na pampę argentyńską, na europejskie niziny, a nawet do Południowej Afryki, gdzie Anglicy i Burowie¹⁹ zastąpili dawne palisady, charakterystyczne dla miejscowej tradycji, nowym rodzajem ogrodzenia. Wkroczył też w konflikty dwudziestego wieku, jak ten rosyjsko-japoński, ale przede wszystkim w krwawe bitwy pierwszej wojny światowej, podczas których stosowany jako ochrona dla okopów odniósł prawdziwy sukces jako „przeszkoda”, nowa wojenna strategia.

Czy mur nie jest podobny do drutu kolczastego? Ubiegłego lata spotkałem pewnego palestyńskiego biznesmena, tuż za Jerozolimą, gdzie trasa przebiegu muru nie była jeszcze wytyczona. Staliśmy przed jego dopiero budującym się hotelem. Robotnicy wylewali cement. Zastanowiłem się wtedy, komu w ogóle może przyjść do głowy, aby spać w takim miejscu. Właściciel nie wiedział nawet, po jakiej stronie muru skończy. Musiał jednak szybko dokończyć prace, aby uniknąć prawdopodobnej konfiskaty ze strony wojska Kuzynów od Ściany. Ale inni mają jeszcze gorzej, Matteo. Szkoły i szpitale nagle stały się nieosiągalne. Wielu rolników pozostało odciętych od własnej ziemi. Gdyby to wszystko naprawdę było w stanie powstrzymać Męczenników Allacha, wówczas cierpienia te miałyby sens.

¹⁹ Burowie - dzisiaj zwani Afrykanerami: potomkowie głównie holenderskich kolonistów, którzy osiedlali się w Afryce Południowej w XVII i XVIII wieku.

Izrael jednak potrzebuje rąk Przyjaciół ze Skały, a oni zarabiają na chleb, pracując w Izraelu. Niektóre z tych rąk niosą śmierć. Mur, nawet jeśli potrafi zapobiec jakimś zamachom i w ten sposób okazuje się skutecznym środkiem obrony, przynosi potworne szkody natury psychicznej zarówno Przyjaciółom ze Skały, jak i Kuzynom od Ściany. Vidigal pokręcił głową, i dodał:

- Ludzie często wznoszą mury z tego samego powodu, z jakiego zwierzęta pozostawiają ślady uryny: aby oznaczyć własne terytorium. W takich przypadkach bezpieczeństwo schodzi na drugi plan, a czasami w ogóle nie wchodzi w grę. Ogrodzenia i płoty w naszych ogrodach nie służą przerażeniu bliźniego, lecz przypomnieniu mu, kim jest właściciel. Znaczenie jest symboliczne, jednak to nie zawsze dla wszystkich jest jasne.

Dotarliśmy na peryferia arabskiego miasta. Przed nami pojawił się mur. Osiem metrów szarego betonu prężącego się ku niebu. Wysoki, nieuchronny, niepokonany. Kilku chłopców patrzyło na niego. Zatrzymaliśmy się obok nich. Jeden z nich zwrócił się do mnie:

- Chcą uprzykrzyć nam życie! Ale to nie my jesteśmy ogrodzeni murem. Tylko oni!

Natknęliśmy się na murarzy wracających piechotą do domu, po całym dniu pracy. Zdradzili, że śpią razem z setką innych, w barakach postawionych w obozach dla uchodźców. Gdyby policja ich zatrzymała, zamknięto by ich na noc w areszcie, zapłaciliby mandat, który często wynosił równowartość miesięcznej płacy, a potem zostaliby odesłani do Hebronu. Wyjaśnili też, że kiedy mur zostanie ukończony, trudno im będzie zarobić 200 szekli dziennie, które teraz otrzymują, czeka więc ich bezrobocie.

Vidigal zawołał z goryczą:

- Oto nowe siły robocze, gotowe sprzymierzyć się z Hamasem, który lepiej płaci!

Po czym podszedł do muru. Wyciągnął z kieszeni pisak, nie wiem, skąd go wytrzasnął. I napisał: „Zwycięzca, bez względu na to, w jaki sposób zwyciężył, nigdy nie odczuwa wstydu”.

Był słaby, ale poprosił, abym zawiózł go w inne miejsce. Musiał je koniecznie zobaczyć przed śmiercią. Chciałem odwieźć go do szpitala, ale Vidigal nalegał. Nie mogłem mu odmówić tej przysługi. Był kategoryczny w swoim postanowieniu. Pragnął jechać na Górę Oliwną, pod hotel Seven Arch, gdzie znajdował się wielki taras wychodzący na Stare Miasto. Miejsce, które obdarzał wielką miłością, a poza tym wiedział, że i ja je lubię. Dłonie bolały mnie, ale nie chciałem, aby się zorientował. Powiedział, że ma nadzieję, iż wkrótce poczuje się dobrze i będę mógł wrócić do mojej pracy archeologa. I dodał:

- Będiesz zdrowy, kiedy będziesz mógł już myć talerze.

Droga od muru na Górę Oliwną była krótka. Vidigal trzymał oczy zamknięte, jak gdyby zbierał siły. Gdy przyjechaliśmy na miejsce i zaparkowałem samochód, postanowił wysiąść. Oparł się o balustradę, poprosił, abym stał przy nim.

- Matteo, spójrz na naszą Jerozolimę. Wyobraź sobie miasto Salomona, mieszkankę egipsko-fenicko-mezopotamską. I miasto Jezusa, które łączyło elementy egipskie, ptolemejskie i greckie. Hadrian odbudował Jerozolimę zgodnie z kryteriami rzymskimi. W VI wieku Jerozolima pod panowaniem Justyniana stała się bizantyjska. Potem Arabowie uczynili ją surową i geometryczną. Krzyżowcy przynieśli styl romański, sułtani mameluccy - przepyszne kairskie

budowle. Style pielgrzymów, księży, osadników, Rzymian, Bizantyjczyków, Arabów, krzyżowców, Persów, Turków, Żydów, Etiopczyków. Koptów, Greków, Hiszpanów, Anglików, Amerykanów zjednoczyły Jerozolimę, rozumiesz?

Vidigal wyraźnie osłabł. Oparł się o mnie. Zamknął oczy i mówił dalej, jak gdyby widział to, co opisuje:

- Przy drodze prowadzącej do Nablusu leży anglikańskie arcybiskupstwo, kopia budowli z Oxfordu. Na placu na Wzgórzu Świątynnym jest mamelucka fontanna, zbudowana w najlepszym kairskim stylu z XV wieku, dar egipskiego sułtana, aby uzdrawiała pielgrzymów. W Mea Shearim leżą małe synagogi, identyczne jak ich rosyjskie pierwowzory. Grecki wiatrak z dziewiętnastego wieku spogląda na dolinę Hinnom, a w Getsemani kopuły kościoła rosyjskoprawosławnego są takie jak kopuły w Moskwie. Mishkenot, hotel dla artystów i intelektualistów, wzniesiony w XIX wieku przez pewnego angielskiego bogacza, przypomina budowle powstałe w koloniach brytyjskich. Kopia wieży Palazzo Vecchio z Florencji góruje nad byłym włoskim szpitalem. A budynki należące do dawnej kolonii niemieckiej, wzniesione na południu Starego Miasta przez protestanckich osadników przybyłych z Badenii-Wirtembergii, wyglądają jak wioska z południowych Niemiec.

Ścisnął mnie za prawe ramię. Miał jeszcze trochę sił. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że mnie to boli. Spytał, czy moim zdaniem kapłan może bać się śmierci. Nie pozwolił jednak odpowiedzieć. Kwestia ta przepelniała go niepokojem. Ponieważ nie był w stanie udzielić sobie zadowalającego wyjaśnienia. Zdradził więc tylko, że rozumie mój stosunek do bólu. Ofiarowywałem go Jezusowi.

Zmienił temat. Opowiedział, że kiedy po raz pierwszy przyjechał do Ziemi Świętej, uderzył go i oczarował widok

ogromnej ilości drzew oliwnych. Stanowiły one rolniczą tradycję i przynależały do Przyjaciół ze Skały, dawnych Filistynów. Kuzyni od Ściany dokonali już wycięcia dwustu tysięcy drzewek i szykowali się do wycięcia pozostałych, które rosły na drodze wznoszonego muru. Piękna odpowiedź dla ludu, który prosił o część swojej ziemi, o odrobinę wody i prądu: zamiast tego dano mu mur. Teraz i on będzie miał swoją ścianę płaczu.

- Ale - powiedział jeszcze - jeśli jakiś człowiek chodzi po ulicach własnego miasta i boi się, że wyleci w powietrze, człowiek ten żyje w społeczeństwie strachu. Miłość bierze się z czystego serca, z dobrego sumienia i ze szczerzej wiary. Z miłości do Jerozolimy nie zaznam spokoju, dopóki nie powstanie gwiazda sprawiedliwości, a zbawienie nie zajaśnieje jak lampa. Wówczas i jedni, i drudzy ujrzą chwałę Boga.

Westchnął przeciągle i kontynuował:

- Matteo, w moich oczach zabójstwo nigdy nie stanie się przedmiotem podziwu ani narzędziem wolności. Nie znam nic bardziej służalczego, bardziej godnego pogardy i bardziej tchórzliwego od terrorysty.

Objął mnie. Był wzruszony.

- Odwieź mnie do szpitala - poprosił - nie mam już sił.

Wróciliśmy do Saint Louis. Odprowadziłem go do pokoju. Vidigal uśmiechnął się. Nagle zabrakło mu tchu. Pomogłem mu położyć się do łóżka. Skinął, abym się przybliżył.

- Zajrzyj do szuflady.

Po lewej stronie stała mała szafka. Otworzyłem szufladę. Leżały w niej dwie ponumerowane koperty.

- Przeczytaj to, co znajduje się w pierwszej - ponaglił. Ale zanim otworzyłem kopertę, wyszeptał ostatkiem sił:

- Kocham Ścianę Płaczu, Matteo. W sobotę często chodziłem do niej. Modliłem się i płakałem. Wkładałem na

głowę czarną jarmułkę i poruszałem się zgodnie z moim wewnętrznym rytmem, przy dźwiękach *szofar*²⁰. Dotykałem Ściany dłonią. Całowałem porowate kamienie. Podziwiałem bloki skalne, wykute prawie dwa tysiące lat temu przez kamieniarzy Heroda Wielkiego, przypominające Flaubertowi egipskie piramidy. Z miłością przyglądałem się *bar micwom*, jakie nieustannie tam obchodzono. Stojąc twarzą zwróconą ku Ścianie, chłopiec w otoczeniu krewnych i gości czytał na głos z wielkiego zwoju Tory fragment Prawa przypisany danemu tygodniowi. Sam uczestniczyłem w wielu *bar micwach*. Widziałem, jak Ściana Płaczu staje się szufladą na listy do Boga; raz w miesiącu strażnicy wyjmują je, by uroczyście zakopać w poświęconej ziemi. Proszę cię, Matteo, zostaw w szparze w Ścianie Płaczu karteczkę, która leży w drugiej kopercie. Ale najpierw ją przeczytaj.

Jego głos stawał się coraz słabszy. W końcu Vidigal umarł tak, jak żył, dyskretnie.

²⁰ Szofar - liturgiczny instrument dęty, wykonany z rogu, najczęściej baraniego bądź koziego, używany przez Żydów podczas ważnych świąt.

Pożegnanie Vidigala

Pogrzeb był skromny, taki, jakiego życzyłby sobie Vidigal. Wewnątrz konwentu Najświętszego Zbawiciela znajdował się mały, stary cmentarz. Koło ogrodu, po prawej stronie garażu, przylegający do Bramy Nowej. Pochowano tu kilku naszych braci. Vidigal poprosił, aby i on mógł tu spocząć, w ten sposób pozostałby blisko swojej biblioteki, gdzie pracował przez wiele lat, na parterze konwentu. Uznałem, że należy spełnić jego życzenie.

Na mszy w mojej prywatnej kaplicy zgromadzili się wszyscy bracia, którzy w tamtej chwili przebywali w Jerozolimie, oraz kilku starych znajomych i przyjaciół Vidigala, jak Muhammad, Szejk, Gruber. A także Nuncjusz, który wprawdzie nigdy go nie poznał, ale też chciał być obecny. Gruber przyprowadził ze sobą ojca Benjamina, który przez całe nabożeństwo klęczał, trzymając głowę w rękach.

Pod koniec wygłosiłem mowę pogrzebową.

- Vidigal, przyjacielu mój, wróciłeś do domu. Bez względu na to, gdzie nas życie zawiedzie, pragnienie to wcześniej czy później wszystkich ogarnia. To nie cienie tęsknoty nas wzywają, lecz podziemne korzenie, które ściśle nas opasują. Czasami jednak dom, do którego wracamy, jest duchowym miejscem różniącym się od tego, z jakiego wyruszyliśmy, i dopiero w chwili, kiedy do niego docieramy, rozumiemy, dlaczego

się w nim znaleźliśmy. Pamiętasz? Kiedy spytałem cię o przyczynę, dla której postanowiłeś spędzić życie w Jerozolimie, odpowiedziałeś słowami, które przeznaczyłeś dla siebie samego, gdy spostrzegłeś, że podążasz właśnie w tym kierunku: „Nie wiem, dlaczego chcę jechać do Jerozolimy. Być może to Duch Pana mnie wzywa. Jadę tam, nie wiedząc, co mi się przydarzy. Wiem jednak, że nie jadę szukać własnego pokoju, lecz ofiarować moją modlitwę, moją pracę i moje życie symbolowi wszystkich miast na świecie. I z pokorą służyć będę Bogu, temu ideałowi ofiaruję całego siebie”.

Kiedy Vidigal mówił o pokoju, jego umysł podążał w stronę uczucia, które tkwi w nas i na zewnątrz nas, w stronę słowa *shalom*, oznaczającego dla Kuzynów od Ściany dobrobyt, zdrowie, pomyślność, szczęście. I tego drugiego słowa, *salam*, równie symbolicznego dla Przyjaciół ze Skały: „Dobre serca - mówił - doświadczają pokoju w wielu małych gestach, które nie wzbudzają powszechnego zainteresowania, ale są prawdziwe i skuteczne. Doświadczają go w dobroci, akceptacji drugiego człowieka, łagodności, nadziei w cierpieniu, zgodzie”.

Pragnę przytoczyć kilka wzruszających przykładów.

Jego pierwsze spotkanie z Jerozolimą miało miejsce w 1953 roku. Dnia 12 lipca, po południu, przybył do Amman. Dzień później przypadała rocznica jego prymicji, dlatego uzyskał od ówczesnego Kustosza pozwolenie na odprawienie rankiem mszy przy Grobie Pańskim. Wstał o piątej - spał wówczas tutaj, w konwencie Najświętszego Zbawiciela - i poszedł prosto do bazyliki, przechodząc przez puste uliczki Świętego Miasta. Jak mi opowiedział w późniejszym czasie, msza ta była dla niego źródłem głębokiego przeżycia. Pojął wówczas w sposób wyjątkowo jasny, że to życie, a nie

jedynie śmierć, jest centralnym zagadnieniem religii, pragnieniem ludzkości, wszystkich nadziei i pewników. Opisał mi ideę życia, jaka wtedy go opanowała, życia, które nigdy się nie kończy i ogarnia cały Wszechświat.

Wówczas po raz pierwszy dostrzegł, że jego korzenie związane były z Ziemią Świętą. Kilka lat później, jakieś dwa lata po moim przybyciu do Jerozolimy, kiedy byłem jeszcze bardzo młody, pewnego wieczora podczas wspólnego kontemplowania gwieździstego nieba z wieży Cytadeli Dawida, powiedział: „Matteo, ja narodziłem się w Jerozolimie. Może wydaje ci się to absurdem, przekonaniem, którego jedyna logiczna przyczyna tkwi w moim sercu. Czuję, że zawsze żyłem w kontakcie z tymi kamieniami. Kilka dni temu przez przypadek odkryłem w Starym Mieście boczny zaułek, niemalże całkowicie zapomnianą przez turystów grecką kaplicę. To było niesamowite doświadczenie. Na małym kamiennym dziedzińcu, zatopionym w ciszy, panowała atmosfera pokoju. Przez kratownice i liście pnącza winnego, rzucającego błogi cień, gdzieś tam przedostawało się światło słoneczne. Spokój i zieleń, jaka tryskała z tego jednego pnia, ofiarowały mi odrobinę radości.

Jerozolima zawsze była najbardziej niespokojnym miastem świata, najbardziej nieposłusznym, i nie można jej, Matteo, zrozumieć, jeśli nie weźmie się pod uwagę ścisłej relacji między jej mieszkańcami a pustynią i górami, którymi jest otoczona.

Spacerując po wąskich uliczkach Starego Miasta raz czułem się jak w więzieniu, innym razem jak na skraju urwiska. Kiedy po raz pierwszy wszedłem na Wzgórze Świątynne, poczułem, jak gdyby jakaś tajemnicza siła unosiła mnie w górę. A kiedy zwiedzałem wielką turecką fortecę, Cytadelę Dawida, która wieżami wzniesionymi przez szaleńca Heroda

na długo przed zburzeniem Jerozolimy stawiała czoła całym tysiącleciom, pomyślałem, że jest cudowna. W połowie ulicy Dawida chrześcijanie skręcają w lewo, w stronę Grobu Pańskiego. Przyjaciele ze Skały idą prosto, ku meczetom na Wzgórzu Świątynnym. A Kuzyni od Ściany podążają w prawo, ku Zachodniej Ścianie murów.

Matteo, od rana do wieczora, w każdym zaułku Jerozolimy, w nieskończoność powtarzane są te same liturgie, te same formuły, te same pieśni, te same inwokacje. I te same gesty, w tych samych szatach i tych samych świętych miejscach, od stuleci. Nic się nie zmienia. I właśnie ta niesamowita monotonia zatrzymuje czas w Jerozolimie i czyni ją niepowtarzalną".

Przerwałem. Uświadomiłem sobie, że w oczach mam łzy. Zmieniłem ton głosu.

- Vidigal zreorganizował bibliotekę Kustodii, odnalazł zapomniane, ale jakże ważne księgi, skatalogował je. Kiedyś wyjaśnił mi, że po okresie, w którym uczyliśmy się i sami nauczaliśmy, dla nas, zakonników, przychodzi czas, gdy musimy „udać się do lasu”, czyli wyciszyć na modlitwie. Dodał, że czuje, iż niewiele ma już lat przed sobą, ale jest szczęśliwy, że pokochał Jerozolimę tak szczerym uczuciem. Darzył gorącą miłością naród Kuzynów od Ściany i żywo uczestniczył w jego cierpieniach.

Pewnego dnia, zwiedzając obszar archeologiczny w Umm er Rasas w Jordanii, Vidigal o mało nie zginął, kiedy spod jego stóp ziemia i kamienie usunęły się, wciągając go ze sobą do starej studni. Kiedy tak leciał w dół, czuł spokój, prawie szczęście z powodu tego, co mu się przytrafiło. Powiedział, że pomyślał wtedy, jak by to było pięknie umrzeć w Ziemi Świętej.

Innym razem zdradził mi, że jego zdaniem wewnętrzna odnowa to dar od Boga. Jerozolima mieści w sobie modlitwy, ci-

szę, cierpienia, nadzieję. Jerozolima - jak powiedział - to metafora ciszy, ale także strachu, niepokoju, samotności Jezusa. Poza Jerozolimą jest pustynia, która została naznaczona Jego postem, pragnieniem, głodem, nocnymi modlitwami, wołaniem do Boga, Jego odmawianiem psalmów, zawierzeniem Ojcu, a także kuszeniem Szatana. Na pustyni Jezus przeżył chwilę, w której całe Jego życie skupiło się na modlitwie.

Spytałem go, czy w Świętym Mieście zmienił się sposób, w jaki się modli, a tym samym jego dialog z Jezusem. Odpowiedział, że z pewnością pozostawał pod wpływem widoku na Stare Miasto, jakie rozciągało się z jego okna.

Wyjaśnił też, że każda z licznych wzmianek o Jerozolimie w Biblii jest źródłem rozdarcia i jednocześnie ufności. Rozdarcia ze względu na kontrast z teraźniejszością, a ufności ze względu na miłość, jaką Bóg darzy to miasto i tę ludzkość, której ono jest żywym symbolem. Czytając Biblię w Jerozolimie, uczymy się, że Bóg troszczy się o człowieka w każdym czasie i nigdy nie następuje czas tak zły, aby nie można było kochać Boga i bliźniego. I pewnego dnia starcy, mężczyźni i kobiety spacerować będą w pokoju po ulicach Jerozolimy, a chłopcy i dziewczynki będą się tam bawić.

Zawsze wielkie wrażenie wywierała na mnie jego więź z Mea Shearim. Wzruszała go „przelewająca się wiara”, jak sam mówił. Chodząc po ulicach tej dzielnicy czuł, że jest mu jednocześnie obca i bliska. Przyciągało go wrażenie kontaktu z religijną przeszłością. Gdy patrzył na mężczyzn o długich brodach, na wiecznie blade twarze, myśląc o ich pięćdziesięciu synagogach, ich odzieży nieodpowiedniej do klimatu Izraela, żonach o zmęczonych obliczach, targały nim sprzeczne uczucia. Na koniec zwyciężał szacunek, który wiązał się z miłością do tej ziemi. Gdyż zarówno on, jak i oni stanowili jej część.

W ostatnich dniach swojego życia powiedział mi, że jestem jednym z ostatnich prawdziwych franciszkanów w Jerozolimie, gdyż przyjechałem tu jako młodzieniec i tutaj studiowałem, tutaj przeszedłem całą formację. Dzisiaj powołania są inne, a zakonnicy zostają przeniesieni do Świętego Miasta już jako dorośli ludzie, jako ukształtowani kapłani. Vidigal był szczęśliwy, że mógł przeżyć tak wyjątkowy okres swojej misji. A teraz, kiedy dobiegł on końca, szczęśliwy wraca do Boga.

Wojna przerażała go. Mawiał, że on ją przeżył i zdaje sobie sprawę, jak trudno opisać ją tym, którzy na szczęście nie widzieli, czym jest. Żywił głębokie przekonanie, że słowa nie wystarczą, gdyż chodzi o niemożliwe do opisanego okropieństwo, jednak trzeba je wypowiadać, ponieważ to wytwarza solidarność i zrozumienie. Należy głosić, że bomby i rzezie mają okrutne matki, które nazywają się: głupota, ignorancja, pycha. Zobowiązują nas do tego umarli.

Wojna, dodawał, nie tylko wypacza duszę najeźdźcy, ale zatrzuwa ją nienawiścią, a zatem plami także duszę tych, którzy znajdują się po drugiej stronie barykady.

Kiedyś znalazł się w samym środku walki. Nie powiedział, gdzie to było, bo jego zdaniem wszystkie walki są identyczne. Działa grzmiały i dymiły niedaleko miejsca, w którym przebywał. Przyjeżdżały karetki pełne rannych, ściśniętych jeden na drugim jak worki ze zbożem. Wycieńczeni ze zmęczenia lekarze wyciągali tych biedaków i kładli na trawie, polewając ich zimną wodą z węża. Ci, którzy dawali znaki życia, przenoszeni byli pod namiot, gdzie zorganizowano prowizoryczną salę operacyjną. Kto się nie ruszał, kończył we wspólnym dole.

Na skraju dołu Vidigal godzinami czytał brewiarz i odmawiał modlitwy za zmarłych. Dziesiątki razy na dzień po-

wtarzał *amen*, w pośpiechu, gdyż śmierć pełną parą zbierała swoje żniwo. Potem, pewnego ranka nastąpiła cisza, a on wraz z innymi zasypał dół ziemią.

Zrobiłem krótką przerwę, po czym dokończyłem:

- Kiedy umiera przyjaciel, odchodzi jakaś część nas. A wtedy jeszcze bardziej potrzebujemy Boga.

Nastąpiła chwila ciszy. Potem wszyscy, jeden po drugim, składali mi kondolencje słowami, jakie zazwyczaj kieruje się do bliskiego krewnego. Siostra Matilda wspomniała o dobroci Vidigala, doktor Leibowitz o jego pogodzie ducha, Muhammad powiedział, że był wielkim człowiekiem, a Gruber poklepał mnie po ramieniu i wyszeptał, że jest mu strasznie przykro.

Nuncjusz pobłogosławił mnie i grób, a potem stwierdził, że na moim miejscu nie mówiłby tyle o tych z Mea Shearim. Szejk uśmiechnął się i powiedział cicho:

- Mam nadzieję, że twoje ręce, Matteo, wyzdrowieją. Jeśli je amputują, będzie ci niewygodnie kopać protezami.

Uznałem, że ani jedna, ani druga wypowiedź nie były w dobrym tonie.

Rozdzierające wspomnienia

Byłem bardzo smutny. Po pogrzebie pożegnałem się ze wszystkimi i wróciłem do Saint Louis z siostrą Matildą i doktorem Leibowitzem. Czekало mnie moje codzienne spotkanie z kropłówką. Poprosiłem, aby pozwolono mi posiedzieć w pokoju Vidigala, chociaż jego już nie było. Leibowitz zgodził się. Siostra Matildą poszła ze mną. Usiadłem na łóżku, gładziłem je ręką, kiedy siostra wkłuwała mi igłę do żyły. Potem opowiedziałem jej o chwilach, jakie wspólnie przeżyliśmy.

Kiedyś pojechałem z Vidigalem do Kafarnaum, gdzie jeden z moich nauczycieli i jego bliski przyjaciel, ojciec Virginio Corbo, pracował na wykopaliskach w wiosce, w której mieszkał Piotr i spał Jezus. Miejsce to było bogate w naukę zarówno dla mojej pracy, jak i stanu zakonnego.

Wiara i nauka musiały podążać w zgodzie. Przy kolacji Vidigal wraz z Corbo z respektem mówił o Izaaku Newtonie, który pod koniec *Matematycznych zasad filozofii naturalnej* wezwał Boga Abrahama i Izaaka, gdyż odczuwał pustkę, brak Jego Systemu Świata, czyli nie potrafił wytłumaczyć zagadkowej natury siły ciężenia i trudno mu było znaleźć przyczynę statyczności Systemu Słonecznego. A nie chciał zostać uznany za zwolennika koncepcji Duszy Świata, które to pojęcie jego zdaniem było zbyt pitagorejskie i platońskie.

Jednym słowem, odpowiadało mu przymierze z Bogiem.

Vidigal wyjaśnił mi wtedy, z czym Corbo się zgodził, że Wiary i Rozumu nie można przeciwstawić, gdyż Wiara podąża zgodnie z niewyjaśnionymi racjami Łaski. Poznanie uwalnia człowieka od przesądu, Łaska poprzez Wiarę daje mu gwarancję życia po śmierci. Ale Poznanie i Łaska nie wykluczają się nawzajem, lecz współistnieją. Jeśli pogłębia się Poznanie, zmniejsza się Łaska. I na odwrót. Najważniejsze to pokonać intelektualny mrok, który je otacza. A do tego potrzebujemy i Łaski, i Poznania. Ojciec Corbo zakończył wywód pragmatycznie, wyjaśniając, że Poznanie i Wiara pozwoliły mu odkryć dom Piotra, gdzie spał Jezus.

Innym razem podarowaliśmy sobie z Vidigalem półdniowe wakacje nad Morzem Martwym. Znajdowaliśmy się na wybrzeżu od strony Jordanu, gdzie pustynia zlewa się z blokami solnymi wszelakiej wielkości. Kilka beduińskich namiotów, chłopcy pasący chude kozy na okolicznych wyżynach, gdzie rzadko można było znaleźć jakiś krzak. Akt niezwyklej odwagi biednych zwierząt i ich jeszcze biedniejszych panów.

Wykąpaliśmy się w wodzie, w której człowiek zawsze unosi się na powierzchni, i liczyliśmy gwiazdy, które tworzyło światło słoneczne na szarej powierzchni ani odrobinę niepomarszczonej przez fale. A kiedy krzyknąłem do Vidigala, aby nie otwierał oczu, on automatycznie je otworzył i żalił się potem, że potwornie go pieką.

Śmialiśmy się z tego potwornie i zastanawialiśmy nad tym, gdy byliśmy już po prymitywnym prysznicu, który umożliwił nam stary Beduin mieszkający w namiocie położonym najbliżej brzegu. Baniak letniej i słonawej wody na głowę, która

zmywając sól, dostarczyła nam uczucia prawdziwej przyjemności.

A gdy piliśmy kawę w namiocie naszego gospodarza, który obserwował nas z życzliwością i nie chciał przyjąć pieniędzy, ponieważ traktował już jak nowych przyjaciół, Vidigal zdradził, że chce mi opowiedzieć pewną historię, która przydarzyła mu się wiele lat temu, podczas wojny, w okupowanym Paryżu. W tamtej właśnie chwili zdałem sobie sprawę z jego wieku. Krył się ze swoimi latami, przypuszczam, że z przyzwyczajenia.

W tym miejscu siostra Matilda przerwała mi:

- Ojciec Matteo - po raz pierwszy tak się do mnie zwróciła - ja też nigdy nie mówię, ile mam lat. Nie sądzę, aby zakonnicy różnili się od innych ludzi. Każdy ma swoje kaprysy, to ludzka rzecz. Nie sądzi ojciec?

Uśmiechnąłem się do niej i wyznałem, że ja też, od kiedy przekroczyłem sześćdziesiątkę, odczuwałem swego rodzaju rozdrażnienie, kiedy ktoś pyta mnie o wiek. Ale koniec końców odpowiadam, nawet jeśli przez zaciśnięte zęby, Vidigal natomiast zmieniał temat.

Siostra Matilda prosiła, abym kontynuował opowieść.

Historia Vidigala rozgrywała się w bliżej nieokreślonym roku nazistowskiej okupacji Paryża. Był wtedy jeszcze mały, służył jako goniec w ruchu oporu. Z wielkim entuzjazmem i nie myśląc o konsekwencjach ewentualnego aresztowania, przenosił informacje z jednej strony miasta na drugą. Pracował u piekarza, to była jego przykrywka - doręczał bagietki.

Któregoś ranka Vidigal, jadąc na rowerze z koszem na plecach z ulicy Rue du Bac, gdzie znajdowała się piekarnia, na Boulevard Montparnasse, został zatrzymany przez oddział SS przy Coupole. Kosz był pusty. On na swoje szczęście dostarczył już wiadomość z rozkazami i przekazał bagietki swojemu

kontaktowi, sprzedawcy ostryg dla słynnej restauracji. Niemcy nie rozumieli, dlaczego chłopak wozi chleb tak daleko poza swoją dzielnicę. Sam Vidigal zaplatał się, kiedy próbował dostarczyć wyjaśnienia, w każdym razie nie zdradził nazwiska klienta.

Dlatego esesmani zatrzymali go na przesłuchanie. Vidigal pomyślał wtedy, że czeka go straszny koniec. Nie potrafił wyobrazić sobie żadnego pozytywnego zakończenia całej sytuacji. Samochód nazistów przejechał przez pół Paryża i dotarł na Place de la Bastille. Wjechał na dziedziniec starego budynku, leżącego na rogu Avenue Lagrange. Kamienica pochodziła z początku XX wieku, była z rodzaju tych, w których mieszkaly tak zwane porządne rodziny, dobrze sytuowani urzędnicy. Na dziedzińcu znajdowało się kilka żelaznych drzwi, prowadzących zazwyczaj na schody do piwnicy.

Esesman niemal uprzejmie poprosił Vidigala, aby wysiadł z czarnego i potężnego samochodu - tak go zapamiętał - i otworzył kluczem jedno z owych żelaznych drzwi. Za nimi ciągnęły się schody, wiele schodów. Vidigal był przekonany, że oto wchodzi do podziemi Paryża, tych opisanych przez Victora Hugo w *Nędznikach*. Znalazł się w słabo oświetlonym korytarzu, a najbliższa przyszłość malowała się w zdecydowanie czarnych barwach. Prowadzący go esesman wyszedł naprzód i skinieniem kazał wejść do małej celi, którą zamknął na kłódkę, złowieszczo przeciągając łańcuch. W celi pozbawionej okna znajdowała się prycza, wiadro na wodę i pojemnik na całą resztę. Zapalona żarówka zwisała z sufitu na sznurku. Na ścianach widniały znaki. Vidigalowi wydało się, że namalowane zostały ludzką krwią.

Ogarnęła go panika, a kiedy coś takiego mu się przydarzało - na szczęście niezbyt często - drapał się po głowie

i rękach aż do bólu. Wtedy się uspokajał. Tak było, kiedy dowiedział się o śmierci rodziców. Ale teraz nic to nie dawało. Lewa ręka bardzo go swędziała. Podrapał się, ale nie odczuł ulgi.

Jedynym wyjściem była ucieczka, mógł to jednak uczynić tylko w marzeniach. Odczytał krwawe znaki na ścianie. Tworzyły zdanie, które brzmiało: „Nie ma żadnej nadziei. Wszystko to marność. Szczęśliwy, kto się nigdy nie narodził. Śmierć lepsza jest od życia. Należy się więc go pozbyć”.

Jeden z towarzyszy z ruchu oporu, jego przełożony, piekarz, opowiadał mu o torturach i wyjaśnił, że taka jest stawka walki. Zdradził też, że kiedy esesmani aresztowali go i zaprowadzili do koszar, on w swojej celi, aby zabić czas, rysował twarze strażników. Jeden z nich nazywał się Muller, był byłym bokserem, który połamał kości wielu jeńcom. Spytał go: „Co czujesz, kiedy krzywdzisz inną istotę ludzką?”. Muller odrzekł, że on tylko wykonuje rozkazy, i dodał z dumą, że nigdy nie stosował żadnych narzędzi, tylko swoje ręce.

Gdzieś w koszarach, być może piętro niżej, ktoś często słuchał *Preludium nr 5 d-moll* Chopina. Spytał Mullera, kto, a ten odpowiedział, że to oficer, który bardzo kocha muzykę. Wtedy zdradził Mullerowi, że Chopin inspirował się kroplami deszczu na Majorce. W jego oczach dostrzegł kilka łez.

To wszystko - wyjaśnił piekarz Vidigalowi - nie jest bez znaczenia. Są naziści, jak Muller, będący mniejszymi bestiami od innych. Mimo to, jeśli chciał przeżyć, musiał jakoś obejść tortury, a w ten sposób one stałyby się rozgrywką, którą poprowadzi on. „Jeśli cię złapią - powiedział - pamiętaj o wyobraźni. Mogą wyrwać ci zęby, bić po nerkach woreczkami z piaskiem, kazać wypić ropę, wsypać do ust sól, ale jeśli

masz powód, a twój powód to siła moralna i posiadane istotne tajemnice, to dasz radę. Musisz być jednak o tym przekonany. W przeciwnym razie wszystko powiesz. Aby wytrzymać, musisz mieć coś, o co walczysz". Tak brzmiała rada piekarza.

Teraz, w celi, Vidigal musiał przygotować się na tortury i popracować nad wyobraźnią. Uwielbiał teatr, pomyślał więc, że przed płomieniem wodorowo-tlenowym mógłby zachować postawę aktora i raz okazywać oburzenie, innym razem brak zainteresowania, jeszcze innym łagodność. Mógłby na przykład wmówić sobie, że jest Garrickiem, który w Drurylane recytuje monolog Antoniusza. Gdyż stawką w grze byłoby życie, zupełnie jak w przypadku rzymskiego konsula. Musiał to sobie wbić do głowy. Być trzeźwym i czujnym i patrzeć prosto w twarz oprawcom. Tylko w ten sposób przekona ich o wspaniałości swojej gry i ocali siebie.

Przyznał się przed sobą do jednej rzeczy. Nie chciał, aby ktokolwiek zbliżył się do jego paznokci, gdyż od dziecka szczególnie je sobie upodobał. Nie chciał też, aby palono mu zapałki pod paznokciami, aby prądem palono mu genitalia, aby ścisłano mu żelazną obręczą głowę, dziurawiono ręce zastrzykami, by podbić gorączkę do czterdziestu stopni.

Rozprostował nogi, położył się na materacu i stwierdził, że jest twardy. Spróbował zamknąć oczy i już zasypiał, kiedy z sąsiedniej celi dobiegł go wrzask: „Nie, tylko nie nożyczki, litości!". Potem usłyszał wycie, jak u śmiertelnie ugodzonego psa. W tamtej chwili żywy był w nim tylko strach przed torturami. Popatrzył na ściany, które stały się groźne i pełne krwistych plam. Czy heroizm to coś, co się posiada, czy co można nabyć? Wyobraził sobie, że jest świętym Sebastianem i że śpiewa: „Czymże jest to dobro, które mnie ogarnia? Przed wieczorem, o tak, przed wieczorem umrę".

Potem poczuł się bardzo zmęczony i wreszcie udało mu się zamknąć oczy. Obudzono go wczesnym rankiem, pewien był, że zaraz zostanie zaprowadzony na tortury. Strażnicy jednak powiedzieli tylko, że to pomyłka i że jest wolny. Wrócił do piekarza, dalej działał w ruchu oporu, a kiedy wojna dobiegła końca, złożył śluby zakonne. Tamtej nocy nauczył się, że nie wolno się bać.

Spostrzegłem, że siostra Matilda miała błyszczące ze wzruszenia oczy. Dodałem więc:

- Vidigal wyjaśnił mi, że był gotowy poddać się torturom i znieść cierpienie, ponieważ uważał, że są niezbędne do osiągnięcia celu, którym było wyrzucenie zła, czyli naziistów. Tak samo ja nie powinienem obawiać się o dłonie: jeśli chociaż na chwilę ulegnę strachowi, stracę je. Nie powinienem nawet myśleć, że poświęcam moje cierpienie Bogu. Ja nie jestem świętym Sebastianem. Dłonie potrzebne mi były do archeologii i to jest mój cel, a nie Bóg. Siostrzo - zakończyłem - dlaczego nie opowiedziałem tego na pogrzebie?

Chociaż kroplówka skończyła się już kilka minut temu, siostra Matilda nie przerywała mi. Kiedy zamilkłem, stwierdziła:

- Ojciec Matteo, najważniejsze, aby ojciec już się nie bał.

Pierwszy list Vidigala

Chciałem, aby Vidigal nawet po śmierci czuwał nade mną. Zawsze go potrzebowałem. Teraz, kiedy już się do mnie nie uśmiechał, coraz bardziej zdawałem sobie z tego sprawę. Był moim przewodnikiem i wsparciem. Świadomość, że zawsze mogłem prosić go o pomoc i że zawsze jest w stanie doradzić mi we właściwej chwili, co najlepiej uczynić, dostarczała mi poczucia pewności, które w ostatnich latach pozwoliło mi udźwignąć ciężar urzędu Kustosza.

Jego śmierć i moje chore ręce stały się przyczyną głębokiego nieszczęścia, które nie zagrażało wierze, lecz w każdym razie narażało na silne napięcia. Czulem przerażającą pustkę, bałem się, że nie będę w stanie patrzeć na osoby, które spotkam, słuchać z należyłą uwagą tego, co mi powiedzą, spełniać obowiązków, jakie narzuca moja funkcja. I że jedno słowo nie na miejscu, wypowiedziane nawet w dobrej wierze przez jakiegokolwiek rozmówcę, wywoła we mnie niewłaściwą reakcję.

Obecność Vidigala była dla mnie jak wyjście bezpieczeństwa z zewnętrznej rzeczywistości. Zwłaszcza od kiedy zostałem Kustoszem, wystarczyło jedno jego spojrzenie albo wspólna modlitwa w prywatnej kaplicy, aby dodać mi odwagi i zmusić do reakcji wobec złości na świat, jaka często opanowywała mój rozum i uczucia.

Siostra Matilda, która z pewnością nie mogła go zastąpić, posiadała pewną dobrą cechę. W odróżnieniu od ludzi, którzy tyle mówią, że nie są w stanie słuchać innych, ona naprawdę była zainteresowana tym, co mówiłem, i potrafiła milczeć, kiedy opowiadałem o swoich niepokojach i udrękach. A poza tym nigdy nie przypuszczałem - ale nie powiedziałem jej tego - że uda mi się nawiązać taką zażyłość z siostrą zakonną. Czyli, jednym słowem, że stanie się moim rozmówcą.

Siedzieliśmy tak bez słów, chociaż kroplówka dawno się skończyła, ona wsłuchując się w moje milczenie i śledząc myśli, które się w nim szamotały, zwłaszcza strach, że nie wyzdrowieję, a ja z absurdalną nadzieją, że może stać się drugim Vidigalem. Ale to było niemożliwe.

- Wielebny ojczy, czy kolejne kroplówki mamy podawać w tym pokoju, czy wracamy na stare miejsce?

Głos brzmiał zwyczajnie, pozbawiony był jakichkolwiek emocji. Po prostu oczekiwała ode mnie odpowiedzi. A ja wiedziałem, jakiej. Tam, gdzie to będzie możliwe, odrzekłem, aby nie komplikować życia w szpitalu. Rzeczą logiczną wydawało się, że w pokoju, w którym mieszkał Vidigal aż do śmierci, teraz zostanie położony inny chory, i nie byłoby słuszne, aby stał pusty tylko po to, abym ja mógł godzinę dziennie w nim posiedzieć.

Ogarnęła mnie dziwna gorączka. Chciałem zrozumieć, ale nie wiedziałem jeszcze, co. Mój instynkt podpowiadał mi, że muszę jechać do Betanii. Pomyślałem nawet, że mogę poprosić siostrę Matildę, aby mnie tam zawiozła. Na tę myśl uśmiechnąłem się. Jej spotkanie z Magiem mogło być komiczne.

Zastanowiłem się, dlaczego tak nagle podjąłem decyzję, aby jechać do Maga. Doszedłem do wniosku, że szukam

jedynie pocieszenia i ratunku z powodu podwójnego cierpienia. Z powodu rąk i śmierci Vidigala. Potrzebowałem pomocy. Dlatego chwyciłem się wszystkiego, co mogło odciągnąć mnie od nieznośnej myśli, że stracę dłonie. Bolało mnie, że modlitwa nie wystarczała, by dać mi odrobinę ulgi. To bynajmniej nie podważało mojego kapłaństwa, tym bardziej umacniało je poprzez wykazanie, jak bardzo jestem niedoskonały, a zatem potrzebuję łaski Pana. Nie dlatego, że była to ostatnia szansa dla zrozpaczonego księdza, lecz przeciwnie, dlatego, że dostarczała sensu i celu.

Po mojej głowie płatać się zaczęło zdanie, jakie Vidigal wypowiedział w ostatnich dniach. Życie artysty jest nudne. Kogo miał na myśli? Spostrzegłem, że oto dojechałem aż do Mostu Allenby. Nie widziałem drogi, a mimo to pokonałem ją, nie powodując żadnego wypadku. Bywało nieraz, że zamyślałem się i mechanicznie wykonywałem pewne czynności, ale po raz pierwszy zdarzyło mi się prowadzić obolałymi rękoma, nie będąc tego świadomym, samochód po drodze pełnej zakrętów, i to przez dłuższy czas. Doszedłem do wniosku, że to Pan mi pomógł, odmówiłem więc modlitwę dziękczynną.

Przejechałem granicę i skierowałem się do Betanii. Bardzo dobrze pamiętałem trasę. Odnalazłem piaszczystą drogę. Rosnące przy niej krzaki wydały mi się wyższe, kamienie większe i ostrzejsze, hotel „Nadzieja” podupadły, zaś rabatki zwiędłe. Zdziwiłem się, jak to możliwe w tak krótkim czasie i dlaczego kaktusy nagle wyglądały jak martwe. Doszedłem do wniosku, że to jednak nie jest takie ważne.

Hotel był pusty, a za nim, tam gdzie widziałem się z Magiem, widoczne były ślady po śmieciach. Kilka kur czekało, aż ktoś zabierze je stąd i zamknie w kurniku. Zacząłem się zastanawiać, czy ja na pewno byłem tu kiedyś i czy aby nie

śnię. Otoczenie wyglądało na od dawna opuszczone. Przypomniałem sobie jednak, że byłem jedynym klientem.

Jakiś samochód zatrzymał się za moim. Wysiadł z niego Omar, niby portier, który kilka dni temu przyjął mnie w hotelu. Przywitał się uprzejmie, potem spytał, co ja tu robię. Odrzekłem, że przyjechałem, aby spotkać się z Magiem. Spojrzał na mnie z nieudawanym zdziwieniem. Powiedział, że on nigdy tutaj się nie pojawia. Zaoponowałem mówiąc, że właśnie tutaj się z nim widziałem. Wykrzyknął, że to był przypadek i że hotel teraz jest pusty, gdyż wkrótce rozpocznie się remont. Upierałem się, że muszę koniecznie zobaczyć się z Magiem. Popatrzył na mnie z przykrością w oczach, jak gdybym go czymś obraził. Poradził, abym udał się do „Intercontinentalu” w Ammanie, tam może go zastanę.

Bardzo mnie to zdziwiło, ale nie pytałem już o wyjaśnienia.

Poszedłem do jaskini, gdzie widziałem szkielety. Nie było tam żywej duszy. Wróciłem do Land Rovera i już bez żadnych myśli w głowie skierowałem się do Ammanu. Przejechałem przez nowe i bogate dzielnice na wzgórzach, potem przed kilkoma olbrzymimi luksusowymi hotelami, dopiero co otwartymi i zbyt amerykańskimi. Wreszcie znalazłem się przed „Intercontinentalem”. Leżał w dzielnicy położonej nad starym miastem, przy ulicy prowadzącej w dół do wielkiego meczetu, ośrodka życia religijnego w Ammanie.

Ten hotel zawsze mnie uspokajał. Styl nowoczesny łączył się w nim z tradycyjnymi bliskowschodnimi arabeskami. Personel nie został wymieniony i to również stanowiło pocieszający element. Ci sami portierzy, nieco ociężali i zawsze uprzejmi, ale nie usłużni. Jak widać, sprawy w Jordanii miały się nieco lepiej niż w ościennych państwach. Tylko jeden zamach w ostatnich latach. Turystyka rozwijała się, a Kuzyni

od Ściany podpisali wielorakie umowy z monarchią Haszymidów²¹.

Uświadomiłem sobie, że nie znam nazwiska Maga. A opisywanie go portierom byłoby dosyć ośmieszające. Największy z nich, z porozumiewawczym uśmiechem, wyciągnął mnie z krępującej sytuacji, mówiąc:

- Ojciec Matteo, on już czeka. Zaprowadzę ojca.

Chudy i kulejący lokaj przyjął mnie z wyniosłością. Weszliśmy na korytarz obok wielkiego basenu znajdującego się w samym środku budynku. Nigdy wcześniej nie byłem w tej części hotelu. Szliśmy aż do końca, potem skręciliśmy w prawo. Znalazłem się na swego rodzaju podeście, na który wychodziły cztery drzwi z ciemnego, dopiero co malowanego drewna. Wyczułem to po zapachu. Lokaj otworzył czwarte po lewej, ostatnie. Ręką dał znak, abym wszedł, po czym zamknął je za mną szybko.

Pomieszczenie było ciemne. Czuję się nieswojo. Gdzie ja trafiłem? Na szczęście światło zapaliło się samo. Pokój był stosunkowo duży. Mógł służyć za gabinet. Stało w nim szerokie biurko z fotelem i włączonym komputerem, a naprzeciwko dwie sofy. Ściany, co zobaczyłem chwilę później, tworzyły ekrany. Jednym słowem, wszystko wyglądało jak wielka sala projekcyjna. Zauważyłem też małe, obite skórą drzwi prowadzące najwyraźniej do sąsiedniego pokoju, skąd dobiegały przytłumione głosy. Nie byłem jednak w stanie zrozumieć słów.

Nagle drzwi otworzyły się i stanął w nich Mag. Ledwo się w nich mieścił. Ubrany był w strój biały i lekki, zakrawający na elegancki i optycznie powiększający jego gabaryty. Na głowie miał fez, też biały.

²¹ Haszymidzi - potomkowie Mahometa.

- Miło mi stwierdzić, że ojca przywiązanie do mnie jest na tyle wielkie, że zawiodło go aż tutaj.

Pomyślałem, że zdanie to godne jest komika amatora, który powiedział coś zabawnego, dłużej się nad tym zatrzymuje. Między komikiem a żartem kontakt powinien być błyskawiczny i okazjonalny, jak kontakt pszczoły z kwiatem. Komik powinien powiedzieć dowcip i przejść dalej. Oczywiście nie ma nic złego, jeśli - jak pszczoła podlatująca do kwiatka - chwilę pokrąży wokół. Ja, w przeciwieństwie do większości zawodowych komików, żywiłem uprzejmą akceptację dla dyletantów, odpowiedziałem więc Magowi w tym samym tonie:

- Myślałem, że mój widok sprawi panu przyjemność.

Mag roześmiał się.

- Staralem się dzisiaj wyglądać jak najlepiej. Kiedy już porozmawiamy, możemy razem zjeść obiad. Tutaj, w „Intercontinentalu”, za basenem znajduje się libańska restauracja, całkiem niezła.

- Wspaniale.

- A właśnie, mam nadzieję, że klimatyzacja nie przeszkadza ojcu. Dzięki niej lepiej znoszę upały.

Poprosiłem, aby trochę zmniejszył nawiew.

- Oczywiście.

Mag nacisnął chyba jakiś guzik, bo za chwilę do sali wszedł bez pukania i kłaniając się co najmniej ze dwa razy młody mężczyzna, o zadbanym wąsikach i z marsową miną. Miał na sobie szary, nieco wymięty garnitur.

Wówczas dopiero zauważyłem bukiet róż na stoliku między sofami, który zdradzał kobiecą dłoń.

Na biurku leżały rozrzucone papiery.

- Ahmed - polecił Mag - zabierz stąd wszystko i zacznij przepisywać. Podpiszę przed obiadem. Dopóki cię nie za-

wołam, nie chcę, aby mi przeszkadzano. I zmniejsz trochę zimne powietrze.

Ahmed, który najwyraźniej był jego sekretarzem, zebrał papiery i wyszedł, znowu się kłaniając. Mag zwrócił się do mnie w sposób, który w założeniu miał wyrażać życzliwość.

- Czy dobrą miał ojciec podróż z Jerozolimy?

- Tak, dziękuję - odpowiedziałem, coraz bardziej zaintrygowany miłym przyjęciem.

- Co ojciec myśli o tym wszystkim? - zapytał, obracając się z wyraźną zwinnością i tocząc wzrokiem naokoło. - Całkiem nieźle, prawda? Uważam, że należy zrobić wszystko, co w naszej mocy, aby ulepszyć sobie życie.

Roześmiał się tak, że prawie się zakrztusił. Na biurku stała karafka z wodą, podałem mu ją. Pił długo.

- Oczywiście mówienie franciszkaninowi o luksusie jest śmieszne!

Znowu się roześmiał. A potem przyjrzał mi się uważnie i z zaciekawieniem. Sprawiał wrażenie, jakby badał mój mózg, kompletnie go wcześniej obnażywszy. Kiedy zaczął mówić, nie czynił tajemnicy z faktu, że większość swoich bliźnich uznaje za głupców albo drani. Była to jedna z trudności, z jakimi musiał się mierzyć w swoim zawodzie. Wołał jednak drani, gdyż wiedział wtedy, z kim ma do czynienia, i mógł się odpowiednio przygotować.

Był kiedyś żołnierzem, większość kariery spędził w ambasadzie swojego kraju w Waszyngtonie.

Po wybuchu wojny Jom Kippur został wezwany do ojczyzny i przesunięty do służby wywiadowczej. Dobre zachowanie, a także niewyczerpana energia, dar organizacji oraz brak skrupułów, wielka odwaga i umiejętności podejmowania decyzji przyczyniły się do jego kariery. Miał jednak słaby punkt: w dotychczasowym życiu nie obracał się pośród osób,

zwłaszcza przeciwnej płci, o wysokim statusie społecznym; jedynymi kobietami, jakie poznał, były żony kolegów albo urzędników rządowych. Po powrocie do ojczyzny, na początku wojny, nowa praca zetknęła go z nieprzeciętnymi, pięknymi i subtelnymi damami. Początkowo był nimi oczarowany i speszony. Potem, często przebywając w ich towarzystwie, stał się szarmanckim mężczyzną. Do teraz niektóre przesyłały mu czerwone róże. Z zadowoleniem na twarzy wskazał na wazon.

Byłem zaskoczony. Uśmiechnął się szeroko, a jego tłuste policzki zafalowały.

- Obawiam się, że ojciec padł ofiarą poważnej... wielkiej - poprawił się - pomyłki. Ale to, rzecz jasna, nie ojca wina.

Po raz kolejny zaśmiał się.

- Znajdowałem się w Betanii - kontynuował - jak ojciec ją zwie, gdyż otrzymałem informację, że w jaskini będącej własnością rządową, a nie moją, proszę pamiętać, znaleziono szkielety. Ojciec zastał mnie w towarzystwie rodziny hotelowego portiera.

- Ale - zaoponowałem - ten człowiek powiedział, że to pan jest właścicielem.

Mag wzruszył ramionami

- W wojsku był moim ordynansem. Dzisiaj mam stopień generała. Nazwano mnie Magiem ze względu na umiejętność sztuczki w grze w karty. On dalej tak o mnie mówi. W każdym razie dla ojca, a zapewniam, że to moje prawdziwe imię, jestem Omar Al-Baka, wicedyrektor służb specjalnych króla Abdullaha. Jednym słowem, równy stopniem wobec ojca przyjaciela, Grubera. Nie - sprostował - nie równy stopniem, wyższy, gdyż Gruber nie jest generałem. Wie ojciec, czasami czuję się lekko zmęczony sobą, a wtedy jadę nad Morze

Martwe. I pozwalam, aby ta magiczna woda pieściła mój brzuch. Leżenie na wodzie to prawdziwa przyjemność. Choć nie zdarza się to tylko mnie. Nagle stał się chłodny i poważny:

- Czy ojciec kiedyś słyszał o Alim Kaddumim?

Zaprzeczyłem.

- Był Jordańczykiem, jak ja. Pracował w Ammanie. Całkiem niezły adwokat spraw cywilnych. Zainteresował się polityką i ogłosił siebie zagorzałym wrogiem prezydenta Stanów Zjednoczonych. Prawdopodobnie pozostaje pod opieką Al Kaidy. W pewnym bowiem momencie zniknął. Jak niektórzy twierdzą, uciekł do Afganistanu. Jest odpowiedzialny za zamach w Ammanie na amerykańską ambasadę, na szczęście bez ofiar. Był w Bagdadzie, potem zlokalizowaliśmy go w Genewie, gdzie działał w operacjach antyamerykańskich: manifestacje, nie bomby. W końcu pojawił się w Jerozolimie. Najwyraźniej miał z kimś powiązania. Może międzynarodowa siatka terrorystyczna. Osobiście w to wątpię. Inaczej trudno byłoby wyjaśnić pewne ostatnie wydarzenia. Wiem, że ojciec spotkał się z Nuncjuszem waszego Watykanu i z Gruberem. Nie wiem, o czym rozmawialiście, ale w naszym środowisku wieść niesie, że ma do czegoś dojść. Do jakiegoś odkrycia archeologicznego. Co ojciec może mi o tym powiedzieć? W ramach przyjaźni, naturalnie.

Spytałem, od kiedy to jesteśmy przyjaciółmi. Odpowiedział z naturalnością, że chociaż o tym nie wiedział, od lat, gdyż podziwiał moją pracę. Teraz, kiedy mnie osobiście poznał, urzekła go moja osoba i miał nadzieję, że ja podzieliłam jego uczucia. Zakończył:

- Ojciec Matteo, czy zastanawiał się ojciec, czym jest niesprawiedliwość? Ja tak, a kiedy jeszcze bardziej się zaprzyjaźnimy, podaruję ojcu odpowiedź.

Otworzył szufladę w biurku i wyciągnął zdjęcie. Podał mi je.

- To jest Ali Kaddumi, ojciec Matteo. Ojciec zna go pod innym nazwiskiem, Jones. Powinien mi ojciec wyjaśnić, jeśli oczywiście tego chce, kilka rzeczy, których nie rozumiem. Co na przykład robił w ojca pokoju w Konwencie Biczowania? I dlaczego jeden z ojca braci go zabił?

- Nie wiem - odpowiedziałem. I dodałem:

- Czy to Gruber dostarczył panu tych informacji?

Mag rozłożył ręce i wzniosł oczy do nieba:

- Jesteśmy dobrymi sąsiadami. Nie wiedział ojciec?

Uroczystość Margot i pewne niespodzianki

W drodze powrotnej do Jerozolimy zastanawiałem się nad tym, że Mag nie wspomniał słowem ani o szkieletach, ani tym bardziej o obroży, którą mi dał. Niepokoiło mnie to. A poza tym list Vidigala bardzo mnie zaintrygował. Nie umiałem jednak dostrzec jakiegoś tajemniczego znaczenia obroży, dlatego zrozumiałem, że zainteresowanie Maga skupiło się na czymś bardziej realnym i widzialnym. Śmierć tego człowieka o wielu imionach, o którym każdy mógł coś powiedzieć, nabrała niepokojącej wymowy. Zwłaszcza dla Kustodii, ze względu na oskarżenie o morderstwo wysunięte przeciwko bratu Benjaminowi.

Miałem mętlik w głowie, wszystko coraz bardziej się komplikowało, między innymi dlatego, że choroba odbierała mi jasność umysłu. Przy innych okazjach byłem uważniejszy i dostrzegałem w słowach moich rozmówców różne niuanse. Teraz natomiast moją przenikliwość osnuła mgła. Dwuznaczności Nuncjusza, tragedia Benjamina, niejasne cele Szejka, sztuczki Maga, podejrzenia Grubera mieszały się ze sobą, a wynik tego był dla mnie całkowicie niezrozumiały.

Czy coś ich wszystkich łączyło? Tylko w jaki sposób? A jeśli Benjamin znalazł się w środku jakiegoś spisku? Ale przeciwko komu? Może to ja byłem celem. Albo lepiej, Ku-

stodia. A może moje wykopaliska. Może ja odkryłem coś, co miało pozostać w tajemnicy? Tylko kiedy?

Prawdopodobnie odpowiedzią na wszystko był ów Jones, Kaddumi, czy jak się zwał. Przypuściłem, że zanim poznane zostanie jego prawdziwe nazwisko, w paradę wejdą kolejne dwa fałszywe. To on budził zainteresowanie małodusznych tropicieli. Uśmiechnąłem się do siebie. Określenie to wydało mi się całkiem odpowiednie. Chyba odzyskiwałem mój krytyczny zmysł. Skoro moja głowa już lepiej pracowała, to może i ręce zdrowiały. Albo na odwrót. W obydwu przypadkach wynik byłby pozytywny.

W lepszym już nastroju pojechałem do Tel Awiwu, gdzie paryski wydawca Margot zorganizował przyjęcie z okazji równoczesnego opublikowania książki w języku hebrajskim i arabskim. Uroczystość odbywała się w luksusowym domu pewnej starej przyjaciółki, hrabiny de Selle, która kilka miesięcy w roku spędzała w tym mieście. To ona poinformowała mnie, że w księgarniach w Paryżu ten mały tomik stał się przedmiotem kultu. Poemat odniósł prawdziwy sukces. A poza tym fakt, że autorka była za życia żoną muzułmańskiego policjanta, wywołał wielki rozgłos. Mówiono o tym we wszystkich wiadomościach, co przyczyniło się do wzmożenia sprzedaży. Hrabina była oczarowana wersami Margot. Wyjaśniła mi, że każda kobieta w jej wieku może odnaleźć w nich siebie. Przedstawiła mi amerykańskiego wydawcę, który kupił prawa i miał na jesieni zorganizować wielką prezentację w Nowym Jorku. Po czym opuściła mnie, aby zająć się innymi zaproszonymi, rzuciwszy jeszcze na odchodnym zatroskane spojrzenie na moje białe rękawiczki. Jak przystało na kobietę o tak wielkiej klasie, wyświadczyła mi uprzejmość i o nic nie pytała.

Poszukałem Muhammada. Znalazłem go na tarasie wspa-
niałego apartamentu, który od zawsze podziwiałem. Hrabina
de Selle była bardzo bogata, poświęcała się akcjom charyta-
tywnym. Utrzymywała dobre stosunki z Kuzynami od Ściany
i Przyjaciółmi ze Skały. Była piękną i sympatyczną kobietą.

Muhammad patrzył na morze, sącząc szampana z lampki.
Zdradził mi, że przyjęcie go oszołomiło. Tylu nieznanych mu
ludzi, niektórzy z zaproszonych wyglądali przyzwoicie, tak
się wyraził, kilka pań było nawet stosunkowo dobrze ubra-
nych, ale generalnie obecni mężczyźni wywarli na nim jak
najgorsze wrażenie. Nienaturalni, a poza tym większość z
nich pachniała.

- Rozumiesz, Matteo? Widziałeś, jak gestykują? Prze-
sadnie.

Kiedy to mówił, zdał sobie sprawę, że ja miałem całkiem
odmienny problem. Zmienił temat.

- Wiesz, jak ta jakaś hrabina, której w życiu na oczy nie
widziałem, przedstawiała mnie wszystkim? Jako swojego
wielkiego przyjaciela, komendanta Muhammada, nie pre-
cyzując, czym dowodzę.

- To dobrze - zauważyłem. - Dodała ci powagi.
- Owszem, gdyby nie dodawała, że byłem mężem Margot.
- Nie mogła przecież tego nie wyjaśnić.

Problem w tym, odpowiedział, że od razu dostrzegął u in-
nych współczucie. Kobiety natomiast uśmiechały się do nie-
go. Hrabina zaś powiedziała: „Ależ pan musi być dumny ze
swojej żony! Czy poemat nie wydaje się panu cudowny?
Przeczytałam go jednym tchem, nie mogłam przerwać, a kie-
dy skończyłam, zaczęłam od początku i po raz kolejny cały
przeczytałam. Byłam cała podekscytowana”.

Podszedł do nas francuski wydawca.

- Od dwudziestu lat we Francji - stwierdził - żaden tom poezji nie cieszył się tak wielką popularnością. I od dawna nie było tak przekonujących recenzji.

Chwilę potem przyłączył się wydawca amerykański, który wykrzyknął:

- To wspaniała książka! W Nowym Jorku zrobi furorę. Proszę poczekać, a zobaczą panowie.

Muhammad odciągnął mnie na bok i powiedział cicho, że traktują go, jak gdyby on był autorem, a to w ogóle mu się nie podobało. Taras, na którym liczył na odrobinę spokoju, znalazł się w centrum uwagi. W miarę jak przychodzili kolejni goście, natychmiast przyprowadzano ich do nas i przedstawiano. Muhammad z uprzejmym uśmiechem wysłuchiwał komplementów i dziękował. Po początkowym zażenowaniu teraz wyglądał na człowieka, który doskonale czuje się w swojej roli, chociaż dobrze wiedziałem, że całą imprezę uznaje za idiotyzm.

- Cóż, jedno jest pewne - stwierdził - wszyscy widzą, jaką damą była Margot, a to najlepsze, co można powiedzieć o kobiecie.

Muhammad dużo wypił. W pewnym momencie znowu poczuł się nieswój. Zdradził mi, że niektóre przedstawiane mu osoby rzucały w jego stronę dziwne spojrzenia, których znaczenia nie potrafił odcyfrować; poza tym przechodząc obok pary gości, którzy przystanęli na tarasie, odniósł wrażenie, że rozmawiają o nim, a kiedy odchodził, był niemal pewien, że słyszy ich cichy śmiech.

Gdy przyjęcie dobiegło końca, Muhammad odetchnął z ulgą. Do Jerozolimy wróciliśmy moim samochodem. Muhammad przewidział to, więc do Tel Awiwu kazał się zawieźć swojemu podwładnemu.

Powiedziałem mu, że bardzo dobrze zachował się na przyjęciu, i dodałem:

- Lepiej będzie, jeśli wbijesz do tego zakutego łba, że Margot miała o wiele więcej zalet, niż ty raczyłeś dostrzec.

- Choroba, mówisz, jak gdybym to ja był wszystkim winien - odparł.

- Wcale nie uważam, że jesteś winien, ale nie sądzę też, aby winna była Margot. Nie przypuszczam, że chciała zakochać się w tym młodzieńcu. Pamiętasz ostatnie wersy? „Poznaliśmy inne dni”. Odniosłem wrażenie, że chociaż śmierć kochanka strasznie ją dotknęła, była w pewnym stopniu zadowolona. Nigdy nie zapomniała o kruchości ich związku. Chłopiec umarł w chwili, gdy przeżywał swoją pierwszą miłość, nie wiedząc na swoje szczęście, że miłość rzadko stawia opór upływowi czasu. Cieszył się tylko jej rozkoszą i pięknem. Ulgę w bólu przynosiła Margot świadomość, że przynajmniej jemu oszczędzone zostały wszelkie cierpienia.

Muhammad stwierdził, że moje rozumowanie jest zawile, ale że rozumie, co mam na myśli.

- Czy zdajesz sobie sprawę, jak wielką odwagą wykazała się Margot, nie zdradzając się nigdy ze swoim nieszczęściem i cierpieniem? - spytałem cicho.

Muhammad westchnął ciężko:

- Jestem zdruzgotany. Ale chyba masz rację. Na nic zda się rozpacz, która tylko pogorszy sprawy.

- Co zatem zrobisz?

- Nic. Posłucham twojej rady. Niech wszyscy idą do diabła, mogą mnie uważać za kretyna. Jednej rzeczy nie jestem w stanie zrozumieć: na miłość Boską, co on takiego w niej widział?!

Odpowiedziałem, że tego właśnie nie wiem.

Muhammad zmienił głos:

- A właśnie. Wyświadczyłem ci przysługę. Sobie zresztą też, w pewnym sensie. Zaraz zrozumiesz.

Kiedy do mnie mówił, ja myślałem o rabinie i o Vidigalu. Vidigal powiedział mi, że wpadł na zabawny pomysł. Może chodziło mu o spotkanie z rabinem. Ale nie pamiętałem, czy powiedział mi to przed, czy po tym, jak się z nim widział. Doszedłem do wniosku, że stary już jestem, skoro nie potrafię przypomnieć sobie najświeższych wydarzeń. Z roz-targnieniem podziękowałem Muhammadowi za przysługę. Przyjechaliśmy pod jego dom. Pożegnaliśmy się. Wyglądał na zadowolonego.

Wróciłem do Kustodii. Zanurzywszy ręce w ciepłej wodzie i stwierdziwszy, że ich kolor jest ciągle taki sam, ból również, poszedłem spać. Miałem jednak wrażenie, jakby uczucie ciepła nieco zelżało.

Następnego ranka o wczesnej porze zszedłem do kaplicy na modlitwę i na mszę. Ręce ciągle mnie bolały, a ich szara barwa nie dodawała bynajmniej otuchy. Pomyślałem, że przecież nie mogły wyzdrowieć w ciągu jednej nocy, chociaż należałem do świata i do religii, która wierzyła w cuda, co więcej, z cudów już w czasach Jezusa uczyniła jeden ze swoich filarów.

Ogarnął mnie bunt przeciwko kroplówkom, doktorowi Le-ibowitzowi i siostrze Matildzie. To wszystko na nic, stracę dłonie. Miałem dość oglądania co dzień rano ich szarej barwy, brudnej, wstrętnej i okropnej. I tej ich miękkości rozkładającego się ciała. Strasznie tęskniłem za Nebo, za moją górą, za Sanktuarium Mojżesza, za pielgrzymami, którzy przybywali, by oddać cześć przy grobie, którego faktycznie tam nie było. Chciałem posłuchać skarg Garbo, mojej złotej rączki i zarządcy, jak sam siebie nazywał, które rozbrzmiewały za każdym

razem, gdy tylko tam się pojawiłem. Wsiadłem więc do Land Rovera i ruszyłem na moją ukochaną górę. Dotarłem w krótkim czasie, pomimo iż ból przeszywał każdy nerw od palców aż po ramiona.

Kiedy parkowałem pod małym klasztorem, otworzywszy wcześniej bramę uniemożliwiającą zwiedzającym zostawianie samochodów zbyt blisko mozaik i bazyliki, Garbo wyszedł naprzeciw, jak zwykle naburmuszony, aby poinformować mnie, że liczba codziennie odwiedzających nas pielgrzymów wzrosła zastraszająco. Wszędzie rzucali papierki, puszki po coca-coli i inne rzeczy, jakich ze względu na wstydlivość wolał nie wymieniać. Poprosiłem, aby zachował cierpliwość. Wzruszył tylko ramionami i odparł, że on żyje cierpliwością, od kiedy mnie spotkał.

Spałem kilka godzin, nie mając żadnych snów. Kolacja, którą Garbo przygotował, była lepsza niż kiedykolwiek indziej. Ryż z różnymi dodatkami, po syryjsku, jak go nazywałem, gdyż Garbo pochodził z Aleppo, oraz pieczona baranina. Garbo po raz enty przypomniał mi, że nie ma czegoś takiego jak ryż po syryjsku. A kiedy to mówił, jego wzrok z czułością spoczął na moich dłoniach. A właściwie na rękawiczkach. Podążyłem za nim i zobaczyłem, że nie zdając sobie nawet sprawy, prawą ręką zgiąłem łyżeczkę w pół. Natychmiast ją wyprostowałem, po czym zerwałem się od stołu. Straciłem cały apetyt.

Kuchennym korytarzem wyszedłem do ogrodu. W części od strony doliny Jordanu znajdował się mały taras z czterema krzesłami. W pogodne wieczory widać było stąd światła Jerozolimy, Betlejem, Jerycha oraz te w dolinie rzeki.

Słońce niedawno zaszło. Ze wzgórz wokół Nebo docierała przyjemna bryza, przynosząc ze sobą zapach beduińskiej kawy. Dłonie oparłem o jeszcze ciepłe cegły murku, twarz

pieścił lekki wietrzyk. W ogrodzie za moimi plecami rozbrzmiewało rechotanie żaby. Od strony Morza Martwego, najgłębszej i najcieplejszej depresji świata, dobiegał przytłumiony i ledwo słyszalny plusk fal. Na izraelskim wybrzeżu jakieś ruchome światło to zapalało się, to gasło. Może był to samochód policji granicznej.

W pewnej chwili do moich uszu doszedł chrzęst żwiru. Ktoś zbliżał się powolnym krokiem. W myślach błagałem, aby natręt skręcił w prawo, w przeciwną stronę. Chwila ciszy, wahania, potem szelest, i oto głowa i plecy mężczyzny zarysowały się wyraźnie na ciemnym błękitnie nieba. To był Garbo.

Widziałem, jak patrzy niepewnie w moją stronę. Potem i on oparł się o murek i wpatrzył w światła Betlejem i Jerozolimy. W pierwszym odruchu chciałem odejść. Nie miałem nastroju na rozmowę. Staliśmy w milczeniu przez około dziesięć minut. Gdy już prawie zapomniałem o jego obecności, Garbo odchrząknął i stwierdził, że to naprawdę wspaniały wieczór. Przytaknąłem. Znowu zapadła cisza.

- Trochę chłodno, jak na tę porę roku - powiedział jeszcze i dodał:

- Tak mi się przynajmniej wydaje.

Ciekawe, czy naprawdę tak długo się nad tym zastanawiał i doszedł do wniosku, że to chłodny wieczór, czy też komentarz był czysto grzecznościowy. W każdym razie ja z grzeczności zgodziłem się z nim.

- Matteo, długo tu zostaniesz?

- Nie wiem.

Ten minidialog podbudował mnie. Pomyślałem, po raz któryś, że nasze paskudne charaktery stworzone są, aby się ze sobą zgadzać.

Chciałem się przejść. Nie mogłem zejść aż do Morza Martwego po nocy, ale mogłem pozwolić sobie na krótki spacer.

Dobrze znałem drogę, która z Nebo prowadziła do doliny Jordanu, do Ziemi Obiecanej Mojżesza. Była stroma, kręta i asfaltowa.

Szedłem powoli, ręce na wysokości twarzy, aby ochronić ją przed gałęziami wystającymi z jednej i z drugiej strony. Na nogach miałem tenisówki, nie robiłem więc hałasu. Doszedłem niemalże do willi Szejka. Ogarnęła mnie ochota, aby sprawdzić, czy jest, chociaż nie miałem ochoty na spotkanie. Willa tonęła w mroku, światło dochodziło tylko z przeszklonych drzwi gabinetu i stamtąd dotarł też jego głos.

- Spróbuję jeszcze jutro - zwracał się do kogoś - ale obawiam się, że to daremne.

Zapadła chwila milczenia. Potem mówił ktoś inny, ale tak cicho, że nie usłyszałem, co. W odpowiedzi Szejka pobrzmiwała pewna uległość, z którą nigdy wcześniej się nie spotkałem:

- Nic się nie da zrobić. Trzeba czekać.

I znowu cisza, pełna jakiegoś dziwnego pobudzenia.

- Wspaniale - zakończył Szejk - spróbuję jeszcze raz.
Dobranoc.

Druga osoba nie odpowiedziała. W holu rozległy się odgłosy kroków, szybko więc schowałem się w cieniu pod murem. Serce biło mi jak oszalałe. Na progu pojawił się jakiś mężczyzna, przystanął na moment. Przeszedł przez ciemny taras, na który wychodziły drzwi do gabinetu, i w chwili, w której światło padło na jego twarz, dostrzegłem energiczne i cienkie usta, silnie zbudowaną brodę, parę zapadniętych policzków, wysokie czoło i korpulentną sylwetkę: sylwetkę Nuncjusza. Ale to były tylko szczegóły, gdyż odkryłem coś innego, coś, czego nie widziałem od dawna: oczy istoty, która czeka tylko, aż śmierć położy kres jej udrękom.

Wróciłem na Nebo. Garbo położył się już do łóżka. Wszedłem do swojego pokoju. Opuściłem żaluzje i wsunąłem się pod pościel z westchnieniem ulgi. Byłem zmęczony, potwornie zmęczony.

Przez jakiś czas leżałem z zamkniętymi oczami, czekając, aż moje ciało ogarnie sen. Ale zbyt wiele myśli krążyło mi po głowie. Czułem, jakby paliły mnie od środka. Szybko poduszka stała się zbyt ciepła i lepka. Zacząłem przewracać się z boku na bok. Otwierałem i zamykałem oczy.

Nie mogłem jednak uwolnić się od twarzy Nuncjusza. W człowieku tym, w jego wyglądzie było coś przerażającego-

Przeleciał mnie dreszcz. Noc stawała się coraz chłodniejsza. Zatrzasnąłem okno. Kiedy po raz kolejny zamykałem oczy, do mojego serca zakradła się nowa obawa, groźna perspektywa. Czyżby Nuncjuszowi groziło jakieś niebezpieczeństwo? Odrzuciłem kołdrę i usiadłem. Potem wstałem i poszedłem do łazienki. Zlałem twarz zimną wodą. Wróciłem do pokoju, otworzyłem żaluzje i popatrzyłem na drzewa oświetlone przez księżyc. Musiałem na spokojnie przeanalizować wszystkie fakty. Wpatrywałem się w niebo. Świtało, kiedy wreszcie położyłem się do łóżka. Byłem cały zeszywniały z zimna, ale za to spokojniejszy. Nagle w myślach rozbiły się jakieś wspomnienie. To było coś, co Szejek powiedział, ale nie potrafiłem dokładnie przypomnieć sobie jego słów. Zasnąłem.

Obudziłem się z bólem głowy. Zapomniałem zasunąć żaluzje, a poranne słońce, które wpadało przez szyby, było już bardzo gorące. Nadchodził męczący dzień. Miałem dużo do zrobienia. Musiałem najszybciej, jak to możliwe, zobaczyć się z Szejkiem i wprowadzić w życie pewien plan. Skoro obmyślałem kolejne kroki, oznaczało to, że czuję się lepiej. Je-

dząc w kuchni chleb i popijając kawą, sam sobie gratulowałem. Garbo zauważył, że jestem spokojniejszy i uśmiechnął się do mnie. Problem stanowił jednak plan, którego jeszcze nie znałem.

Skarb Szejka

Dzień spędziłem na czyszczeniu kilku kawałków mozaiki, którą niedawno odkryłem w Madabie. Garbo przygotował na kolację wspaniałą duszoną baraninę, mocno przyprawioną, tak jak lubię. Długo rozmawialiśmy, jak to bywa między starymi przyjaciółmi, o przeszłości i o wydarzeniach, do jakich doszło na Nebo. Na początku lat dziewięćdziesiątych na przykład pielgrzymom przybywającym do klasztoru Garbo przygotowywał kolosalne porcje makaronu. Gościnność franciszkańska przekształciła się w zwyczaj, Garbo więc musiał nabyć za pieniądze z kwesty ogromne gary i chochle.

Klasztor, jak nazywali go bracia, aby odróżnić Nebo od pozostałych wielkich klasztorów na Ziemi Świętej, takich jak konwent Najświętszego Zbawiciela czy Flagelacja, zatracił w ten sposób swoją cechę miejsca skupienia i modlitwy, stając się jadłodajnią. Z tego względu postanowiliśmy zainstalować elektronicznie otwieraną bramę, kierowaną przyciskiem znajdującym się w kuchni, gdzie umieściliśmy również mały ekran, pozwalający przyjrzeć się odwiedzającemu. To przysporzyło nam sporo krytyk ze strony złych języków w Watykanie, które przecież nie wiedziały, jak faktycznie sprawy się mają. Brama jednak pozostała, Garbo odzyskał spokój, a klasztor świętość. Znowu stał się miejscem nauki i modlitwy, a nie spożywania posiłków.

Po kolacji przenieśliśmy się na taras. Pozwoliłem sobie na kieliszek chmielowej whisky, dar młodego Massoliniego, z którego ojcem stworzyliśmy wspólnie kalendarze poświęcone państwom afrykańskim i bliskowschodnim, bogatym z archeologicznego punktu widzenia. Kalendarze te, ku mojej radości, stały się przedmiotem niezwykle pożądanym, a nawet kolekcjonowanym. Ziemia Święta, Sudan, Egipt, Syria, Irak, Libia, Jemen: za pomocą zdjęć przybliżyłem miejsca, które łączyła nie tylko pustynia, ale także kultura i historia.

Garbo opowiadał mi właśnie o swoich dzieciach i o konieczności kupienia domu najstarszemu z nich, który za kilka dni miał się ożenić, kiedy zadzwonił dzwonek. Dwa silne sygnały, pobudzone ręką kogoś, kto dobrze znał miejsce i był tu już wielokrotnie. Bardziej zaintrygowany niż zatroskany poprosiłem Garbo, wyraźnie mającego zamiar zignorować natręta ze względu na późną porę - była już dziesiąta wieczór - aby sprawdził, kto to jest i ewentualnie wpuścił go. Aby zmiekczyć jego opór, zawałęm:

- To przecież franciszkański klasztor!

Garbo wstał, zrobił minę nieobiecującą niczego dobrego i ruszył w stronę kuchni. Po niecałej minucie wrócił i kręcąc głową dał mi do zrozumienia, że on mnie posłuchał, chociaż w ogóle nie zgadza się z moją decyzją. Po czym ogłosił z niechęcią:

- To Szejek. Mówi, że został bez whisky, przyszedł więc wypić kieliszek z nami.

Owo „z nami” podkreślił nagłym kaszlem. I dodał:

- Moim zdaniem kłamie.

Nic nie opowiedziałem. Po chwili usłyszałem szuranie butami po żwirze. Szejek podszedł, zajął miejsce, gdzie wcześniej siedział Garbo, który w nieco ostentacyjny sposób wręczył

mu pełną butelkę niezbyt markowej whisky, tłumacząc się, że ma coś do zrobienia w kuchni.

- Dziękuję! - wykrzyknął Szejk.

Kieliszek, który również podał mu Garbo, wypełnił po brzeg. Wypił i powiedział:

- Matteo, pomińmy grę wstępną. Ty przyszedłeś do mojego domu szpiegować i ukryłeś się. Ja natomiast, jak widzisz, pojawiając się bez podchodów. Nie chcę o tym dyskutować. Każdy ma swoje metody.

Moje spojrzenie było tak wymowne, że od razu dodał, iż żartuje. I stwierdził, że przyszedł w poważnej sprawie. Musiał jednak wyjść od pozornie niezwiązanych kwestii, jeśli oczywiście miałem cierpliwość, aby go wysłuchać. Skinąłem głową na znak, że mam. Mówił natchnionym głosem o ludzkim życiu. Istnieją sytuacje, w których człowiek, przekonany, iż jest panem własnego losu, znajduje się w rzeczywistości na łasce i niełasce okoliczności wymykających się spod jego kontroli. To często bywało podstawą stworzenia tak dobrych dramatów, jak *Edyp*, *Hamlet* czy *Dom lalek*. Ale kiedy tym człowiekiem stajesz się ty i analizujesz przebyte sytuacje, musisz odczuwać niepokój, jeśli zbyt beztrąsko podszedłeś do roli, która tobie przypadła.

Szejk mówił, a ja w tym czasie doszedłem do wniosku - i wcale nie po to, by przyznać mu rację - że dałem się wciągnąć we wszystkie wydarzenia, tkwiąc w przekonaniu, że moje oczy są szeroko otwarte, podczas gdy w rzeczywistości były zamknięte, a właściwie mocno zaciśnięte. Podświadomie, to jasne, ale najbardziej denerwujący był fakt, że tak późno się zorientowałem. Zawsze, w różnych przygodach, zachowywałem trzeźwość i rozsądek w analizowaniu faktów i nigdy nie byłem tak biernym uczestnikiem dramatu jak teraz, w tej ostatniej i złożonej sytuacji.

Nie byłem przecież zwyczajnym człowiekiem, lecz kapłanem, pasterzem dusz. A niczego nie wiedziałem o Benjaminie i o jego życiu. Ciekawe, ile jeszcze innych rzeczy nie zrozumiałem! Teraz Szejk zaś opowiadał mi ostatnie wydarzenia. W czym krył się podstęp?

- Tak, Matteo, wielu podchodzi do życia, nie wiedząc, co chce od niego otrzymać. Ale Jones nie był taki. On miał dwa cele: pieniądze i władza. Do nich uparcie dążył. Najśmieszniejsze, że mu w tym pomogłem. Przebacz mi, nie powiedziałem ci całej prawdy o nim i o sobie. Po podróży do Jemenu spotkałem go po raz kolejny. W Paryżu. Kilka lat temu byłem współwłaścicielem, razem z człowiekiem o nazwisku Giraud, lokalu na Montparnasse, „Le Kasbah Parisien”; eleganckie i wesołe miejsce, z sofami, bursztynowymi lampami i perskimi dywanami. Kucharz i tancerka brzucha byli Marokańczykami, zaś mała orkiestra latynoamerykańska. Jednym słowem, dla każdego coś miłego.

Amerykanie i Anglicy, ale zwłaszcza Amerykanie mieli pieniądze, aby wydawać je na szampana. Przychodzili też Francuzi, którzy tęsknili za Marokiem, gdyż tam odbyli służbę wojskową. A zapewniam cię, że „Kasbah” to było prawdziwe Maroko. Kelnerzy przybyli z Marakeszu, a szampan z Bordeaux. Był nieco słodkawy, ale smakował Amerykanom, prawie wszystkim z Teksasu. Przez dwa lata zyski były zadowalające. Potem, jak to bywa, klientela zaczęła się zmieniać. Coraz więcej Francuzów i coraz mniej Teksaszczyków. Dochód jeszcze był, ale spadał, musieliśmy coraz więcej dokładać.

Nie wiem, w jaki sposób Jones mnie odnalazł. To on zadzwonił i powiedział, że zmienił profesję. Wyjaśnił, że jeśli ja i mój wspólnik wejdziemy z nim w interesy, zarobimy wiele pieniędzy. Kiedy tamtego wieczora zobaczyłem, jak wchodzi

do „Kasbah”, wywarł na mnie wrażenie. W Sanie miał na sobie sportową odzież, tutaj zaś dobrze skrojony granatowy garnitur, krawat od Hermesa i bardzo zadbane paznokcie i brwi. Bezcelnie obserwował kobiety innych mężczyzn. Zarezerwowaliśmy mu dobry stolik, z tych, które zazwyczaj zostawiamy wolne do ostatniej chwili, na wszelki wypadek, gdyby pojawił się ważny klient. Stał w samym środku sali, ale dosyć daleko od orkiestry i od parkietu. Jones zamówił szampana i kuskus, od razu żaląc się kelnerowi, który go obsługiwał, na smak i ilość kuskusu. Jak tylko się pojawiliśmy, żywo doradził, abyśmy zwolnili kucharza. Potem wskazał mnie i Giraudowi krzesła obok niego i niemalże rozkazał usiąść. Jakbyśmy byli jego sługami, a nie właścicielami lokalu. Giraud posłuchał, ja w pierwszej chwili zdenerwowałem się i chciałem mu to dać do zrozumienia, pozostając w pozycji stojącej. Spytałem, czego od nas chce.

Spojrzał na mnie. Jego oczy były łagodne i ciemne. Potem powiedział: „Chciałbym dostać lepszy szampan, przyjacielu. Czy masz coś przeciwko temu? Stać mnie na niego. Będziesz uprzejmy, czy mam moje propozycje przedstawić bardziej inteligentnym współpracownikom?”.

Matteo, jestem spokojnym człowiekiem. Nie lubię kłótni. Często myślę, o ileż przyjemniejszy byłby nasz świat, gdyby ludzie byli wobec siebie bardziej grzeczni. Ale czasami to bardzo trudne. Dlatego odrzekłem sarkastycznie, że nie mam zamiaru być wobec niego uprzejmy i może od razu poszukać sobie kogoś bardziej odpowiedniego.

On tylko uśmiechnął się, zignorował moje słowa i wyjaśnił swój pomysł. Mówił bardzo przekonująco, dlatego w końcu przystałem na jego propozycję. Pewnego dnia, po kilku miesiącach współpracy...

- Chwileczkę - przerwałem. - Jakiego rodzaju współpracy?

Szejk zawahał się, marszcząc brwi. Potem zmrugał oczyma, zdradzając swoje zażenowanie.

- Jones zajmował się tak zwanym handlem kobietami, które przejmowały później kręgi prostytucji. Jego praca, Matteo, nie podobała mi się. Nie można traktować istot ludzkich jak jakiegoś towaru. Zawsze pojawiają się problemy. A poza tym wydatki handlarza, który działa, by tak rzec, uczciwie, są ogromne. Trzeba zaopatrzyć się w fałszywe akty urodzin, małżeństwa, śmierci, które są drogie, poza tym trzeba opłacić koszty podróży i dawać łapówki. Jednym słowem, potrzeba dużej ilości pieniędzy. W gotówce. Jeśli jesteś znany, zawsze ktoś gotowy jest ci je dostarczyć, ale z dużym oprocentowaniem. Jones, sam nie wiem, jak, zdobywał odpowiednie sumy. I miał też dostęp do kapitału innych. Przynajmniej tak powiedział. W każdym razie nigdy nie brakowało mu pieniędzy. Kiedy przyszedł do mnie i do Girauda, miał inny problem. W wielu państwach ściśle przestrzega się przepisów i czuwa nad porządkiem. Co jest wielce chwalebne. Ale dla ludzi pokroju Jonesa to tylko dokuczliwy kłopot. Oczywiście da się pracować, ale wszystko staje się bardziej skomplikowane i kosztowne.

Jones posługiwał się niezwykle prostą techniką. Otrzymywał, dajmy na to, zlecenie od klienta z Kairu. Jechał więc do Rumunii, zbierał dziewczyny, odwoził je do Francji na ich paszportach, a w Marsylii przesadzał na statek. To wszystko. Wystarczyło powiedzieć, że dziewczyny mają angaż do teatru. Ale kiedy zastrzono przepisy, wszystko przestało być takie proste.

Tego wieczoru, kiedy Jones przyszedł do „Kasbah”, powiedział nam, że zmaga się z pewnym problemem. W Wilnie

zwerbował dwanaście dziewczyn, pseudotncerek, ale miejscowe władze zabroniły wywieźć je z państwa bez wcześniejszej gwarancji co do miejsca i bezpieczeństwa w przyszłym zajęciu.

Oczywiście Jones obiecał, że dostarczy potrzebne dokumenty. Gdyby tego nie zrobił, wzbudziłby fatalne w skutkach podejrzenia. Musiał znaleźć jakieś rozwiązanie. I tutaj na scenę weszliśmy ja i Giraud. Mieliśmy wystawić mu dokument, w którym zapewnilibyśmy, że „Kasbah” zatrudnił dziewczęta jako tancerki, a gdyby konsul polski przeprowadził jakąś kontrolę, udowodnić, że tak jest faktycznie. Dopóki dziewczyny przebywałyby w Paryżu, a Jones zapewnił nas, że nie będzie to trwało dłużej niż trzy tygodnie, mogliśmy spać spokojnie. Potem, kiedy wyjadą do prawdziwego miejsca przeznaczenia, w trakcie ewentualnej kontroli mieliśmy poinformować urzędników, że dziewczętom skończył się okres angażu, więc odeszły. A gdzie, to już nie nasza sprawa.

Oto w jaki sposób Jones wyłuszczył nam cały interes. Za współpracę chciał zapłacić pięć tysięcy dolarów w gotówce i od ręki. To był prosty zarobek, a jednak miałem wątpliwości; dopiero Giraud zdołał mnie przekonać. Ale powiedziałem Jonesowi, że wchodzę w to tylko raz i nie czuję się zobowiązany na przyszłość. Jones coś odmruknął, ale zgodził się na mój warunek.

W następnym miesiącu Jones wrócił i powiedział, że ma inną pracę dla nas. Sprzeciwiłem się. Ale Giraud od razu stwierdził, że skoro za pierwszym razem wszystko poszło gładko, dlaczego mielibyśmy rezygnować? Potrzebowaliśmy pieniędzy. Jones wyjaśnił, że w ten sam sposób mieliśmy „zangażować” kolejnych dwanaście polskich dziewcząt. Tym razem jednak konsul wziął nas na celownik. Była kontrola

i pytania. Najgorsze, że musieliśmy te biedaczki trzymać w „Kasbah”, aby udowodnić, że naprawdę tu pracują. Nie umiały tańczyć i były źle wychowane i chamskie. Na dodatek musieliśmy dobrze je traktować, aby któraś z nich nie poszła na policję i nie opowiedziała całej prawdy. Nic, tylko piły szampana, ale na szczęście Jones zapłacił za wszystkie butelki. W końcu je zabrał i obiecał, że jeśli dalej będziemy robić z nim interesy, następnym razem ściągnie już nie Polki, lecz dziewczyny z innych krajów, łatwiejszych do oszukania. Po kilku starciach przystaliśmy na to i przez wiele miesięcy otrzymywaliśmy dziesięć tysięcy dolarów co cztery, pięć tygodni. W tamtych okresie mieliśmy jedynie sporadyczne wizyty policji, bez żadnych konsekwencji. Potem znowu nastąpiły trudności, tym razem ze strony władz włoskich. Rozwiązaliśmy je, ale pokłóciłem się z Giraudem. Właściwie ujawniła się nasza niekompatybilność. Giraud był podejrzliwy, nieufny, ale przede wszystkim preferował najgorszego rodzaju klientelę. Miał wstrętnych przyjaciół, wszystkich. Kiedy się złościł, zwłaszcza na rauszu, stawał się brutalny i czasami bił po twarzy tego, kto mu się nawinał pod rękę. Nigdy jednak tych, którzy mu byli potrzebni. Ulubionymi ofiarami byli kelnerzy, niereagujący z obawy, że zostaną zwolnieni.

W dniu naszej kłótni wyjaśniłem mu, że powinniśmy dać sobie spokój z przemytem kobiet. Wściekł się, powiedział, że tylko głupcy rezygnują z dziesięciu tysięcy dolarów miesięcznie ze względu na kilku policjantów, a ja, jak na jego gust, jestem zbyt lękliwy. Giraud miał rację. Byłem. Ale - powtórzyłem - chociaż rozumiałem jego punkt widzenia, nie zgadzałem się z nim. I dodałem, że jeśli chce, odsprzedam mu moje udziały w „Kasbah”. Wystarczy, jeśli odda mi to, co zainwestowałem na początku.

Było to poświęcenie, ale miałem go już dość i chciałem się od niego uwolnić. Udało mi się, gdyż Giraud od razu się zgodził. Tego samego wieczora spotkaliśmy się z Jonesem i wyjaśniliśmy sytuację. Giraud był bardzo zadowolony z ugody, bawił się, rzucając pod moim adresem uszczypliwe żarty. Ale kiedy Giraud zostawił nas na chwilę samych, poprosił, abyśmy spotkali się później w „Cafe Florę” na Saint Germain, gdyż musi mi o czymś powiedzieć. Od razu przeszedł do rzeczy. Miał wystarczającą ilość pieniędzy na zakup dziesięciu kilogramów kokainy miesięcznie i sfinansowanie jej dystrybucji w Paryżu. Czy interesowała mnie praca z nim?

Matteo, dziesięć kilo kokainy to poważna sprawa. To bardzo dużo pieniędzy. Spytałem, jak chce ją sprzedać. Odpowiedział, że to jego sprawa. Ode mnie oczekiwał tylko, abym zajął się zakupem za granicą i znalazł sposób na przewiezienie jej do Francji. Jeśli się zgodzę, miałem zacząć od Bułgarii jako jego przedstawiciel i tam kontaktować się z dostawcami, których on już znał, a następnie zorganizować przerzut do Paryża. Zaproponował dziesięć procent wartości za każdy importowany kilogram. Odmówiłem. Źle zareagował. Zaczął krzyżeć, że Giraud to głupiec, a ja tchórz. Od tamtej chwili więcej go nie widziałem. Potem pojawił się w Tel Awiwie. A na koniec spadł z Wieży Dawida.

Spytałem, dlaczego mi to wszystko opowiedział. Odrzekł, że jakaś przyczyna istnieje. Jones odnalazł Girauda. Dlatego przyjechał do Izraela. Chciał go szantażować w zamian za jakąś rzecz.

- Matteo, mnie interesuje właśnie ta rzecz i myślę, że możesz mi w tym pomóc.

Popatrzyłem z konsternacją. A Szejk, który lubował się w spektakularnych zmianach akcji, zakrzyknął teatralnie:

- Och, wybacz mi, Matteo, zapomniałem dodać, że Giraud dzisiaj posiada inne imię i inną profesję. Wiedziałem o tym od początku i od początku, jak to się mówi w żargonie, kryłem go. To twój współbrat i nosi imię Benjamina, i, jak mi się wydaje, wpadł w tarapaty.

Przyjrzałem mu się z niedowierzaniem. Nie wierzyłem w ani jedno słowo. Odparłem:

- Wyjaśnij mi, dlaczego Nuncjusz miał przerażone oczy po rozmowie z tobą.

Szejk odpowiedział zawodowym tonem:

- Widzisz, Matteo, w określonych stanach napięcia bywa, że innym przypisujemy własne emocje i dostrzegamy szczegóły, które istnieją tylko w naszej wyobraźni. Przypuszczam, że przenieśliś na Nuncjusza własne obawy i pomyliłeś jego oczy ze swoimi. Widziałeś bowiem u niego swoje własne oczy, pełne troski o dłonie i cierpienia, jakie dźwigasz na ramionach. Ale to nie były oczy Nuncjusza.

Zrobił przerwę. Skulił ramiona, jak gdyby przeleciał go nagły dreszcz zimna. Wstał z krzesła.

- Dziękuję za whisky, pamiętaj, że wcześniej czy później będziemy musieli podzielić się pewnymi informacjami.

Tym dwuznacznym stwierdzeniem pożegnał się. Kiedy odchodził, zanurzając ciężko stopy w żwirze, jak gdyby chciał pozostawić ślad po swojej wizycie, poczułem się rażonej. Doszedłem do wniosku, że nikomu nie mogę wierzyć. I jedynie w moim umyśle powinienem poszukiwać prawdziwych przyczyn przygody, którą właśnie przeżywałem.

Zostałem na tarasie, aby się nad tym wszystkim zastanowić. Światła Jerozolimy na horyzoncie dotrzymywały mi towarzystwa i dodawały pewności. Lekcja, jakiej Szejk starał mi się udzielić, skierowała moje myśli ku ostatnim chwilom spędzonym z Vidigalem i do słów, które wypowiedział przed

murem. Właściwie słowa te skierowane były do dzieci Przyjaciół ze Skąły, które się koło nas zatrzymały. Jak gdyby przekazywał im pewną naukę, na sposób jednak o wiele czulszy od tego, jaki Szejk stosował wobec mnie.

- Wiecie, naj słynniejszym murem w historii jest Wielki Mur chiński. Zapoczątkował go cesarz Qin Shi Huang. Po siada symboliczne znaczenie. Miał służyć raczej zatrzymaniu Chińczyków niż ochronie przed najazdem wroga. Cesarz Qin był despotą, rozkazał spalić konfucjańskie książki oraz tych, którzy je zgłębiali. Przez wieki Chińczycy uważali jego i mur za symbole tyranii. Ale kiedy w późniejszych czasach Chiny, podobnie jak inne państwa, musiały stworzyć narodowe mity, Wielki Mur stał się czymś, z czego można było być dumnym. Postać Qina natomiast nadal wzbudzała po strach. Widzicie, oficjalną przyczyną budowy muru, który przed nami stoi, a który Izraelczycy nazywają barierą albo ogrodzeniem, jest zagwarantowanie bezpieczeństwa dla ich ludności, uniemożliwiając dostęp Męczennikom Allacha. Wy cierpicie i rozumiem to, ale pamiętajcie zawsze, że nie żyjecie dzień po dniu w strachu, iż wylecieć możecie w powietrze, jadąc autobusem czy siedząc w barze.

Jedno z dzieci podeszło do Vidigala. Było bardzo małe. Wzniosło oczy, aby na niego spojrzeć i zapytało:

- *Abuna*, czy ty chciałbyś mieszkać wewnątrz muru?

Vidigal nie odpowiedział, pogłaskał tylko dziecko po głowie. Chłopczykowi to się nie spodobało:

- No więc, *Abuna*, dlaczego nic nie mówisz?

- Nie, nie chciałem.

Dziecko uściśniło mu rękę z czułością:

- Dziękuję.

Garbo przerwał moje rozmyślenia. Nie słyszałem, jak przyszedł, pojawił się koło mnie i kontynuując niejako roz-

mowę, którą rozpoczęliśmy, chociaż ja nie pamiętam kiedy, stwierdził:

- Matteo, powiększyła się rodzina na Nebo! Na dwóch sosnach rosnących poniżej placu przed bazyliką osiedliły się papugi, które kiedyś były własnością faceta z Madaby, ale on je wypuścił na wolność, moim zdaniem dlatego, że mu przeszkadzały. Przebywają na nich od kilku tygodni. Problem w tym, że śpiewają w chwili, kiedy najmniej się tego spodziewasz. Ubiegłej nocy dały nam spokój, ale nie chciałbym, aby dzisiaj nie pozwoliły ci spać.

Podziękowałem za ostrzeżenie i poszedłem się położyć. Dalej nie rozumiałem, dlaczego Szejka opowiedział mi tę historię. Nie trzymała się kupy. Życie Benjamina było czymś całkiem innym. Nie należało do wymysłów Szejka. Poza tym, w jakim okresie miał miejsce ten kryminalny epizod? Jeśli chciałem choć w minimalnym stopniu dać wiarę słowom Szejka, jedynym wyjaśnieniem było, że nie da się dobrze poznać życia danego człowieka.

Ogarnęło mnie niepohamowane pragnienie, by zostawić wszystko i zamknąć się w jakimś klasztorze na Rodos albo na Cyprze. Te wyspy jednak leżały zbyt blisko. Mogłem też poprosić Generalnego Ministra, aby przeniósł mnie do Najświętszego Klasztoru w Asyżu. Doszedłem do wniosku, że panika przesadnie bierze górę nad rozsądkiem. Nigdy nie byłem w takim stanie ducha. Oczywiście stan psychiczny pogarszały znacząco moje dłonie. A fakt, że nie było z nimi ani lepiej, ani gorzej, dodatkowo mnie martwił. Przede wszystkim jednak niszczył wolę walki.

Związany bólem z Benjaminem

Tamtej nocy na Nebo nie zmrużyłem oka. Ból w rękach promieniował aż na klatkę piersiową, a przynajmniej tak mi się wydawało. Nie rozumiałem, czy to tylko wrażenie, czy coś rzeczywistego. Ale jeśli cierpienie brało się z umysłu, a nie z ciała, nic nie znaczyło. W każdym razie wynik był równie niszczący.

Martwił mnie fakt, że nie potrafiłem już odróżnić choroby realnej od wyimaginowanej. Cierpiała na tym moja psychiczna równowaga i naukowa zdolność odczytywania rzeczywistości. Kryzys przeżywał mój stosunek do wiary. A słowo to, które nigdy, aż do teraz, nie pojawiło się w moim życiu, świadczyło o kruchości charakteru, czego nigdy nie brałem pod uwagę.

Głos papug wyrwał mnie z zamyślenia. Był smutny, prawie rozpaczliwy. Nie miały już domu i w ten sposób informowały o swoim niepokoju. Pomyślałem, że pasuje to do mojego położenia. Dziwiło mnie jednak, że śpiewają o takiej porze, bądź co bądź była to noc. Wtedy spostrzegłem, że świta, a ja przez zbyt wiele godzin torturowałem moje sumienie. Kiedyś w takiej sytuacji poszedłbym do Vidigala i porozmawiałbym z nim. Niestety, ja byłem chory, a Vidigal nie żył.

Wyruszyłem w drogę powrotną do Jerozolimy po porannej kawie z Garbo. Uścisnął mnie w milczeniu. Potem

powiedział, abym się trzymał. W jego głosie brzmiała prawdziwa czułość. Na Moście Allenby nie było kolejki, a na drodze pnącej się do Jerozolimy ruch był niewielki. Od razu skierowałem się w stronę Saint Louis. W holu spotkałem doktora Leibowitza, który właśnie wychodził. Prawdopodobnie chciał mnie skarcić za nieobecność, ale kiedy zobaczył wyraz mojej twarzy, pokręcił tylko głową z zatroskaniem i dezaprobatą. Wyszczał, że siostra Matilda czeka na mnie, i dodał, wyraźnie akcentując każdą sylabę:

- Jak zwykle.

Kiedy igła wykonywała swoją powinność w moich żyłach, zwierzyłem się siostrze Matildzie z ostatniej nocy. Zaskoczyła mnie, pytając o papugi. Opowiedziałem, co o nich wiem. Czyli niewiele. Potem dodałem, że wracanie do Saint Louis z świadomością, że nie ma tu już Vidigala, budzi we mnie trwogę. Zgodziła się ze mną. Ale zauważyła, że mimo wszystko powinienem się leczyć i nie opuszczać zabiegów. Vidigal - mówiłem dalej - wyjaśnił mi, że ból nie może być pozbawiony nadziei i że muszę dołożyć wszelkich starań, aby widzieć ją przed sobą i w sobie. A wiara w Boga doda mi otuchy, aby podążać dalej i szukać prawdy. Albo przynajmniej jakiejś jej części. Powtórzył kilka razy, że nie wolno mi bać się nikogo i niczego i że odnajdę wyjście z własnych problemów. Potem przekazał kilka przesłań. W pierwszym rządzie mam cieszyć się przygodą. Wyjaśnił, że celem życia jest rozwijanie siebie. A to dla zakonnika ma szczególne znaczenie. Jest sposobem, aby zmienić własną duszę. Często jednak dusza pozostaje na głodzie. On doszedł do przekonania, że jeśli człowiek w pełni będzie przeżywał swoją przygodę, wypływać z niej będzie tak świeży impuls radości, że oddali wszelki ból, nawet ból starości, oraz rzecz jasna choroby, która mnie niewoli.

Doradził, abym nie tłumił tych impulsów, gdyż w przeciwnym razie krążyć będą w moim ciele jak trucizna i przemienia się w gwałtowne fale żalu. Powiniennem natomiast ustępować całkiem usprawiedliwionym pokusom, ponieważ jeśli stawię im opór, rozchoruję się na to, co zostało mi zakazane. Jeśli zaś naprawdę przeżywać będę moją przygodę, odnajdę szczęście, a ono przyniesie ulgę w chorobie. I wreszcie poprosił, abym za wszelką cenę uratował Benjamina. To o wiele lepszy człowiek, niż przypuszczam.

Siostra Matilda stwierdziła, że to, co powiedział mi Vidigal, jest słuszne. Tymczasem kroplówka dobiegła końca. Saint Louis opuściłem podniesiony na duchu jej słowami i wspomnieniem słów Vidigala. I od razu natknąłem się na Grubera, który najwyraźniej czekał na mnie. Obok stał jego samochód.

- Jak ręce? - zapytał.
- Nadal zakładam rękawiczki - odparłem sucho.
- Proszę wsiadać, podwożę ojca. Ach, i bez obawy, szyby są przyciemnione. Od środka wszystko widać, ale z zewnątrz nie można zajrzeć. Proszę zachować spokój, ojca reputacja nie zostanie nadszarpnięta.

Odpowiedziałem, że przyjechałem swoim Land Roverem. Jeszcze raz mnie poprosił, więc się zgodziłem. I dopiero wtedy zrozumiałem przyczynę, dla jakiej nalegał. Na przednim siedzeniu zobaczyłem Benjamina, wyglądał na zmęczonego, ale szczęśliwego.

- Uwolnił mnie - zawołał.
- Powierzam go ojcu - powiedział Gruber. - Muszę zebrać jeszcze kilka informacji w sprawie śledztwa, a przypuszczam, że ojciec, jako Kustosz, woli mieć go u siebie W klasztorze jako gościa niż wiedzieć, że siedzi w więzieniu. Proszę jednak pamiętać, że ojciec jest gwarantem.

- Co za nieprzyjemne słowo - skomentowałem.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami, nic nie odpowiadając. Z Benjaminem nie zamieniliśmy ani słowa. Gruber wysadził nas pod konwentem Najświętszego Zbawiciela, od strony Bramy Nowej. Pożegnałem go chłodno. Przekonany byłem, że wcale nie wyświadczył mi żadnej przysługi. Powiedziałem Benjaminowi, aby poszedł za mną do gabinetu. Nie spotkaliśmy żadnych braci. Usiadłem za biurkiem. Benjamin poprosił o lemoniadę. Potem opadł na sofę. Jego głos był teraz twardy:

- Ból wcisnął się w moje ciało jak wiertło w ząb. Nie przypuszczam, abyś czegoś takiego doświadczył, Matteo. W nocy, w celi, widziałem coś, co szło w moją stronę. Coś ogromnego, ciężkiego, niebezpiecznego. Nie potrafiłem tego dostrzec, to było bardziej poczucie stłamszenia, zatęchłego powietrza, którym oddychałem, ograniczonej przestrzeni, jaka mnie otaczała niewidocznymi ścianami. Czuję też smród zmierzwionej i wilgotnej sierści, spalonego drewna, pylistego wiatru, zgniłych orchidei, kwaśnego mleka i siarki.

Benjamin był podekscytowany i czerwony na twarzy. Trząsł się. Instynktownie uśmiechnąłem się do niego. W jego oczach wyczytałem coś na podobieństwo podziękowania. Mówił dalej, ale nieco już spokojniej:

- Matteo, nie wiem, dlaczego Gruber mnie uwolnił, sądzę jednak, że nadeszła chwila, abym wyjaśnił ci pewne rzeczy. Byłeś blisko mnie w tych okropnych dniach, zasługujesz na zaufanie.

Westchnął przeciągle. Chyba wiedziałem, co mi zaraz powie. I faktycznie, mówił o sobie, o swoich studiach w seminarium, o spóźnionym powołaniu, o ponurym okresie życia, pod koniec którego nastąpiło nawrócenie. W kwestii pewnych dat kłamał - jeśli jego słowa można było uznać za

kłamstwo. Jednym słowem po seminarium nastąpiło kilka bardzo świeckich lat. Przerwałem mu i zdradziłem, że Szejek opowiedział mi o nich. Benjamin prychnął:

- Ach, on!

I stwierdził, że jest absolutnie pewien, iż Szejek przedstawił swoją wersję. Odparłem kilkoma suchymi pytaniami, na które on odpowiedział równie oschle. Potwierdził przygodę z „Kasbah” i ze spółką z Szejkiem oraz burzliwą współpracę z Jonesem. Ale podkreślił, że tego ostatniego spotkał w Cytadeli Dawida przez przypadek i nie zabił go. Potem dalej mówił o przeszłości i o nawróceniu. Z pewną emfazą przyrównał się do Jeana Valjeana, bohatera *Nędzników*, który skradł biskupowi srebra i został schwytyany. Uwolnił go ten właśnie biskup, ratując mu duszę i czyniąc z niego dobrego człowieka.

- A kto był twoim biskupem? - zapytałem.

Odchrząknął. Znowu był podekscytowany. Pomyślałem, że oto odkrywam jakąś część jego duszy, o której nie miałem pojęcia. Poprosił o jeszcze jedną porcję lemoniady. Wypił duszkiem. Poprosił o kolejną. Odpowiedziałem, że zniszczy sobie żołądek. Wtedy wykonał gest, który mnie zaskoczył. Poglaskał szklankę i pobłogosławił ją, jak gdyby była hostią, po czym wypił z szacunkiem, przerywając co dwa łyki i smakując płyn. Wreszcie, głosem człowieka ogłaszającego fundamentalne objawienie, zawołał:

- Współbrat, Matteo!

Już chciałem mu wyjaśnić, że ułatwianie nawrócenia jest zadaniem nas, osób duchownych, więc oczywiście wydaje mi się, że na swojej drodze spotkał kapłana. Pozwoliłem mu jednak mówić dalej. Nie chciałem ugasić jego chęci zwierzenia się.

Jego biskup, jak powiedział, otworzył przed nim drogę wiary, zabrał go ze sobą, pomógł mu, uczynił go swoim po-

wiernikiem. I zdradził coś bardzo interesującego. Benjamin poprawił się: to niewłaściwie słowo. Chodziło o ważny sekret, który odsunął go w pewnym stopniu na bok. A właściwie uczynił współnikiem.

Przerwał i wpatrzył się we mnie. Dodał, że zaraz opowie mi coś zaskakującego, co może wydać się absurdalne takiemu wielkiemu archeologowi jak ja, ale co otwiera nowe horyzonty i perspektywy. Nie spytałem, co ma na myśli. Benjamin dokończył trzecią lemoniadę, smakując ją, po czym rozsiadł się na sofie wygodniej i z pewną miną. Jak gdyby nagle nabrał ufności.

Spytał, czy słyszałem o Błogosławionych Księgach. Odparłem, że istnieją tzw. Księgi Wyklęte, skatalogował je Jacques Beagier, pisarz-wizjoner, który przybył kiedyś nawet do Flagelacji na spotkanie ze mną i opowiedział niektóre ze swoich zabawnych teorii na temat Jezusa i Jego rodowodu. Literackie fantazje z mojego punktu widzenia, natomiast jego zdaniem było w tym coś więcej. Ale nic mi nie było wiadomo o istnieniu Błogosławionych Ksiąg i dodałem ze szczyptą ironii, że najwyraźniej nie wiedział o nich także Jacques Beagier, w przeciwnym razie powiedziałby mi o nich. Ojciec Benjamin wzruszył ramionami, pokiwał głową i stwierdził, że Jacques Beagier nie mógł wszystkiego wiedzieć. Ta uwaga ewidentnie odnosiła się również do mnie. Nie zareagowałem i poprosiłem, aby kontynuował.

- Ten współbrat, mój biskup, przebywał w Rzymie w okresie pierwszego objawienia.

Spytałem Benjamin, o czym mówi. Odpowiedział, że zaraz zrozumie i z odrobiną poirytowania poprosił mnie, abym więcej mu nie przerywał. Przeprosiłem go.

- Przebywałem z nim - podjął wątek - ale nie chodziłem za nim przez cały dzień. Podczas tamtych swego rodzaju

kulturalnych wakacji, jak je określał, poszukiwał czegoś i to coś odnalazł. Pewnego wieczoru, w jego gabinecie w Villa Massimo, po raz pierwszy powiedział mi o Błogosławionych Księgach. Wyjaśnił, że w historii pojawiły się dzieła, które miały decydujący i nieoszacowany wpływ na rozwój człowieka i próbowały, często bez powodzenia, ulepszyć społeczeństwo ludzkie. Owych Błogosławionych Ksiąg już nie ma. Zostały zniszczone, ocenzurowane albo zwyczajnie prześladowane przez wieki i zepchnięte na całkowity margines.

Słuchając go, uświadomiłem sobie, że nie przypominam sobie żadnego okresu, który oświecony by został - tak to nazwijmy - przez Błogosławione Księgi. Ale nic nie powiedziałem, aby go nie rozzłościć i nie wszczynać nowej polemiki. On tymczasem mówił dalej:

- Stosy, na jakich płonęły Błogosławione Księgi, pojawiają się na przestrzeni całej historii człowieka. Ale jak wyjaśnił mi mój biskup, kilka z nich nawet nie dotrwało do stosu, zostały zniszczone jeszcze w rękopisie czy nawet na etapie opracowania. Nasze życie toczy się na spokojnej wyspie ignorancji otoczonej przez ciemne oceany nieskończoności i nie sądzę, aby z korzyścią dla nas było zapuszczanie się zbyt daleko. Dotychczas działy nauki, postępując krok po kroku na charakterystycznym dla siebie polu działania, nie przyniosły zbyt wielu szkód: ale któregoś dnia, kiedy poszczególne nurty wiedzy, dzisiaj jeszcze rozproszone, połączą się, wówczas naszym oczom ukaże się fascynujący i nowy obraz rzeczywistości. Trzeba jednak wcześniej odkryć i ocalić Błogosławione Księgi.

Benjamin poprosił o czwartą szklanekę lemoniady, którą natychmiast mu podałem. Był coraz bardziej podekscytowany i czerwony na twarzy.

- Mój biskup - wrócił do opowieści - wyjaśnił mi, że istniało swego rodzaju przymierze, tak je nazwał, które dążyło do wyeliminowania wiedzy zamkniętej w tych księgach. Platon wysnuł teorię, że każde poznanie jest tylko wspomnieniem. A przed nim Salomon stwierdził, że rzeczy nowe są niczym innym jak tym, co już zapomnieliśmy. Błogosławione Księgi służyły właśnie odświeżeniu pamięci. - Westchnął, po czym dalej mówił:

- Matteo, tysiąc lat temu geografowie rysowali na swoich mapach części świata, o których niczego nie wiedzieli, dodając na marginesie przypisy, w których ostrzegali, że nie ma na nich niczego oprócz pustyń pełnych dzikich bestii, niepokonanych bagien, nieskończonego lodu i ogromnego i głębokiego morza. I tak, w ówczesnej kulturze istniały niezbadane strefy, w jakie zapędzali się jedynie podróżnicy niebojący się tajemniczych niebezpieczeństw. A jako świadectwo pozostawiali zazwyczaj księgę. Niemniej księga opowiadająca o rzeczach, które oficjalnie nie istniały, nie będąc czystym wymysłem fantazji, stawała się kandydatem na księgę widmo. W ten sposób granica między księgami rzeczywistymi a zdecydowanie nierzeczywistymi nie była tak wyraźna i określona, jak mamy zwyczaj sądzić. Pomiedzy dwoma obszarami rozciągała się naprawdę rozległa ziemia niczyja. Na niej, oprócz Błogosławionych Ksiąg o tak niebezpiecznej zawartości, że zostały zniesione i zakazane, miejsce zajmował cały szereg dzieł o wielorakiej naturze. Księgi niedokończone, księgi zagubione, księgi apokryficzne i pseudoapokryficzne. A także teksty zapomniane, nieuznane, księgi ukryte w innych księgach.

Benjamin zamknął oczy. Jakże był teraz inny od brata, którego poznałem i z którym w przeszłości miałem kilka targów. Nie był przychylny mojemu wyborowi na Kustosza

i nigdy nie zrozumiałem, dlaczego. Później nasze relacje uległy polepszeniu, ale tylko formalnie. Któregoś razu wyspowiadałem się nawet u niego, ofiarowując mu swoją pokorę. Zachował się po ojcowsku, wyrozumiale. A jednak coś niewyjaśnionego i niewypowiedzianego nadal tkwiło między nami. Pytanie, jakie padło, było bezpośrednie:

- Zrozumiałeś, Matteo, kto był moim biskupem?

Nie odpowiedziałem. Ale wiedziałem już, o kim mówi, i byłem zszokowany.

- Twój poprzednik.

Teraz jego głos stał się twardy, jak na początku rozmowy. Długo patrzyłem mu prosto w oczy, starając się przybrać dumny wyraz twarzy.

- Matteo, twój poprzednik, zaraz po ostatnim namaszczeniu, którego udzieliłem mu ja, na jego wyraźną prośbę, powiedział: „Są różne sposoby umierania, prawie zawsze ciało widoczne jest dla wszystkich, ale czasami znika wraz z duchem. Tak dzieje się zazwyczaj, kiedy nikt ci nie towarzyszy w ostatniej chwili, wówczas mówimy, że taki człowiek wyruszył w długą podróż. Prawdziwie wyruszył”.

Benjamin przerwał. Ponagliłem go:

- Chcesz powiedzieć, że on nie umarł? To dajesz mi do zrozumienia?

- Nie tak, jak ty myślisz, Matteo. A twój wybór na Kustosza był moją pomyłką. On chciał, abym to ja został jego następcą. Nie sprawdziłem pewnych głosów i przeszedłeś ty. Zlekceważyłem cię.

Uśmiechnął się zagadkowo:

- Twój poprzednik był w posiadaniu Błogosławionej Księgi.

Poczułem się nieswojo. Benjamin zrozumiał mój stan ducha i powiedział:

- Matteo, jesteś wspaniałym kapłanem i najlepszym Kustoszem, jakiego mogliśmy mieć w Jerozolimie w tych latach. Gdyby wybrano mnie, nie postępowałbym lepiej, Ale to, do czego doszło, nie miało się wydarzyć, Matteo, i mnie bardziej niż tobie przykro z tego powodu.

Wydawało mi się, że wychwytuję pojedyncze strzępy prawdy. Ale nie ośmieliłem się zadawać pytań. Chciałem, aby Benjamin skończył swoją opowieść.

- Twój poprzednik przekazał mi Błogosławioną Księgę na długo przed śmiercią. Zostawmy na boku złość i podejrzenia, weźmy się wspólnie do pracy, aby zrozumieć, co dzieje się wokół nas, zanim będzie za późno. Ja mam Błogosławioną Księgę. Na Index Expurgatorius została wciągnięta w 1232 roku przez papieża Grzegorza IX.

Benjamin wyjął ostrożnie z kieszeni mały tomik w zniszczonej skórzanej oprawie. Delikatnie go otworzył.

- Sądzę, że to jedyna kopia oryginału. Który znajduje się w bezpiecznym miejscu. Pochodzi z XVII wieku. Wykonano ją w Rzymie. Proszę, posłuchaj.

Błogosławiona Księga

Benjamin otworzył tomik i zaczął czytać. A na moją obawę co do faktu, że nie będę w stanie podążyć za nim (ze względu na stare przyzwyczajenia wolałem skupić się na stronicy i spoglądać na nią nawet po kilka razy, gdyż oczy pomagały mojemu umysłowi w pojmowaniu), odpowiedział interpretacją tekstu, której nawet wielki aktor by się nie powstydział. Odkrywałem innego Benjamina, bardzo różnego od tego, którego dotychczas znałem. Książka rozpoczynała się ciekawym zdaniem: „Mój mądry rozmówco, pragnę przybliżyć ci moją historię, aby twoje rozważania były głębokie, wnikliwe i pożyteczne. Nasi przodkowie odkryli sztukę stwarzania bogów. Rzeźbili posągi, a ponieważ nie potrafili stworzyć dusz, przywoływali duchy demonów i aniołów i za pośrednictwem świętego misterium wprowadzali je w wizerunki bogów, tak aby posągi otrzymały moc czynienia dobra i zła. Ja chciałem poznać tę sztukę dla moich praktyk. Dlatego zacząłem ją zgłębiać. Ale niczego nie odkryłem. Przydarzyło mi się za to co innego, być może bardziej intrygującego i istotnego.

Muszę jednak zachować pewien porządek. W przeciwnym razie moje słowa pozbawione będą logiki. A ty, mój Wspañiały rozmówco, nie zrozumiesz tego, co pragnę ci przekazać i co powinno pozostać świadectwem czegoś wyjątkowego i

cudownego. Wiem, że wkrótce umrę, a moje plany nie przetrwają. Może to lepiej. Ale ktoś musi wiedzieć, co wydarzyło się podczas tej odległej podróży, i zdecydować, czy rozpowszechnić to, czy też przemilczeć na wieki.

Moja flota, w sumie sześćdziesiąt statków z galeonami i okrętami wspierającymi, płynąc wzdłuż brzegów Wysp Jońskich, Krety, Rodos i Azji Mniejszej, dotarła do Limassol na południowym wybrzeżu Cypru dnia 21 lipca 1228 roku.

Samotny rozmówco, mam gorączkę i zdaję sobie sprawę, że nie zachowuję porządku chronologicznego. Moje myśli tłoczą się, mieszają, jak gdyby znaczenie wydarzeń przetrastało mnie. Muszę ci przekazać, co wydarzyło się przed wyruszeniem w podróż i ile przykrości sprawił mi papież oraz jego brak zrozumienia. Fakty poprzedzające wyprawę zasługują na głęboką uwagę. Mogłem pokonać legiony papieża, ale czy byłoby to z korzyścią dla całego chrześcijaństwa? Po dziś dzień zadaję sobie to pytanie.

Ale po kolei. Zaufany astrolog, Żyd urodzony w Kartaginie...

Och, poczekaj jeszcze, uzbrój się w cierpliwość. W tej chwili widzę siebie i nie dostrzegam jedynie mojej cielesnej postaci, ale także postać moralną, jak przebudzenie pewnej warstwy mojej pamięci, jak sekret złożony z elementów duszy mojej. Moje życie było tak głębokie i tak bogate we wzruszenia, że niczego teraz, kiedy mój nieprzyjaciel zmusza mnie do porzucenia go, niczego nie żałuję. Być może to moja wielkoduszość mnie zabija. Powtarzam: czyż mogłem pograżyć Papieństwo? Jakież skutki przyniosłoby to chrześcijaństwu?

Wróćmy do sprawy.

Mój zaufany astrolog, więc Żyd z Kartaginy, Ismail Tudela, około połowy maja roku 1225 - pamiętam dokładnie

datę - doradził, abym spotkał się z Franciszkiem z Asyżu, bratem, który stworzył organizację-wojsko, chociaż nieuzbrojone. Przystępowało do niego wielu i nawet papież Honoriusz patrzył na niego przychylnym okiem, prawem aprobując narodziny tego zakonu franciszkańskiego, jak go nazwano".

Benjamin podniósł oczy znad książki i popatrzył na mnie, być może aby sprawdzić, czy uważam. Najwyraźniej zadowolilem jego oczekiwania, bo wrócił do lektury:

- „Za pośrednictwem Piera delie Vigne znalazłem sposób, jak skontaktować się z Franciszkiem, i spotkałem się z nim potajemnie w jego klasztorze w Asyżu. Nie mogę powiedzieć, że od razu wywarł na mnie wielkie wrażenie. Cierpiał i miał owinięte ręce. Był prostym człowiekiem i na pierwszy rzut oka niezbyt sympatycznym. Przyjął mnie w refektarzu klasztornym i poczęstował wodą i chlebem, potem spytał, czego oczekuję. To właśnie jego bezpośredniość zmieniła moje nastawienie. Nie był oschły i nieprzystępny, lecz gotowy do dialogu i nie chciał tracić czasu. Ta interesująca cecha od razu zmieniła moją opinię o nim. On, jak gdyby czytał w moich myślach, stwierdził z łagodną stanowczością, że dni spędza na modlitwie i na trosce o braci.

W jego słowach wyczułem głęboki szacunek: co prawda on był człowiekiem Bożym, ale ja byłem cesarzem, co uznał za fakt - bez problemów, jakie stwarzał papież. Zrozumiałem również, że uważa się za wyższego rangą ode mnie, ale nie da mi tego odczuć, gdyż mówi pod natchnieniem Pana. Świadomość ta przeraziła mnie. Z nas dwóch to on był silniejszy.

W każdym razie zrozumiał przyczynę spotkania i z wielką otwartością podjął temat. Opowiedział mi o swojej podróży do Ziemi Świętej w roku 1219 i o spotkaniu z Melek al-Kamilem.

Przez kilka dni rozmawiał z Sułtanem i chociaż jego opinie w kwestii regionu bardzo się różniły, odnaleźli wspólny język. Rzezie były całkiem niepotrzebne. Istniały przecież drogi pokoju i dialogu w atmosferze wzajemnego poszanowania. Franciszek uzyskał dla swoich braci pozwolenie na osiedlenie się w Ziemi Świętej, w miejscach kultu chrześcijańskiego.

Franciszek doradził mi, że należy podążać tą właśnie drogą, chociaż prawdziwy dialog wymaga siły, i to siły nie zbrojnej, lecz duchowej, siły ducha.

Kiedy się rozstaliśmy, pomyślałem, że spotkałem bardzo praktycznego świętego. Oto dlaczego w chwili, kiedy podjąłem decyzję o krucjacie, wiedziałem, co czynić. Wiedziałem, że Melek al-Kamil potrzebuje mnie przeciwko swojemu bratu al-Mu'Azzamowi. Ale opóźnienia w przedsięwzięciu całego przewozu oddziałów na Ziemię Świętą przyczyniły się do powstania kolejnych i nieprzewidzianych problemów. Al-Mu'Azzam zmarł, w związku z czym zainteresowanie al-Kamila moją osobą przestało być aktualne. Mimo to postanowiłem wyruszyć na wyprawę, inspirując się Franciszkiem, który tymczasem połączył się z Bogiem.

Na krótko przed wyprawą wydarzyło się coś nieprzewidzianego i niepokojącego, co zmieniło moje życie. Ismail Tudela poprosił o pilne widzenie. Tamtego wieczora organizowałem ucztę dla kilku sycylijskich panów lennych, którzy przybyli prosić o możliwość uczestniczenia w krucjacie, licząc, że odmówię i w zamian za zgodę zażadam od nich zapłaty. Postanowiłem zabawić się ich kosztem i przystać na żądania. Przyglądanie się ich rozpaczy w chwili, kiedy zdali sobie sprawę, że zobaczą rzeki krwi zarówno chrześcijańskiej, jak i saraceńskiej, było wielce zabawne. Pozostawiłem ich w niepokojach i udałem się pełen ciekawości do gabinetu, gdzie

już czekał na mnie wierny Tudela. Był to niezwykle piękny mężczyzna, o czarnej brodzie, ciemnych głębokich oczach, z których biło ciepło i zrozumienie. Mógł mieć ze czterdzieści lat, ale nigdy nie spytałem go o wiek. Jego przepowiednie były spostrzegawcze, czytał w gwiazdach z powagą i nie miał nic wspólnego z jasnowidzami, którymi otaczała się większość moich dworzan i od jakich ja uparcie stroniłem.

Tudela miał zaniepokojony wyraz twarzy. Usiadłem na specjalnym fotelu o dębowych oparciach, który ofiarował mi zarządca Barletty i który był niezwykle wygodny. On zaś przyjął postawę wyrażającą szacunek, czekając, aż pozwolę mu mówić, aby przede wszystkim wyjaśnić przyczynę tak pilnego spotkania. Skinąłem na niego, po wyrażeniu przeprosin powiedział, że wielokrotnie w ciągu minionych dni zastanawiał się, czy przekazać mi to, co wyczytał w gwiazdach, czy też zachować dla siebie. Przekonał go mój rychły wyjazd.

Jego oczy wyrażały szacunek. Dałem mu znak, by mówił dalej: jeśli chciał, mógł też usiąść. On jednak odrzekł, że woli stać. Spojrzał na mnie z czułością, a potem opowiedział mi zaskakującą historię.

Większość jego studiów poświęcona była rodzinie Mojżesza. Wyjaśnił mi, że we wszystkich dziełach ilustrujących postać proroka, czy też Ojca Założyciela, jak on wolał go zwać, pojawiały się wielorakie hipotezy w kwestii jego rodziców. Niektórzy twierdzili wręcz, że przynależał do rodu faraona. Ale nikt nie mówił o potomkach. A przecież miał żonę i dzieci.

Ismaila Tudelę zafascynował ten problem, rozważał nad tajemniczymi okolicznościami śmierci Mojżesza i ubogimi informacjami, jakich na ten temat dostarczała Biblia. Jako Żyd

i jako człowiek wierzący, nie potrafił pojąć zwłaszcza jednego. Że nie zostało powiedziane, kto zatroszczył się o pogrzeb Ojca Założyciela.

Opowieści o śmierci Patriarchów łączył pewien wspólny element. Grzebały ich dzieci. Abrahamem zajęli się Izaak i Izmael. Izaakiem - Ezaw i Jakub, Jakubem - Józef i pozostali bracia. A Mojżeszem? Kto zatroszczył się o pochówek? Logika i tradycja wskazywałyby na potomstwo. Ale w Biblii nie takiego nie zostało napisane, a to Tudeli wydawało się bardzo dziwne. Zastanawiając się, zdał sobie sprawę z pewnej bardzo dziwnej rzeczy. Rodzina Mojżesza nie występuje w ostatnich trzech księgach Pięcioksięgu, jak gdyby została z nich wykreślona. Tudela doszedł do wniosku, że mając na uwadze zwyczaj tamtych czasów, niemożliwe jest, by Ojciec Założyciel nie miał żony, a tym bardziej dzieci.

Kiedy uciekł z Egiptu, schronił się w Państwie Madianitów i odnalazł gościnność u króla Jetra, który dał mu za żonę własną córkę, Seforę. Urodziła mu dwóch chłopców, Gerszoma i Eliezera. Kiedy Mojżesz wrócił do ojczyzny, aby zorganizować Exodus, prawdopodobnie zabrał ze sobą Seforę, Gerszoma i Eliezera. Ale kiedy Exodus już się rozpoczął, cała trójka znowu pojawiła się u boku Jetra i była z nim, kiedy ten złożył wizytę pod Świętą Górą, gdy Ojciec Założyciel stał już na czele ludu izraelskiego.

W Księdze Wyjścia napisane zostało, że Mojżesz odesłał Jetra, który powrócił do swojej krainy, ale nie ma wzmianki o Seforze, Gerszomie i Eliezerze. A zatem, zdaniem Tudeli, najlogiczniej będzie przypuścić, że żona i synowie pozostali z Mojżeszem, co wydaje się jeszcze bardziej prawdopodobne, jeśli wczytamy się w kolejne stronicie. Mojżesz wraz ze swoim ludem opuścił Świętą Górę, aby skierować się na północ, gdzie przypuszczalnie leżała Ziemia Obiecana.

Zatrzymał się w Azerot, gdzie Miriam i Aaron, dwie ważne postaci w plemienu, robili mu wyrzuty z powodu poślubienia Kuszytki, czyli Nubijki. W tamtym czasie Nubia nosiła miano Kusz. A zatem żona Mojżesza była Nubijką. Tudela zdradził mi, że przeprowadził badania i odkrył, iż termin Kuszyta mógł odnosić się także do Madianitów. A potwierdzenie tej hipotezy odnalazł w jednej z wersji Starego Testamentu, którą datował na około drugiego wieku przed Chrystusem. W niej Jetro i Sefora określani zostali mianem Kuszytów. Zatem wniosek był prosty. Sefora, Gerszom i Eliezer nigdy nie opuścili Mojżesza.

Tudela przerwał opowieść. Chciał chyba przyjrzeć się moim reakcjom. Ale ja nie reagowałem. Słuchałem go z cierpliwością, ale nie potrafiłem zrozumieć, do czego zmierza. Wzbudził co prawda moją ciekawość i dobrze o tym wiedział, tak jak musiał wiedzieć, że mój czas, czas cesarza, był na wadze złota. A ponieważ był inteligentny i znał mój gniew oraz jego konsekwencje dla tego, kto postępował lekkomyślnie i lekceważąco, pewien byłem, że przekazuje mi coś bardzo ważnego.

Tudela mówił dalej, wyjaśniając, że nie odnalazłszy rodziny Mojżesza ani w świętych tekstach, ani też w tekstach apokryficznych, zaczął zastanawiać się nad przyczyną. W Księdze Jozuego, gdzie mowa jest o różnych pokoleniach i różnych rodzinach oraz przekazanych im obszarach, rodzina Mojżesza została pominięta. Podział ziemi dokonał się w mieście Szilo, na górskim obszarze Efraim. Pokolenia po czterdziestu latach rozeszły się i każde wyruszyło na poszukiwanie własnego przeznaczenia. W Szilo pozostała Arka Przymierza, którą w czasach Samuela porwali Filistyni, by następnie ją zwrócić. W Szilo znajdowała się też świątynia Jahwe i przebywał w niej ten, kto sprawował pieczę nad Arką.

Wielki Kapłan świątyni był zatem najwyższą władzą religijną dla Żydów.

Tudela wyjaśnił, że to tylko przypuszczenia. Nie potrafił niczego udowodnić, ale pewien był słuszności wniosków, które mi przedstawił. Według niego Szilo została przekazana rodzinie Mojżesza i ta sama rodzina była depozytariuszką Wielkiej Tajemnicy. Nie dotyczyła ona jedynie miejsca pochówku, ale także tego, co znajdowało się wewnątrz grobu. A Gerszom mógł być pierwszym Wielkim Kapłanem świątyni w Szilo.

Wtedy nagle szczęście się do niego uśmiechnęło. W Bagdadzie natrafił na niezwykle starą wersję Biblii, bogatą w historię jak z bajki. Powiedział, że przypuszczał, iż chodziło o Biblię, ale w opowieści użył nowego dla mnie terminu, Błogosławiona Księga. Księga była anonimowa, nie wiedział, kto mógł ją napisać. Wyrobił sobie jednak zdanie, które nie od razu mi zdradził. Dzięki niej odkrył natomiast to, czego szukał.

Przypomniał mi, że niedawno wyjechał w podróż, a ja miałem o to żal, gdyż nie chciałem pozostać bez mojego zaufanego astrologa. Musiał jednak jechać, pchany potrzebą wiedzy. Udał się do Bagdadu, do starożytnej Babilonii, gdzie mieszka jedna z największych żydowskich wspólnot, składająca się z potomków zesłańców, którzy nie podążyli za Ezdraszem i Zedechem w podróży powrotnej do Jerozolimy. Jest ich około czterdziestu tysięcy i żyją w bezpieczeństwie, dobrobycie i szacunku pod panowaniem kalifa. Pośród nich znajdują się wielcy uczeni w studiach nad Torą. Działa także dziesięć rabinicznych akademii, a na czele największej z nich stoi Semu'el ben Ali.

Ów Semu'el ben Ali zwierzył mi się, iż pochodzi od Mojżesza. Jego przodkowie schronili się w Bagdadzie, aby strzec

Wielkiej Tajemnicy, która dotyczyła grobu Patriarchy i jego zawartości. Mojżesz złożył w Arce prawa i teksty kazań. Tylko jego synowie i synowie synów oraz ich wnukowie i wnukowie wnuków znali tę prawdę, a ponadto byli w posiadaniu kilku dokumentów Patriarchy. Tudela zdradził, że rabin na dowód tego pokazał mu modlitwę Mojżesza, spisana jego ręką, na której widok on bardzo się wzruszył. A potem opowiedział, że rodzina, aby zachować Wielką Tajemnicę, ukryła zarówno grób, jak i siebie samą, organizując własne zniknięcie. Arka Przymierza wraz z cenną zawartością nigdy nie została przeniesiona do Jerozolimy. Pochowano ją wcześniej wraz z Mojżeszem. Arka w Świątyni była jedynie kopią tej prawdziwej, która towarzyszyła Mojżeszowi w jego wiecznym śnie.

Tudela tamtego wieczora był zbyt podekscytowany, aby móc mi wyjawić Wielką Tajemnicę. Ale być może już się jej domyśliłem. Poprosił o pozwolenie odejścia. Powiedział, że jeśli zechcę, przyjdzie następnego dnia.

Zostałem sam w gabinecie. Nie rozumiałem kilku elementów opowieści. Potem nagle mnie olśniło. I uświadomiłem sobie, na czym polegały nie dające mi spokoju wątpliwości. Tudela mówił o podróży i o tym, że przykro mi było, gdyż zostałem sam, bez jego otuchy i bez jego przepowiedni. Ale nie mogłem przypomnieć sobie żadnych dłuższych nieobecności Tudeli ani w bieżącym roku, ani w latach poprzednich. Nie było go co najwyżej trzy dni, nigdy dłużej. A żeby dojechać do Bagdadu, trzeba przemierzyć Morze Nostrum i potem karawaną pokonać mało bezpieczne terytoria.

Z przekonaniem, iż nie powiedział mi prawdy, i to z jakiegoś powodu, udałem się do komnaty sypialnej, sąsiadującej z gabinetem. Był to surowy pokój, z dużym łóżem okrytym baldachimem i z wielkim fotelem o drewnianym oparciu,

stojącym naprzeciwko jedyne go okna, gdzie miałem zwyczaj zasiadać, by obserwować noc i rozmyślać. Narzuciłem na siebie starą skórę niedźwiedzia, którą podarowała mi żona, a która była w pewnym sensie moim amuletem, i podszedłem do fotela.

Niewiele rzeczy jest w stanie mnie przestraszyć, ale kiedy zobaczyłem, że moje miejsce zajmował Tudela, aż podskoczyłem. W pierwszym odruchu uznałem, że to oznaka braku szacunku, jeśli mój astrolog wchodzi do mojej komnaty, nie pytając mnie o pozwolenie. Poza tym powiedział, że jest tak zmęczony, że idzie położyć się do snu. A teraz znajduję go tutaj. Zaraz potem pomyślałem jednak, że mogę go wypytać o tę podróż, do której nigdy nie doszło. Spostrzegłem jednak, że z ust Tudeli wypływała strużka śliny, a on sam mamrotał takie słowa: «Jestem chory, wiecie o tym, i chcecie, abym jak najszybciej umarł».

Potem zwrócił się do mnie: «Fryderyku, to, co ci opowiedziałem, to prawda, cała prawda. Nie jestem szalony, całymi nocami drżałem tak jak teraz, dzwoniłem zębami, nie mogąc tego powstrzymać, czułem, że ze strachu kości oderwą się od ścięgien, moje włosy na czole były jak igły, twarde, sztywne, aż do rana. Jestem chory, bardzo chory, Fryderyku. Popatrz teraz, już nie drzę. Jestem spokojny, całkowicie spokojny. Wszystko ci opowiem, od początku, tak jak chcesz. Wszystko, po kolei. Umieram, popatrz na moją twarz i powieki. Czy one już nie zaczęły obumierać? Ogarnia mnie teraz jakieś silne uczucie i wielka udręka».

Potem wydał ducha. Nie rozumiałem, co mu się przytrafiło. Mój medyk stwierdził, że został otruty. Prawdopodobnie w swojej komnacie, położonej niedaleko mojej, wypił coś, wodę, a może coś innego. Ale strażę nie odkryły żadnego napoju, a tym bardziej śladów trucizny.

Kilka dni później, z pewnym przeświadczeniem, wyruszyłem do Ziemi Świętej. Wiedziałem, że coś mnie czeka. Ale nie miałem pojęcia, co. Byłem ekskomunikowany, a pomimo to piałem się naprzód. A poza tym podążałem za natchnieniem Franciszka. Nie byłem zabobonny, wierzyłem jednak w wydarzenia ponadnaturalne i czułem, że moim przeznaczeniem jest odkryć coś, czego nawet papież nie potrafił sobie wyobrazić. Liczyłem, że szczęście mi dopisze, ale musiałem mu też pomóc. Śmierć Tudeli, jego przepowiednia i spotkanie z umiarkującym Franciszkiem utwierdziły mnie w przekonaniu, że podróż - tak ją nazywałem, nie kruczata - rozwiąże moje problemy. Sprzyjająca mi rywalizacja między Mu'azzamem a al-Kamilem należała już do przeszłości: al-Mu'azzam nie żył, a zatem nietrudno było przewidzieć, że al-Kamil nie potrzebuje mojej obecności. Ja natomiast potrzebowałem al-Kamila, aby uniknąć upokorzenia, którego efektów Rzym z pewnością nie omieszkalby wykorzystać i rozdmuchać.

Templariusze i szpitalnicy przyjęli mnie w Syrii z pozornym entuzjazmem; co więcej, na znak posłuszeństwa legli u moich stóp i objęli moje nogi. Wiedzieli oczywiście, że ciążyła na mnie ekskomunika, ale papieskie klątwy, jak ja je zwałem, w tych latach nierzadko padały i z równą łatwością je zdejmowano, co nimi obrzucano. I chociaż oficjalnie pokładali we mnie nadzieje na pokonanie al-Kamila i syna al-Mu'azzama, liczyli w rzeczywistości raczej na przywileje i donacje, tym bardziej że powszechnie znana była moja szczerść wobec Krzyżaków.

Herman von Salza, Wielki Mistrz, był jednym z najzagorzalszych moich zwolenników. Ja jednak nie ufałem ani templariuszom, ani szpitalnikom. Wysłałem wieść Grzegorzowi, informując go o moim przybyciu na Ziemię Świętą

i zachęcając do zniesienia ekskomuniki. Nie mogłem też odmówić sobie pewnej, moim zdaniem, zabawnej prowokacji. W skład delegacji złożonej z kilku wiernych lenników wchodził również Rainald ze Spoleto, zarządzający niektórymi ziemiami, jakie papież uznawał za swoje. Grzegorz, jak poinformował mnie później Rainald, przyjął go z wyraźnym chłodem.

Rozpacz papieża wzrosła pod niebiosa, gdy zrozumiał, że pomimo ekskomuniki, jakiej nie chciał odwołać, kontynuowałem krucjatę. Liczyłem już 35 lat i miałem jasny obraz mojej władzy i potęgi, a także ich prawnych podstaw. Byłem królem Jerozolimy, ale papież ciągle był mi wrogi. Goryczą przepelniał mnie sposób, w jaki przyjęli mnie prawosławni. Najgorszą postawę przyjął patriarcha Herold, który nie życzył sobie żadnych osobistych kontaktów ze mną i rozkazał arcybiskupowi Cezarei, aby udał się do Jerozolimy i ukarał ją interdyktem. Tylko dlatego, że ośmieliłem się zawładnąć Grobem Pańskim i nawiązać przyjacielską relację z al-Kamilem.

Pokój, który między nami nastąpił, nie był przez Rzym traktowany jako słuszny, gdyż uważano, iż lepiej przelać krew chrześcijańską, aby odzyskać Jerozolimę. Uroczystość koronacji odbyła się w przeddzień ogłoszenia interdyktu, w chwili kiedy biedny arcybiskup spieszył do Świętego Miasta w nadziei, że uniemożliwi to, co on i jego przełożeni traktowali jako świętokradztwo. Interdykt był przesadną karą dla takiego miasta jak Jerozolima i niósł ze sobą negatywne skutki także dla pielgrzymów, gdyż przekreślał możliwość uzyskania przez nich odpustu za grzechy przez odwiedzenie świętych miejsc.

Byłem przekonany, że tego rodzaju krok nie przysporzy papieżowi życzliwości. I wykonałem ruch, którego moi mało

przezorni przeciwnicy nie oczekiwali. Zaproponowałem arcybiskupowi Cezarei publiczną dyskusję. Przestraszył się i wycofał.

Nienawiść Rzymu do mnie wzmogła się w tydzień po traktacie i zgodzie zawartej z al-Kamilem. Po odzyskane obszary w Galilei zgłosili się ich dawni właściciele, biskupi Nazaretu i Tyberiady, wołałem jednak przeznaczyć je tym, którzy zawsze byli mi wierni, w pierwszym rzędzie Krzyżakom. Naturalnie templariusze i szpitalnicy źle to przyjęli.

Moja mądra polityka z jej wzniosłymi intencjami i motywacjami rozczarowała też bogatych chrześcijańskich kupców z Akki, Tyru i Bejrutu oraz równie potężnych muzułmanów z Damaszku. Akka, Tyr i Bejrut były punktami przelotowymi dla towarów z Damaszku na obszar śródziemnomorski, a większość chrześcijańskich kupców pochodziła z Genui, Wenecji, Pizy oraz innych miast Italii Północnej, które - co doskonale rozumiałem - mogły nie ufać moim posunięciom na włoskich terenach, a tym bardziej w Syrii.

Decyzji al-Kamila, aby przekazać mi Jerozolimę, sprzeciwili się Arabowie z Damaszku, którzy uznali Ziemię Świętą za rozszerzenie kalifatu syryjskiego, a Jerozolimę za swoją szczególną własność. Logiczne zatem było, że kupcy z Akki oraz sami templariusze, którzy swoje interesy przekładali daleko powyżej wiary i chrześcijaństwa, obawiali się mojego, jak go zwali, pokoju. Obawiali się końca handlu z Damaszkiem. A możliwość odwiedzenia wreszcie chrześcijańskiej Jerozolimy nie została właściwie doceniona, gdyż z gospodarczego punktu widzenia miasto to niewiele było warte.

W miarę upływu czasu moje kłopoty mnożyły się. Templariusze wspierali patriarchę Herolda i z właściwą sobie perfidią rozpuścili pogłoski, że mam zamiar pochwyć ich

Wielkiego Mistrza i uwięzić go w Apulii oraz że moi wierni po powrocie do Akki usiłowali zamordować kilku wpływowych rycerzy. I wreszcie że porozumienie z al-Kamilem przyniosło mi niewiele korzyści, miałem więc szczerzy zamiar odebrać ziemie tym, których uznawałem za swoich nieprzyjaciół. Między innymi dlatego, że stałem przed złożonymi problemami natury prawnej, które mnie osłabiały.

Lennicy z pierwszej krucjaty już dawno zgodnie wybrali tego, kto miał zarządzać Ziemią Świętą, przejmując w ten sposób swego rodzaju prawo do nominacji. Na przykład wywłaszczanie wasali leżało w kompetencji Wysokiego Trybunału, do którego należeli najbardziej reprezentacyjni baronowie królestwa, nie stanowiło wyłącznie prawa króla. Przez lata nieobecności monarchy, będącego w stanie sprawować władzę, tego typu idee tylko się umocniły. Ale teraz pojawiłem się ja. Mimo to zdaniem moich nieprzyjaciół nie mogłem jednym ruchem przekreślić praw szlachty. Tym bardziej że zmarła moja małżonka Izabela, prawowita królowa Jerozolimy. A ja dla nich nie spełniałem prawnych wymogów dających mi prawo do panowania.

W trakcie wydarzeń, jakie nastąpiły między wrześniem 1228 roku a majem roku 1229, popełniłem pewien błąd: źle obliczyłem siły moich przeciwników. W rzeczywistości oparłem się tylko na myśli, która z czasem okazała się mylna, że moje założenia są słuszne: wystarczyło ogłosić moje prawa i każdy chrześcijanin na Wschodzie przyjmie mnie ochoczo. Ale tak się nie stało, gdyż wewnętrzne podziały w wyniku rodzinnych sporów, które spletały się z wielorakimi konfliktami interesów, były o wiele głębsze, niż przypuszczałem. Zaskoczyła mnie też obojętność wobec tego, co w moich oczach było nadzwyczajnym sukcesem - wobec odzyskania Jerozolimy. Bez przelania nawet jednej kropli krwi.

Dlatego koronacja, zamiast stanowić chwilę jedności, przysporzyła mi jedynie przeciwników i przyniosła w darze klątwy Grzegorza i Herolda.

Mądra próba przeniesienia na łaciński Wschód cesarskiej idei mojego panowania w królestwie Jerozolimy starła się z zuchwałością i arogancją krótkowzrocznych i ograniczonych wrogów.

Kolejny wyraźny dowód trudności w załagodzeniu i skłonieniu sobie złych i niesprawiedliwych przeciwników otrzymałem w ostatnich minutach pobytu w Akce. Po Wielkim Odkryciu pragnąłem natychmiast powrócić do domu i zniszczyć aroganckie oddziały papieskie, które najechały na moje królestwo. Przed wyjazdem musiałem jednak mianować wiernego mi regenta Królestwa Jerozolimy. Miałem pewną kandydaturę, był nią Tommaso del Monte, który dzielił ze mną Wielkie Odkrycie i zemstę na tym, kto zastawił na nas zasadzkę. Ale lennicy syryjscy mieli inne plany.

Znajdowałem się w Akce z nieliczną eskortą. W chwili kiedy wsiadałem na galeon zakotwiczony obok dzielnicy rzeźników, zostałem rozpoznany przez grupę prowokatorów. Obrzucili mnie wnętrznościami zwierzęcymi, mózdkami, jelitami, śledzionami i wątrokami. A potem stanął przede mną jeden z najgorszych wrogów, Giovanni z Bejrutu, wraz z kilkoma rycerzami templariuszami. Rozpoznałem pośród nich Richarda de Vichers, Arnauda de Chateaufort, Ruperta de Monfort. Zrozumiałem, że wpadłem w haniebną pułapkę, gdyż jak tylko ci zdrajcy się pojawili, hultaje, którzy na mnie napadli, uciekli.

Giovanni z Bejrutu spytał z fałszywym uśmiechem, na kogo padł mój wybór w kwestii regenta. Odpowiedziałem, że wybrałem dwóch mężów: Baliana z Sydonu i Garniera

Alemana. Jako że w danej chwili nie byłem w stanie narzucić osoby Tommasa del Monte, zwróciłem się w stronę dwóch syryjskich baronów, którzy przynajmniej nie byli mi wrody. Giovanni z Bejrutu odniósł w ten sposób połowiczne zwycięstwo, okazując mi więc szacunek, wezwał rzeźników i polecił, aby nie przydarzyło mi się nic złego. Pokazał światu, że jest człowiekiem sprawiedliwym i prawym, gdyż ocalił mi życie. W rzeczywistości jednak wiedziałem, że to on wraz z templariuszami był organizatorem spisku.

Po tym epizodzie zemściłem się, wyrzuciłem jego rodzinę z Cypru i przekazałem regencję wyspy Almerykowi Barlais, za dziesięć tysięcy marek: dobra cena, nie mogłem przecież odstąpić wyspy za kawałek chleba. Almeryk udzielił mi gwarancji, że Giovanni z Bejrutu nigdy więcej nie postawi stopy na Cyprze, a żeby dopomóc mu w postanowieniu, pozostawiłem garnizon flamandzkich oddziałów. Krucjata kosztowała mnie fortunę i musiałem za wszelką cenę odzyskać wydane dobra. Już samo zastosowanie dyplomacji zamiast zbroi umożliwiło znaczące oszczędności.

Po raz kolejny nie doceniłem jednak żywotności przeciwników. Zemsta na Giovannim wzbudziła nieuniknioną reakcję. Po zorganizowaniu małej floty przybił on na Cypr i zmusił Almeryka do ucieczki. Cypryjscy wasalowie, porzytowani nowymi instrukcjami i wywłaszczeniami rozporządzonymi przez Almeryka, mającymi przywrócić mu dziesięć tysięcy marek, które mi przekazał, stanęli masowo po stronie Giovanniego. Co więcej, Giovanni kazał dostarczyć mi głowę Tommasa, pisząc, że jego ludzie znaleźli go już zdekapitowanego, pomyślał więc, że zapewne chcę być tym, który zapewni mu chrześcijański pochówek. I tak oto w kilka lat Giovanni odzyskał pełną kontrolę nad wyspą.

Krucjata otworzyła mi oczy. Wróciłem do Italii bardziej niż kiedykolwiek świadom moich cesarskich praw oraz bogaty w Wielkie Odkrycie, które zaprzętało mi głowę. Wiedziałem jednak, iż największe klody pod nogi rzucali mi ci, na których oparcie niegdyś liczyłem. Czyli papież i syryjscy baronowie.

Ale ja miałem coś, o czym oni nie wiedzieli. I co przyniesie mi zwycięstwo. Dlatego właśnie Giovanni i jego przyjaciele templariusze dopuścili się świętokradztwa wobec mnie.

Kiedy przebywałem w Ziemi Świętej, papież za pomocą zdrady i oszustwa zajął jedną z moich fortec, zwaną Montecassino, korzystając z usług swojego złowrogięgo opata. Obiecał zadać więcej szkód, ale nie mógł, gdyż moi wierni poddani czekali na mnie. Zaczął więc rozpowszechniać fałszywe informacje o mojej śmierci i zmusił kardynałów do potwierdzenia tego przysięgą i do stwierdzenia, że mój powrót nie jest możliwy. Kardynałowie dołożyli wszelkich starań, by oszukać ludek i przekonać go, że nikt lepiej od samego papieża nie będzie zarządzał moimi włościami i baczył na nie w imieniu mojego syna.

Owe przysięgi mężów, którzy powinni być szlachetnymi kapłanami wiary i godnymi następcami Apostołów, zwróciły przeciwko mnie tłumy zbrodniarzy i prostaków.

Ale Skarb, jaki odkryłem, da mi wielką przewagę nad papieżem. I podniesie z upokorzeń. Wtedy kiedy ja tego zechcę i ja o tym zadecyduję. Kiedy dowiedziałem się, kto przesłał Grzegorzowi fałszywą wieść o mojej śmierci, pojąłem, co chciał mi przekazać Tudela w chwili agonii. Wyjaśnił mi..."

Siady i fantazje

W tym miejscu Błogosławiona Księga urywała się. Jak gdyby brakowało kilku stron. Podniosłem oczy na Benjamina. Zobaczyłem, że siedzi nieruchomo na sofie. Jego usta poruszały się, jakby czytał dalej. Ale on nie czytał, lecz mówił. Poprosiłem, aby mówił głośniej, gdyż go nie słyszę. Przeprosił. Był poruszony. Wyjaśnił, że starał się uzupełnić brakującą część.

Zaczął od Mojżesza i jego rodziny, zgłębiając tę złożoną tematykę, gdyż jedynie poznawszy, co wydarzyło się przed trzema tysiącami lat, mógł dopełnić zagubione stronicę Błogosławionej Księgi.

- Albo nigdy nie spisane - skomentowałem.

Pokręcił głową na mój sceptycyzm. Zdradził mi, że doszedł do wniosku, iż po rodzinie wielkiego przywódcy ślad zaginął w jednym określonym celu. Była tak znaczącą rodziną, że nie mogła przepaść bez słuchu, nie pozostawiwszy żadnych śladów, zatem taką decyzję musiał podjąć przynajmniej jeden z jej członków.

Wtedy zaszło coś niespodziewanego. Mój sekretarz, ojciec Ramon, zapukał i wszedł, nie czekając na odpowiedź, wyraźnie zażenowany. Tuż za nim zaś Nuncjusz, który z szerokim uśmiechem i nie wyrzekłszy ani słowa zajął miejsce na sofie

obok ojca Benjamina. W tym czasie ojciec Ramon w sposób tendencyjny tłumaczył się, że nie mógł nie wpuścić go do gabinetu. A w końcu, nie ośmielając się spojrzeć mi w oczy, uklonił się lekko - sam nie wiem w którą stronę, gdyż między nami, zakonnikami, taki zwyczaj nie panował - i wyszedł, zamykając delikatnie drzwi za sobą.

Nie wiedziałem czy zareagować, informując Nuncjusza, iż jego wtargnięcie przypomina najazd i że przyjmuję tylko osoby, które wcześniej umówiły się na spotkanie ze mną. Ale ponieważ on już tu był, a co więcej, reprezentował Rzym, postanowiłem nie prowokować polemiki. Niczego bym nie zyskał, a tylko zaostriżył sytuację. Mogłem co najwyżej w duchu pożalić się na jego brak wychowania i wrażliwości, bacząc, aby tego nie okazać, przynajmniej do chwili, kiedy otrzymam jakieś wyjaśnienie.

Nuncjusz wyglądał tak, jakby słyszał słowa, które przevalały się po mojej głowie, i zrećźnie mnie ubiegł. Powiedział, że w pierwszym rzędzie przeprasza za najście bez uprzedniego umówienia się na spotkanie ze mną - posłużył się moim zdaniem. Dodał, że zawsze jestem zajęty i być może jest to jedyny sposób, aby mnie zobaczyć. Ponieważ nie wykazywałem żadnej reakcji, wykrzyknął:

- A poza tym, wieloobny ojczu, nie dokończyliśmy rozmowy o tej tajemniczej sprawie, dla której pojawiłem się w Jerozolimie.

Coś mnie tknęło. Najpierw popatrzyłem na Benjamina, potem na Nuncjusza. I dostrzegłem pewną zażyłość między nimi. Nie zorientowałem się wcześniej, gdyż nigdy nie widziałem ich razem. Ale kiedy Nuncjusz wszedł do gabinetu - nagle to sobie uświadomiłem - skinął w stronę Benjamina, jak gdyby już się znali, a Benjamin odpowiedział mu w ten sam sposób.

Swędziały mnie ręce, nie pamiętałem, kiedy ostatni raz przyjąłem kroplówkę. Spodziewałem się wyrzutów ze strony doktora Leibowitza i siostry Matildy. Na dodatek czułem, jak w mózgu kłębi mi się coraz więcej niejasnych pytań. Było to nieznośne uczucie: chciałem się go jak najszybciej pozbyć. Dlatego błyskawicznie obmyśliłem strategię i zaatakowałem:

- Od jak dawna się nie widzieliście? - I nie dając im czasu na odpowiedź, ciągnąłem dalej:

- Wygląda mi to na spotkanie starych przyjaciół. Ale musicie udzielić mi kilku wyjaśnień, jeśli macie ochotę. Gdyż co chwilę prawda was dotycząca ulega zmianie. Benjaminie, nie wyjawileś mi jeszcze pewnych aspektów swojej przeszłości, a ekscelencja naprawdę jest Nuncjuszem, czy może kimś innym? Pytam, gdyż jakiś czas temu przyjąłem człowieka, który podawał się za brata, a nawet przedstawił się jako minister generalny, był natomiast łotrem, oszustem i zabójcą.

Chyba przesadziłem z porównaniem. Nuncjusz - jego samokontrola była godna podziwu - nie wykazał żadnego oburzenia. Kontynuowałem więc w tym samym tonie:

- Z pewnością ekscelencja wie o istnieniu tego, co Benjamin nazywa Błogosławioną Księżą, pomińmy więc konwenanse i proszę mi wyjaśnić, na czym polega tajemnica i co ja mam z tym wspólnego.

Nuncjusz spojrział ze zmieszaniem, jakby był przekonany, że już dawno o wszystkim wiem. Potem zwrócił się do Benjamina poufale:

- Powiedziałeś mu więc o Błogosławionej Księżce?

Benjamin potwierdził.

- A o reszcie?

Pokręcił przecząco głową. Nuncjusz westchnął głęboko i stwierdził, że postara się mówić zwięźle i zrozumiale. Istnieją

inne dokumenty oprócz Błogosławionej Księgi, nie zdradził jednak, jakie. I dokończył opowieść Benjamina.

Krucjata Fryderyka pozostawiła wiele nierozwiązanych problemów zarówno na Cyprze, jak i w Ziemi Świętej, ale cesarz nie przejmował się nimi zbyt. I chociaż źle obliczył siły przeciwnika, lekceważąc ich faktyczny stan, zachował spokój. Dlaczego? Fryderyk nie mógł być aż tak nieprzezorny, nieuważny i powierzchowny. A zatem było coś więcej.

Nuncjusz mówił, a ja rozmyślałem nad dwuznacznościami, nad typem relacji, jaka łączyła go z Benjaminem, i nad powiązaniem z Szejkiem, mistrzem mistyfikacji. A także nad tragiczną śmiercią Jonesa, jeśli faktycznie tak się nazywał, i nad tym, co łączyło ją z tą trójką?

Być może prowadzili jakąś grę, z sobie tylko znanych powodów konstruując przeszkody i knując intrygi, ale dalej nie rozumiałem, jaką ja w tym wszystkim odgrywałem rolę i dlaczego wyglądało na to, że znajduję się w samym środku historii. Tylko jakiej historii? Nie widziałem żadnego sensu. Nikt przecież nie poprosił mnie, jako archeologa, o pomoc. Choć pomogłem, w niewielkiej mierze, Magowi. Powiedzmy, że podniosłem go na duchu.

Jedyną realną rzeczywistością w tamtej chwili był ból przeszywający moje ręce w coraz trudniejszy do zniesienia sposób. Nuncjusz tymczasem opowiadał dalej. Powoli dochodziłem do przekonania, że cierpienie w jakiś sposób wiązało się z rozdrażnieniem, jakie wzbudzały we mnie osoby, które napotykałem, albo problemy, z jakimi miałem do czynienia.

Tego typu refleksje zajmowały moją uwagę w chwili, kiedy Nuncjusz podejmował kwestię rodziny Mojżesza. Stwierdził, że całkowicie zgadza się z ojcem Benjaminem oraz że

jego badania z wielkim prawdopodobieństwem wykazały, iż kuszycką żoną Mojżesza była Sefora. Napisane to było w apokryficznym tekście Starego Testamentu, być może z III wieku przed Chrystusem, gdzie Jetro i Sefora określani zostali mianem Kuszytów. Istniało jednak jeszcze jedno pytanie. Jako że dla ludu izraelskiego rodzina i dziedzictwo stanowiły fundamentalną kwestię, komu przypadła najważniejsza w tamtej epoce świątynia, świątynia w Szilo?

Nuncjusz popatrzył na mnie. Jego pytanie było raczej retoryczne. Ja zaś oglądałem dłonie i oswajałem ból. Losy Mojżesza, o jakich właśnie mi opowiedział, nie dość że znałem, to jeszcze uważałem po części za owoc literatury i fantazji. Zatem nie przykładałem do nich zbyt wielkiej wagi. Wtedy Nuncjusz wyciągnął z kieszeni kartkę papieru. I pokazał mi ją. Powiedział, że chodzi o kserokopię fragmentu listu Fryderyka II. Poprosił, abym przeczytał. Pomyślałem w duchu, że wszystkie dokumenty, jakie dotychczas widziałem, są niepełne, a poza tym mogli je równie dobrze napisać wspólnie, on i Benjamin. Tylko po co? Z takim nastawieniem i z palącymi rękoma przeczytałem z musu słowa Fryderyka skierowane do kogoś, kogo imię nie zostało podane. Rzecz jasna brakowało początku:

„To, co wydarzyło się w Ziemi Świętej, było osobliwe. Na początku templariusze okazywali nam przyjaźń, potem doprowadzili do konfliktu ze mną. Rozkazałem - nie w celu prześladowania ich, lecz aby sprawiedliwości stało się zadość - by w ramach odpowiedzi na groźby zburzono ich garnizon w Akce. A początkiem wszystkiego było coś, czego nigdy nie powinienem był uczynić. Nie wiedziałem, kiedy i w jaki sposób dowiedzieli się o tym. Poza tym sprzeciw patriarchy Herolda, by uznać mnie za prawowitego króla Jerozolimy, który

to tytuł całkowicie mi się należał, uznałem za skandaliczny. Wtedy wszystko stało się dla mnie jasne.

To templariusze przedstawili mnie w złym świetle papieżowi. Cóż za potworni, niebezpieczni, pozbawieni miłości chrześcijańskiej przeciwnicy! Powołani do niejasnych i niegodnych sprawek, a nie dla chwały Bożej. Dlaczego spiskowali, aby mnie wyeliminować?

Dlaczego? To ja odkryłem Wielką Tajemnicę. Ale poczekam na właściwą chwilę, aby ją objawić. I zwyciężę w wojnie z papieżem. On sądzi, że już mnie pokonał, ale nie wie, że moja zemsta będzie okrutna i niesłychana, a ci wierzący, którzy widzą we mnie dzisiaj nieprzyjaciela, uznają za jedyne go cesarza, świętszego od samego papieża. Znalazłem to, czego przekłęci rycerze szukali od dawna. Gdyż Pan wybrał mnie, a nie ich. Oto przyczyna, dla jakiej Rocelin de Vichers, Arnaud de Chateaufort, Rupert de Montfort i pozostałych sześciu zastawiło na mnie zasadzkę.

Istnieje jakaś wyższa siła, która kieruje nami w odkryciach, ale możliwości leżą również w nas, w najgłębszych pokładach jestestwa, chociaż z pozoru ich jeszcze nie dostrzegamy. We mnie błąkało się przeświadczenie, że Ziemia Święta ofiaruje mi wielkie objawienie. Między innymi dlatego, że Tudela mi o tym powiedział. Ale on był astrologiem, a prawda czasami podąża w różnych kierunkach, i to zbyt długimi krokami. Tudela dał mi klucz. A potem został zabity przez najemcę Rocelina. A kiedy zastawiono na mnie zasadzkę, ja ich kazałem..."

List, czymkolwiek był, urywał się w tym miejscu. Benjamin obserwował mnie, kontrolując wyraz twarzy i reakcje. Ale ja byłem niewzruszony. Nuncjusz stwierdził donośnie, że mój poprzednik znał prawdę, zabrał jednak swój sekret do grobu. A Rzym jest zaniepokojony.

Ręce swędziały mnie nieznośnie. Powiedziałem, że mam spotkanie i że zobaczymy się wkrótce. Benjamin nie mógł opuścić Najświętszego Zbawiciela, a zatem chcąc nie chcąc mieliśmy się kontaktować. Nuncjusza wolałem unikać. Przyjrzał mi się uważnie, zanim wyszedł z gabinetu. W jego oczach czaiło się coś na kształt nadziei, co wprowadziło mnie w osłupienie. Wyglądało na prośbę o pomoc. Ale w świetle opowieści, jakie usłyszałem, było to niemożliwe. Ja jestem kapłanem i naukowcem, a on i Benjamin - dwójką duchownych zbyt różnych ode mnie, o celach trudnych do pogodzenia z moimi. Na odchodnym powiedział, że dobrze będzie jeszcze porozmawiać. Żywił przekonanie, że Vidigal coś mi przekazał.

Odrzekłem z wyraźnym poirytowaniem, że Vidigal nie przekazał mi niczego, zostawił jedynie listy, których jeszcze nie otworzyłem.

Nuncjusz popatrzył z niedowierzaniem, a Benjamin pokręcił głową bez przekonania. Znalazłem się na pozycji obronnej. Doszedłem do wniosku, że nie mogą wiedzieć, iż Vidigal otrzymał ode mnie obrożę. Która zresztą nie przedstawiała żadnej archeologicznej wartości. Postanowiłem wykorzystać spryt. Spytałem, czy podczas spotkania z Vidigalem mój przyjaciel poinformował go o czymś, czego ja nie wiedziałem.

Nuncjusz wpadł w pułapkę. Odpowiedział, że odwiedził go ze dwa razy w szpitalu, były to zwyczajne grzecznościowe wizyty, jako że poznali się w przeszłości. Nie sprecyzował, kiedy i gdzie. Vidigal między jednym słowem a drugim opowiedział mu o moim odkryciu w Betanii. Zrozumiałem, że Nuncjusz, zupełnie jak Szejk, zręcznie miesza prawdę z kłamstwem. Poza tym nie wierzyłem, że Vidigal był zdolny do tego rodzaju zwierzeń. Był bardzo zamknięty i nie sądziłem,

aby choroba zmieniła jego charakter i zwyczaje. Nuncjusz zakończył, prosząc bezczelnie, abyśmy wspólnie przeczytali listy Vidigala.

- Jak sądzę, są to z pewnością refleksje religijne - dodał. - Jesteśmy kapłanami i możemy dzielić się łaską Pana.

- Vidigal umierał - odrzekłem mrozącym głosem - kiedy ekscelencja raczył go odwiedzić.

Nuncjusz odparł, że skoro Vidigal przyjął go, najwyraźniej był w pełni władz umysłowych. Ja w każdym razie zrealizowałem swój plan: wytworzyłem krepującą atmosferę potrzebną, by pożegnać i jego, i Benjamina, i nie wracać do tematu wspólnej lektury listów Vidigala. Moje milczenie było tak wymowne, że Nuncjusz musiał, choć niechętnie, przyjąć do wiadomości, że spotkanie dobiegło końca.

Benjamin, który w tym czasie przemienił się w postać drugoplanową - być może był nią od początku, a ja zwyczajnie przypisałem mu przesadne znaczenie - wrócił do swojego pokoju. W milczeniu zszedłem z Nuncjuszem po schodach klasztoru. Za furką on skręcił w lewo, w stronę nuncjatury, a ja w prawo, ku Bramie Nowej, kierując się w stronę szpitala. Na odchodnym, siłą się bezskutecznie na życliwość, Nuncjusz powiedział z uśmiechem i wyrozumiałym tonem:

- Przypuszczam, że udaje się ojciec do Saint Louis. Proszę nie zaniedbywać kuracji.

- Oczywiście.

Przestałem się już zastanawiać, skąd zna każdy mój najmniejszy ruch. Być może je przewidywał. Po drodze zastanawiałem się nad tym, dlaczego nie potrafię z żywym zainteresowaniem zaangażować się w całą sprawę. W przeszłości, przy okazji innych skomplikowanych sytuacji, bywało inaczej. Dzisiaj stan ducha i niestabilny nastrój, wynikający

z choroby, oddalały mnie od rzeczywistości. Jeśli oczywiście to, co przeżywałem, można było nazwać rzeczywistością.

Z takimi myślami wszedłem do Saint Louis i poszukałem siostry Matildy. Znalazłem ją w szpitalnej kaplicy. Modliła się. Podeszedłem i lekko dotknąłem jej prawego ramienia. Przeżegnała się i popatrzyła z wyrzutem. Powiedziała, że nie chce mi robić wymówek, ale moje zachowanie utrudnia proces zdrowienia. A to traktowała już także jako swój problem.

Wyszliśmy. Podążyłem za nią, podczas gdy ona ciągle coś mruzczała, ale tak cicho, że nie byłem w stanie dosłyszeć słów. Weszliśmy do pokoju położonego niedaleko tego, w którym leżał Vidigal. Białe ściany, łóżko, umywalka, krzyż nad drzwiami.

- To mój pokój! - zawołała.

Nie pojmowałem, czy był to znak przyjaźni, czy też za-brakło już dla mnie miejsca, a może Leibowitz postanowił rzucić na pastwę losu pacjenta, który nie chciał wyzdrowieć, i jedynie wyrozumiałość siostry Matildy dawała mi jeszcze jedną szansę.

Kiedy wbiła igłę, spytałem, czy może dla mnie zrobić coś, co lubi, a co właściwie uznaje za swoją drugą pracę: czy przeczyta pierwszy list Vidigala? Zaczerwieniła się. Poprosiłem, aby z prawej kieszeni kurtki wyjęła kopertę. Zrobiła to, otworzyła ją, wyciągnęła dwie kartki papieru. Jej głos zdradzał wzruszenie, ale także czułość i szacunek.

Odkrycie Vidigala

„Drogi Matteo, kiedy spojrzysz na te słowa, ja będę już w niebie. Mam nadzieję, że moje refleksje okażą się pożyteczne. Zacznę od kwestii, której nigdy nie poruszaliśmy. Może dlatego, że nie uważaliśmy jej za temat godny takich naukowców jak ty i ja. Nie chodzi o to, że nie jest poważny, lecz o to, że przynależy do sfery, którą ty określałeś zawsze jako «wielkie fantazje historii».

Wiesz już, o czym mówię? O grobie Mojżesza i o Arce Przymierza. Matteo, sądzę, że dzieje Arki Przymierza są ściśle związane z Wielkim Prorokiem i jego sekretami. Arka była tajemniczym miejscem, w którym Wielki Prorok ukrył najważniejsze i najbardziej niebezpieczne dokumenty. I to prawdopodobnie on wymyślił plotkę, że jedynie muśnięcie jej spowodowało pewną i okrutną śmierć.

Spróbuj wyobrazić sobie tamte czasy. Mojżesz był z pewnością człowiekiem wtajemniczonym, ale nie w dziedzinie magii, lecz architektury, medycyny, prawa. Musiał być mężem o tak wielkim poszanowaniu, że został przyjęty przez samego faraona. Rozpoczął z nim pertraktacje, które pozwoliły plemieniu pasterzy, żyjącemu w delcie Nilu, a które Mojżesz przekształcił w swój lud, wyjść z Egiptu. Czy naprawdę był natchniony przez Boga? Odpowiedź twierdząca, Matteo, jest aktem wiary. Tak jak aktem wiary jest wierzyć,

że Dziesięć Przykazań otrzymał bezpośrednio od Pana na górze Horeb, na Synaju.

Ale nawet gdyby Mojżesz sam wykuł tablice, niczego by to nie zmieniało, gdyż zasady te są tak mądre, że mimo wszystko każą dostrzegać w nich Boską rękę. A może były alegorią, która wskazywała wszystkie prawa, jakie Mojżesz dał ludowi izraelskiemu? Poza tym w Arce mogły zostać ukryte egipskie papirusy zawierające istotne informacje naukowe.

Mojżesz był wielkim mędrce, który cało wyprowadził swój lud. Jego władza brała się z wiedzy, jaką posiadał, ta zaś pochodziła z Arki, Boskiego symbolu i źródła jego autorytetu. Dobrze wiesz, jak zbudowana była Arka. Biblia podaje precyzyjny opis. Była to skrzynia z drewna akacjowego, powleczone złotem. Również wieko pokryte było złotem i przedstawiało dwa cherubiny z rozłożonymi skrzydłami, które niemalże stykały się ze sobą. Gdyby wykonano je z czystego złota, ważyłoby tonę. Wewnątrz - ciągle według Biblii - złożono trzy Tablice Prawa, laskę Aarona i kielich zawierający odrobinę manny, która nakarmiła Kuzynów od Ściany na pustyni. Długość Arki wahała się między metrem dwadzieścia a metrem trzydzieści, a wysokość i szerokość liczyły między sześćdziesiąt a osiemdziesiąt centymetrów.

W różny sposób interpretowano znaczenie Arki Przymierza. Dla ludu wybranego była symbolem przymierza z Bogiem. Ale stanowiła także skarbiec Boskiej wiedzy i utraconego słowa. Jej właściciel był panem poznania. Z archeologicznego punktu widzenia, gdyby udowodniono jej istnienie, stanowiłaby niezwykle ważne znalezisko, nie tylko ze względu na starość, ale również z racji religijnej wymowy. Dla łowcy antyków, parającego się zdobywaniem przedmiotów dla kolekcjonerów, Arka posiadałaby wartość przewyższającą łączną cenę wszystkich dzieła Leonarda.

W pewnym momencie Arka przepadła. Tak jak rodzina Mojżesza. Zastanów się nad tym: przed wzniesieniem Świątyni przez Salomona informacje o niej pojawiają się ponad dwieście razy. Ale od kiedy Salomon zamknął ją w przybytku *Sancta Sanctorum*, nie pada nawet najmniejsza wzmianka.

Pewien architekt, Kuzyn od Ściany, Benjamin Ritmayer, dobry przyjaciel naszego ojca Virginio Corbo, zdradził mu, że na wykopaliskach na Wzgórzu Świątynnym odkrył salę, która mogła być owym *Sancta Sanctorum*, a w jej wnętrzu niszę o tych samych wymiarach co te przypisywane Arce Przymierza. Kiedy rozpowszechnił tę informację, spotkał się z ostrą opozycją środowisk naukowych".

Siostra Matilda przerwała i podniosła oczy znad kartek. Popatrzyłem na kroplówkę, bo być może płyn już się skończył. Ale jeszcze trochę go było, wydawało mi się nawet, że spływa wolniej niż zazwyczaj. Miną wyraziłem pytanie, co takiego się wydarzyło. A przede wszystkim, jakie myśli krążą jej po głowie. Milczała przez dwie minuty. Taki czas zdaje się być wieczny, jeśli podejmujemy temat, który naprawdę nas interesuje. Albo i więcej, jeśli dotyczy lektury szczególnie znaczącego dokumentu, który może pomóc rozwiązać intrygę. Te wszystkie myśli rozwiały się w jednej chwili, kiedy siostra Matilda powiedziała:

- Zbliżamy się do rozwiązania, ojcze Matteo. Jestem realistką i optymistką. Proszę mi zaufać.

Odrzekłem, że oczywiście ufam jej i jeśli jest coś, co ona wie, a ja nie, to proszę, by mi to zdradziła. Rzuciła w moją stronę jeden ze swoich krzepiących uśmiechów, po czym odchrząknęła - z pewnością nie było to podyktowane potrzebą - i czytała dalej:

„Pamiętasz Matteo? Biblia podaje, że kiedy po siedemdziesięciu latach niewoli babilońskiej Kuzyni od Ściany

powrócili do Jerozolimy, zwrócono im zagrabione święte przedmioty, i wymienia je po kolei. Ale nazwa najcenniejszego z nich, Arki Przymierza, nie pada. Istnieją trzy hipotezy: albo nie została zagrabiona, albo uległa zniszczeniu, a może została przez kogoś ukryta podczas oblężenia. Dla Babilończyków posiadałaby podwójną wartość. Ekonomiczną, ze względu na ilość złota, jakiej użyto, konstruując ją, religijną i prestiżową. Jeśli bowiem Arka Przymierza gwarantowała Kuzynom od Ściany wyjątkową rolę ludu wybranego, zabranie im tego symbolu oznaczałoby zdegradowanie ich i uśmiercenie religii Jahwe.

Matteo, pamiętasz, że w Drugiej Księdze Machabejskiej napisano wyraźnie, iż Jeremiasz wstąpił na górę Nebo i ukrył Arkę w grocie, do której wejście zasypał? Ale to wcale nie oznacza, że święte miejsce znajduje się na Nebo, lecz zwyczajnie, że z Nebo można je zobaczyć.

Mojżesz żył w Egipcie, pośród najbardziej cywilizowanego w tamtej epoce narodu. Wielokrotnie obaj zastanawialiśmy się nad umiejętnością i technicznym przygotowaniem tego ludu. Nie można zbudować piramid, jeśli nie jest się w stanie wykonać złożonych obliczeń. Co więcej, struktura społeczna musiała być bardzo zaawansowana, gdyż niewolnictwo było prawie że nieobecne. Cheops przy konstrukcji swojej piramidy zatrudnił co najmniej sto tysięcy robotników. Gdyby warunki życia nie były godne, praca stanęłaby w miejscu. Znalezione papirusy, na którym robotnicy pracujący dla faraona skarżyli się na pożywienie, jakie im podawano. Ich żądania zostały natychmiast uwzględnione.

Pomyśl o ich religii. Jest o wiele bardziej duchowa, niż zazwyczaj się uważa. Bogowie przyjmują postacie rozpoznawalne przez człowieka tylko dlatego, że człowiek w swojej niedoskonałości nie jest w stanie pojąć, czym jest duch,

czysta istota. Jednym słowem, Mojżesz był wykształconym mężem, a jego lud wcale tak źle się nie miał. W delcie Nilu, gdzie Kuzyni od Ściany osiedlili się, warunki były jeśli nie dobre, to przynajmniej możliwe do zaakceptowania jak na wymogi tamtych czasów.

Zastanów się teraz nad Wyjściem. Dla mnie, i nie tylko dla mnie, jest ono tajemnicą. Dlaczego Kuzyni od Ściany opuścili Egipt? Nie bardzo wierzę w prześladowania złego faraona czy w klęski żywiołowe. Przypuszczam raczej, że Mojżesz ofiarował ludowi sen, a on przecież był jednym z największych przywódców i legislatorów w dziejach świata. Obiecał Ziemię Obiecaną, czyli państwo. Aby osiągnąć ten cel, warto było cierpieć pragnienie, głód, choroby, przejść przez pustynię. A pojmuję ją nie tylko jako miejsce geograficzne, ale także jako symbol.

Siła Mojżesza leżała nie tylko w jego osobowości, ale również w wiedzy. Przekazanie Tablic przez Boga przemieniło go w Wybrańca, a w związku z tym jego rodacy stali się Ludem Wybranym. Jeśli moje rozumowanie przypadło Ci do gustu, podąż za nim jeszcze przez chwilę z cierpliwością. Nie opowiadam Ci rzeczy nowych, łączę jedynie fakty i domysły.

Ale może moje wnioski nie przekonują Cię. Są jednak owocem procesu, jaki nakreślił się w mojej głowie, wolnej w tych ostatnich dniach od wszelkich obowiązków, jak sam dobrze wiesz. Nie rozpaczam, śmierć to stary kapitan i chociaż konieczność opuszczenia Jerozolimy sprawia mi niezmierny ból, jestem gotów przepłynąć ocean, żagle są już rozpięte, a wiatry przychylne.

Matteo, jeśli Arka Przymierza naprawdę była skarbcem wiedzy i poznania, a zatem posiadała ogromne znaczenie, rzeczą naturalną wydaje się, że rodzina Mojżesza ukryła się,

aby ochronić grób Wielkiego Przywódcy. W tym miejscu wnioski są oczywiste. Jeśli Arka istnieje, znajduje się w grobie Mojżesza.

Przyjrzyjmy się poszczególnym legendom. Gdyby została przez templariuszy przeniesiona w jakieś tajne miejsce i przez nich pilnowana, autorytet i siła zakonu byłyby tak wielkie, że uniemożliwiłyby tragedię, prześladowania i rzeź ze strony Filipa Pięknego. Gdyby faraon Szizak przewiózł ją do Egiptu, pozostałyby ślady na jakimś papirusowym dokumencie. A gdyby została ukryta pod Wzgórzem Świątynnym czy nawet pod Golgotą, odnaleziono by ją.

Przenieśmy się więc do Betanii, którą wyraźnie widać z góry Nebo.

Pielgrzymi nie zatrzymujący się nad Jordanem i podążający wewnątrz małej doliny, którą Przyjaciele ze Skąły zwą Wadi Kharrar, robili postój przy źródle wypływającym dwie mile dalej. W tym miejscu na pobliskiej wyżynie mały kościółek otoczony mnisimi celami przypominał im o miejscowości Betania, za Jordanem, gdzie Jan udzielił chrztu Jezusowi.

Razem z Tobą przemierzyłem drogę, którą dobrze znasz, nie aby Cię zanudzić, lecz abyś podążył za moim tokiem rozumowania. I oto, Matteo, wręczam Ci moją hipotezę w kwestii miejsca, w którym natknąłeś się na szkielety i obrożę. Dziękuję Ci, że moim ostatnim dniom nadałeś cel. Odczytałem wygrawerowane znaki. Po jednej stronie znajduje się przypuszczalnie twarz Mojżesza, po drugiej nałożone na siebie oblicza Mojżesza i Hator. To nałożenie, Matteo, zwie się Bafometem i było symbolem templariuszy. Ten sam symbol znajduje się na jednym ze zworników sklepienia w Castel del Monte, tajemniczym zamku Fryderyka II w Apulii. Jako naukowiec, rozważ te elementy. Być może musisz wrócić do

miejsca, skąd wzięłeś obrożę. Może jesteś krok od odkrycia Grobu Mojżesza i Arki Przymierza. Albo przeczytałeś jedynie fantazje brata, który wkrótce spotka się ze świętym Franciszkiem.

Czym jest ta ulga, która teraz mnie ogarnia? To kropla wieczności, gdyż wkrótce umrę. Chociaż chciałbym razem z Tobą przeżyć zakończenie tej historii".

Moje oczy były wilgotne. Słowa Vidigala ścisnęły mnie za serce swoją słodyczą. Siostra Matilda troskliwie złożyła kartki, podniosła je do warg, ucałowała z wielkim wzruszeniem i powąchała, jak gdyby chciała poczuć zapach Vidigala. A może tylko wydawało mi się? Potem włożyła je do koperty i oddała mi ją, a z kieszeni habitu wyjęła obrożę, którą również mi przekazała. Wyglądała jak nowa. Obróciłem ją i zobaczyłem wyryte znaki. Siostra Matilda powiedziała poważnym głosem, że muszę zachować wielką ostrożność, gdyż wydaje się jej, że ktoś zastawił na mnie misternie plecioną zasadzkę. I to ją martwiło. Zdradziłem jej więc ostatnią rozmowę z Benjaminem i Nuncjuszem. Odparła, że jej zdaniem umówili się za moimi plecami, a ja stałem się centralnym punktem historii.

Nie przerywałem jej, chociaż miałem ochotę powiedzieć, że chodzi tu o moje życie, a nie o jakąś powieść. Ona dalej mówiła, wyjaśniając, że to ja jestem głównym bohaterem. Problemem było zrozumieć, kiedy się nim stałem: czy na początku, czy też później. Z uwagą słuchałem jej argumentacji. Może za bardzo zasugerowała się przeczytanymi książkami, a może nie. Zakończyła, stwierdzając, że trafiłem w sam środek powieści, której ja nie pisałem. Ale to tylko przypadek sprawił, że w tym szczególnym okresie, naznaczonym przez chorobę dłoni, pojechałem w małą podróż do Betanii, gdzie niejaki Mag wręczył mi obrożę i wepchnął do historii, która nie

była moją. Co takiego zatem posiadałem, że mimowolnie
stałem się jej pierwszoplanową postacią?

Wtedy uświadomiłem sobie, że siostra Matilda zna już od-
powiedź.

Niespodzianki

- Jest ojciec wielkim archeologiem. Ma ojciec wiedzę, jakiej na próżno by szukać w całej Ziemi Świętej. Oto dlaczego stał się ojciec bohaterem wydarzeń. Proszę tylko pomyśleć. Ktoś potrzebuje ojca autorytetu, jednym słowem, aby ojciec podpisał się pod odkryciem swoim niepodważalnym imieniem.

Spojrzała na mnie bacznie. Liczyła, że jej słowa skłonią mnie do refleksji. Dłonie sprawiały mi w tej chwili mniej bólu. Wróciłem do konwentu Najświętszego Zbawiciela i zamknąłem się w gabinecie. Kiedy doszedłem do konkretnych wniosków, zadzwoniłem i zaproponowałem rozmówcy spotkanie w „American Colony”.

Rozsiadłem się wygodnie na sofie, starając się nie myśleć o niczym. Chyba zasnąłem. Tak zastał mnie ojciec Ramon. Przeprosił, pukał, ale ja nie odpowiadałem, więc się zaniepokoił i wszedł. Spojrzałem na zegar wiszący na ścianie za biurkiem. Musiałem pospieszyć się na spotkanie. Sekretarz odprowadził mnie do samochodu. Spytał, czy życzę sobie, aby mi towarzyszył. Odpowiedziałem, że nie ma takiej potrzeby. Jego troska sprawiła mi przyjemność, ale nigdy nie będzie w stanie zastąpić Vidigala.

Niebo było bezchmurne, a powietrze suche, tak jak lubię. Nieznośny upał odszedł już w niepamięć. Taka jest Jerozolima.

Zmienna i zuchwała, pomimo religii, które ją przenikają i oplatają.

Na wysokości Bramy Damasceńskiej skręciłem w lewo i w kilka minut znalazłem się przy „American Colony”. Zaparkowałem niemalże przed samym wejściem. Skierowałem się do baru. Zobaczyłem go przy stoliku naprzeciwko drzwi. Przez chwilę mój oddech był krótki i urywany, jak wtedy, kiedy skaczymy do wody, która jest zimniejsza, niż przypuszczaliśmy. Nie miałem wyjścia: musiałem stawić mu czoła. Pił coś. Jego twarz o ciężkich rysach, precyzyjnie wygolona, rozjaśniła się, gdy mnie zobaczył. Wszystko w nim jak zwykle zdradzało wielką siłę. I totalny brak skrupułów. Był podejrzliwy, wyglądał jak tygrys gotowy do skoczenia na ofiarę.

- Witaj, Matteo! - wykrzyknął z przesadnym entuzjazmem.

Chwilę patrzyłem na niego w zamyśleniu. Szejk wstał, wyszedł w moją stronę, spytał z przekonującą troską o stan moich dłoni i zaproponował aperitif.

- Matteo, pozwól sobie na Martini. Mają tu nowego barmana, bardzo zdolnego, pracował wcześniej w „Excelsiorze” na weneckim lido.

Podziękowałem i spytałem, czy przez przypadkiem kogoś nie brakuje. Nie odpowiedział, za to przyjrzał mi się uważnie. W jego oczach czaił się różowawy błysk, który już przy innych okazjach zauważyłem, a który dodawał im niebezpiecznego wyrazu. Pokręcił głową z podziwem.

- Matteo, nic nie umknie twojej uwadze!

Odparłem, że zbyt późno wszystko zrozumiałem, więc nie jestem tak spostrzegawczy, jak sądzi.

- Matteo, powinieneś już mnie znać na tyle dobrze, by nie robić mi przesłuchania. Oczywiście piekielnie korzystną sprawą dla mnie byłoby teraz zmienić klimat. Przyznaję.

Ale mając dwie możliwości: porzucić wszystko, kiedy jestem tak bliski celu, albo pozostać, wybieram drugą. Istnieje pewna różnica, jak między dniem a nocą. Nasz bohater był prawdziwym patriotą i uczyni nas bogatymi. A ty będziesz mógł zafundować sobie złote protezy.

Stwierdziłem, że byłbym niezmiernie wdzięczny, gdyby od tej chwili przestał angażować moją osobę w swoje żarciki, a poza tym nazywanie Mojżesza patriotą wydawało mi się dosyć powierzchownym określeniem.

- W każdym razie - dodałem - chodzi o kwestię, nad którą nie mam zamiaru dyskutować. Bardzo się różnimy i gdybym chciał ci pomóc, biorąc na siebie wielką odpowiedzialność, nie byłaby to w żadnym razie moja decyzja.

- No właśnie - Szejk wzruszył ramionami.

- Ludzie oczekują pewnych korzyści z aktów, które już się dokonały - odciąłem się - ale chcą też zrzucić na kogoś innego odpowiedzialność za ich realizację. Czytałeś *Ojca Goriot* Balzaca?

- Jeszcze w szkole.

- Pamiętasz rozmowę Rastignaca i Vautrina, czy gdyby mogli skinieniem głowy zadać śmierć człowiekowi w Chinach i uzyskać dzięki temu ogromną fortunę, wykonaliby je? Pomyśl ten pochodzi od Rousseau.

Jego szeroka twarz zmarszczyła się w powolnym i szerokim uśmiechu.

- Kiedy generał wydaje rozkaz do ataku - powiedział - wie, że pewna liczba jego żołnierzy zostanie zabita. To jest wojna, a bogactwo zgarnia ten, kto wygrywa.

- Wojna jest głupia, pochłania wszystkich i wszystko.

- Ale nigdy nie cierpi na niestrawność - uciał.

Spojrzałem na niego krzywo. Założył ręce na piersi. Powiedział niemal błagalnym tonem:

- Matteo, ostrzegam cię, że jeśli nie skorzystasz z okazji, druga nie trafi ci się przez długi czas, a właściwie przez nie skończenie długi czas.

Nagle przypomniałem sobie o gwiazdach, na jakich przez chwilę spoczęły moje oczy, kiedy kilka dni temu spacerowałem w nocy po Jerozolimie. Wydawało mi się, że minęła cała wieczność, od kiedy ostatni raz siedziałem w barze w „American Colony”.

Szejk przywrócił mnie do rzeczywistości:

- Zarezerwowałem stolik na kolację. W tylnej sali. Lepiej, żeby naszej rozmowy nikt nie słyszał. *A propos*, twój żołądek z powodu rąk nie ma problemów w trawieniu wszystkich rodzajów potraw, prawda?

- To zależy - odrzekłem poważnie.

- Kazałem przygotować wyjątkowy stół, z dużą ilością dań i pieczoną baraniną po syryjsku. Cieszysz się?

Nie odpowiedziałem. Przeszliśmy do małej sali.

- A oto i nasz przyjaciel! Teraz jesteśmy już w komplecie - wykrzyknął Szejk.

Nuncjusz nagle pojawił się za moimi plecami. Nie słyszałem, jak nadchodził.

- Często się widzimy w tych dniach, wielbny ojcie - stwierdził światowym tonem.

Obdarzyłem go krótkim „No tak”. Nie byłem pewien, czy wiedział, że mnie tu spotka, czy też Szejk zrobił mu niespodziankę.

- Usiądź! - zwrócił się do mnie niemal rozkazująco.

Kelner zastawił stół dwudziestoma talerzykami pełnymi różnych sosów, sałatek, szaszłyków.

- Wspaniale to wygląda! - zachwycił się Szejk. - Zamówiłem zmrożonego Chablis. Matteo, mam nadzieję, że będzie ci smakował.

Nałożył sobie na talerz sporą porcję, ale nie tak dużą jak Nuncjusz.

- Ekscelencjo, wreszcie posiłek jak należy! - skomentowałem.

Nuncjusz wymamrotał jakieś słowa, ale w ustach miał taką ilość jedzenia, że nic nie zrozumiałem. Szejk nalał do kieliszków i wznosił toast:

- Wiele lat temu poznałem pewnego młodzieńca, który miał wszystkie zalety, by zrobić błyskotliwą karierę. Należał do wielce szanowanej rodziny wojskowych i marynarzy i wiedział, jak zachowywać się w wielkim świecie, bez pychy i bez nieśmiałości. Był wykształcony i lubował się w malarstwie. Ośmielił się stwierdzić, że bywał śmieszny: chciał pozostać na fali, być nowoczesnym, więc w jego postawie dostrzec można było pewną przesadę, pragnienie, by olśnić, wstrząsnąć tym, co konwencjonalne, w głębi serca jednak jego miłość do sztuki była prostolinijna i szczerą. Uwielbiał Paryż i przy każdej nadarzającej się okazji jechał do niego, a mieszkał w pobliżu Turynu. Zatrzymywał się w małym hotelu w Dzielnicy Łacińskiej, gdzie spotykał się z malarzami i pisarzami. Wszyscy go lubili, gdyż zawsze był gotów wysłuchać ich opowieści i pochwalić pracę. Bawiło go słuchanie młodych malarzy i nieznanymi pisarzy, którzy z entuzjazmem mówili o rzeczach, o jakich jego koledzy po fachu nie mieli bladego pojęcia. Do Turynu powracał bez żalu i z wrażeniem, że miał okazję oglądać ciekawe i zabawne przedstawienie. Jego rodzice nie żyli, nie miał też rodzeństwa. Żył przekonanie, że brak więzi rodzinnych jest dużym plusem i pozwala mu zacieśniać znajomości z osobami, które sam wybiera. Matteo, czy nie odnosisz wrażenia, że to dosyć nieprzyjemny typ?

- Nie - Nuncjusz odpowiedział za mnie. - Wielu wartościowych młodych ludzi spogląda na przyszłość z cynizmem.

- W porządku - kontynuował Szejk. - Podczas jednego z wypadów do Paryża Fruttero, tak go nazwiemy, poznał łatyńskiego handlarza dziełami sztuki o imieniu Gutierrez. Zaprzyjaźnili się. Gutierrez miał kochankę w Paryżu, która zwała się Isabel. Pewnego wieczoru spytał Fruttera, czy nie zjadłby z nimi kolacji, z Isabel i jej przyjaciółką, Yvonne, akrobatką. Pomysł spodobał się Frutterowi, nigdy nie poznał bowiem żadnej mistrzyni akrobacji. Spotkali się w restauracji na Montparnasse. Yvonne miała na sobie długi płaszcz ze sztucznych nerek i szkarłatny kapelusz z ogromnym rondem. Wyglądała wulgarnie, nie była nawet ładna: szeroka płaska twarz, wielkie usta, zadarty nos, burza złotych farbowanych włosów, wielkie nieco wybałuszone oczy. Była mocno umalowana. Ale kiedy zaczęła mówić, Fruttero stwierdził, że jej głęboki i chrapliwy głos, jak gdyby dopiero co wyszła z przeziębienia, jest bardzo przyjemny dla ucha. Pod koniec kolacji Yvonne zaproponowała, aby odprowadził ją do domu. Miała małe mieszkanie w okolicy. Podeszli do zaniedbanego domu położonego przy raczej brudnej ulicy. Mieszkała na pierwszym piętrze. Nie zaprosiła Fruttera, by wszedł, a on nie próbował nalegać, na co Yvonne szczerze liczyła. Wrócił do hotelu i nie mógł zasnąć. Przewracał się w łóżku, myśląc o tym, jak się wygłupił. W końcu obiecał sobie, że następnego dnia wymyśli coś, aby przekreślić złe wrażenie, jakie musiał wywrzeć.

Nie tracąc czasu, udał się do Yvonne koło 11, aby zaprosić ją na śniadanie. Jej jednak nie było. Przesłał więc bukiet kwiatów i wrócił wieczorem. Wreszcie ją zastał, ale ona powiedziała mu, że boli ją głowa i nie może iść na kolację.

Fruttero wrócił do Turynu z nietypowym dla niego uczuciem niezadowolenia. Nie był przecież zakochany w tej kobiecie, żywił wobec niej nawet pewną niechęć, a jednak nie potrafił wybić jej sobie z głowy.

Minał miesiąc. Gutierrez zadzwonił z informacją, że Yvonne będzie przez dwa wieczory występować w teatrze w Turynie. Poszedł ją zobaczyć. Na scenie towarzyszyło jej dwóch mężczyzn, jeden korpulentny, drugi wątły. Wszyscy mieli na sobie śmieszne przylegające do ciała stroje z czerwonej bawełny i satynowe zielone rajtuzy. Akrobaci wykonywali niezdarne ćwiczenia, Yvonne zaś podawała im tylko chusteczki do otarcia potu po niezręcznych fikołkach. Wyglądała tak idiotycznie, że Fruttero zastanawiał się, jak w ogóle mogła go pociągać.

Mimo to poszedł do garderoby, aby się z nią przywitać. Wyglądała na uszczęśliwioną jego wizytą. Udali się razem na kolację. Przed wejściem Yvonne pocałowała go. Umówili się na kolejne spotkanie w Paryżu, w następnym tygodniu. Kiedy się znowu zobaczyli, Fruttero zapalał do Yvonne burzliwą namiętnością. Ona poprosiła go natomiast, aby nie był zazdrośny, jeśli czasami będzie się widywać z jakimś impresario. To tylko interesy. Fruttero przystał na kompromis i postanowił pojechać za nią w tournée.

Wziął urlop i jeździł od jednego prowincjonalnego miasteczka do drugiego, zamawiając zawsze skromny pokój w trzeciorzędnych hotelikach. Yvonne nie chciała, aby gościł ją w lepszych miejscach, twierdziła, że nie posiada odpowiednich strojów i swobodniej się czuje w miejscach, w których już była. Nie chciała też, aby jej koledzy z pracy oskarżali ją o to, że czuje się lepsza. Akrobaci natomiast traktowali Fruttera jak brata, zwracali się do niego po imieniu, żartowali z nim. Wszyscy podróżowali trzecią klasą, a on zajmował się

bagażami. Jego pasją były książki, ale nie otwierał ich przy Yvonne, gdyż ona się nudziła, czytając, i uznawała, że każdy, kto to robi, marnotrawi tylko czas.

Co wieczór chodził do teatru i patrzył na jej groteskowy występ. Musiał tolerować patetyczne przekonanie Yvonne, że jej praca jest sztuką. Gratulować jej, kiedy wszystko dobrze poszło, i współczuć, jeśli jakaś figura się nie udała. Ona często pod koniec przedstawienia kazała mu wracać do hotelu, gdyż „była zajęta”. Fruttero szalał wtedy z zazdrości. Wydawało mu się, że człowiek nie jest w stanie znieść takiego cierpienia. Yvonne wracała koło trzeciej, czwartej nad ranem i dziwiła się, że on jeszcze nie śpi. Ale jak mógł spać, kiedy serce rozdzierała mu rozpacz? Obiecał sobie, że nie będzie ingerował w jej życie, ale nie dotrzymywał słowa. Robił jej straszne awantury, bił ją. Wówczas ona traciła cierpliwość i mówiła, że jest już nim zmęczona.

Szejk spojrział na Nuncjusza:

- Dokończysz?

Nuncjusz wzruszonym głosem kontynuował opowieść:

- Poniżałem się przed Yvonne. Obiecywałem jej wszystko, czego tylko zapragnie, ofiarowywałem całą moją miłość, przysięgając, że przełknę każde upokorzenie, żeby tylko mnie nie zostawiała. To było potworne. A jednak czułem się tak szczęśliwy jak nigdy w życiu. Taplałem się w błocie z radością. Byłem zmęczony dotychczasowym życiem, a to nowe wydawało mi się cudowne i romantyczne.

Yvonne, brzydka i bez wyrazu, o zachrypniętym głosie, nadawała sensu moim dniom, moim godzinom. Ale jakże szybko umykały tygodnie! Czasami marzyłem o tym, aby porzucić karierę i związać swój los z losem akrobatów. Ale to były tylko mrzonki i zdawałem sobie sprawę, że nigdy się nie ziszczą. Nigdy poważnie nie traktowałem pomysłu, abym

mógł, kiedy czas urlopu minie, nie wrócić do mojego życia i do obowiązków, jakie z nim się wiązały. Mój chłodny i logiczny rozum podpowiadał mi, że to absurd poświęcić wszystko dla takiej kobiety jak Yvonne.

Nadszedł ostatni dzień. Nie mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Oboje byliśmy smutni. Ale ja wiedziałem, że ona żałuje jedynie końca przyjemnego przyzwyczajenia i dwadzieścia cztery godziny później znowu będzie pełna życia z nowym okazjonalnym towarzyszem, jak gdyby nigdy mnie nie było. Noc spędziliśmy objęci i we łzach. Gdyby poprosiła mnie, abym jej nie zostawiał, prawdopodobnie bym to uczynił, ale nie poprosiła, nawet jej to przez myśl nie przeszło, akceptowała mój wyjazd jako coś oczywistego i płakała nie dlatego, że mnie kochała, ale dlatego, że ja byłem nieszczerliwy, a jej było przykro. Rankiem spała tak głęboko, że nie miałem sumienia budzić jej, by wyszeptać „żegnaj”. Po cichu wymknąłem się z walizką w ręce z małego i brudnego pokoju w „Hotel Etoile” w Bayonne i wróciłem do domu.

Szejk wtrącił się:

- Wiesz już Matteo, co było jego domem? Parafia. Gdyż w tamtym czasie nasz Nuncjusz, który później zrobił wspaniałą karierę, był młodym proboszczem.

Czułem się zakłopotany. Szejk to zauważył.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego opowiedzieliśmy ci tę historię? To oczywiste. Gutierrez to ja i nie mogę obiecać, że to moje prawdziwe i ostateczne imię. Przez kilka lat, kiedy nadarzyła się okazja, Nuncjusz i ja współpracowaliśmy. Nie myśl źle, Matteo. Nigdy go nie szantażowałem. Prawda?

- Prawda - odrzekł Nuncjusz. Jego głos jednak zdradzał coś całkiem przeciwnego.

- Widzisz, Matteo, on i ja jesteśmy bardzo związani ze sobą i oboje byliśmy przyjaciółmi twojego poprzednika, który

nie darzył cię zbyt wielkim szacunkiem. Przykro mi, że sprawiam ci tym ból. Ale przypuszczam, że Benjamin już cię o tym poinformował.

Wstałem od stolika, byłem zniesmaczony. Szejk poprosił, abym usiadł. Teraz zaczynała się najciekawsza część, stwierdził, i nie mogłem jej opuścić. Słowa, które wypowiedziałem niskim tonem, były ostre i precyzyjne:

- Ty, i nie obchodzi mnie, jak się nazywasz, Gutierrez, Szejk czy inaczej, zawsze ukazujesz mi najgorsze oblicze rzeczywistości. Przypuszczam, że świat, do jakiego należysz, jest najgorszym z możliwych. Nie rozumiem go i nie chcę rozumieć. Podczas całej naszej znajomości spotkałem się z licznymi podłościami z twojej strony. Zgoda, że kapłan, ze względu na umowę z Bogiem, musi stawiać czoła złu, ale to zło, jakie ty reprezentujesz, jest najbardziej podstępne. Nigdy nie przedstawiasz się jako bohater, wygląda na to, że wszystko przydarza ci się przez przypadek, a mimo to jestem przekonany, że to ty jesteś narzędziem sprawczym. Przypuszczam, że nienawidzisz nas jako kategorii. Nuncjusz był kochankiem kobiety, którą ty mu podrzuciłeś do łóżka. Benjamin kręcił ponure interesy z tobą. Być może i w mojej przeszłości znajdziemy jakiś zakamarek, w który się wcisnąłeś, chociaż tego nie pamiętam. Kto wie, może byłem złodziejem dzieł sztuki albo kimś jeszcze gorszym? Co ja wygaduję? Przez ciebie plotę głupstwa. Czego chcesz?

Szejk uprzejmie odpowiedział, że rozumie mój stan ducha wynikający między innymi ze stanu zdrowia. Jeśli mu na to pozwolę, będzie kontynuował swój wywód. W każdym razie nie uznaje się za aż tak złego człowieka, jakim go odmalowałem. Prawda jest taka, że ja żyję w świecie lepszym od tego, jaki mnie otacza.

Mój poprzednik poinformował go o skarbie, ale nie wyjaśnił, o co chodzi. I nigdy podczas rozmów, które - jak dodał ze szczyptą ironii - odbywały się częściej, niż przypuszczam (odparłem tym samym tonem, że nie wiedziałem o tym, zatem dla mnie jest tak, jakby ich w ogóle nie było), nie zdradził szczegółów.

Potem pokręcił głową i stwierdził, że świadomie ignoruję oczywistości. On jednak z cierpliwością konstruował mozaikę. Brakowało mu kilku ostatnich elementów. Dlatego liczy na mnie. Cała reszta była przypadkiem. To, że dwójka księży kiedyś była innymi osobami, nie zależało od jego planu.

Przerwałem mu i przypomniałem o przyjaźni z moim poprzednikiem, o relacjach z Benjaminem, o Nuncjuszu i o Jonesie, który na Wieży Dawida rozmawiał z Benjaminem, z którym wcześniej prowadził interesy, oraz o tym, że nie wiadomo, jak zginął. I zakończyłem:

- Przypadki, kiedy jest ich za dużo, przestają być przypadkami, dobrze o tym wiesz.

Odrzekł, że mogę mu nie wierzyć, ale tu chodzi naprawdę o przypadkową zbieżność okoliczności. Skoro tak, stwierdziłem spokojnie, niech spróbuje mnie do tego przekonać.

- Matteo, zacznę od początku. Twój poprzednik powiedział mi o skarbie. Ale nie sprecyzował, o co chodzi. Potem tutaj, w Jerozolimie spotkałem Benjamina. Został bratem. Bardzo mnie to zdziwiło, ale, jak ty byś to powiedział, łaska Boża jest nieskończona. Nie widziałem go od czasów „Kasbah”. Postanowiliśmy spotkać się. Kiedy już sporo wypiliśmy, znowu pojawiła się historia ze skarbem. Benjamin opowiedział, że Kustosz żywi do niego wielki szacunek i z pewnością to on zostanie jego następcą. Zdradził mu też istnienie skarbu, nie mówiąc jednak, jakiego. Potem Kustosz

umarł, ty zostałeś wybrany zamiast Beniamina, a mnie wciąż gęły inne przygody. Kiedy do Jerozolimy przyjechał Nuncjusz, od razu się spotkaliśmy. Przez te wszystkie lata kontaktowaliśmy się ze sobą. Powiedział, że przyczyną, dla której znalazł się w Świętym Mieście, jest zweryfikowanie istnienia pewnego skarbu, o jakim jakiś czas temu doniósł w Rzymie twój poprzednik. On początkowo traktował ten skarb jako coś duchowego, potem jednak znowu twój poprzednik wręczył mu dokumenty Fryderyka II. I mozaika zaczęła się kompletować. Na dodatek on i Benjamin też się znali. To twój poprzednik poznał ich ze sobą. Nigdy się nie zaprzyjaźnili, ale pozostają w bardzo dobrych stosunkach.

Szejk przerwał. Spojrzał na Nuncjusza, który czekał na pieczęć i wyglądał na nie zainteresowanego, powrócił więc do wywodu:

- Pojechałeś na miejsce chrztu Jezusa i wróciłeś z obrożą. Potem nastąpił szczęśliwy traf. Nuncjusz przez przypadek zobaczył ją w chwili, kiedy Vidigal ją czyścił. Dostrzegł wówczas na niej wyrytą twarz Mojżesza i Bafometa i powiązał poszczególne elementy. Być może skarb, o którym opowiadał Kustosz, twój poprzednik, istnieje naprawdę, a ty przez przypadek odnalazłeś miejsce, w którym jest ukryty.

Nuncjusz przełknął kawałek baraniny. Otarł usta serwetką, popił winem i wyciągnął z kieszeni stary pergamin.

- Co to jest? - spytałem. - Następny dokument?

Nuncjusz odpowiedział, że jest to własnoręczny list Fryderyka II do papieża Innocentego IV. Oczywiście mój poprzednik mu go wręczył. Przeczytał na głos:

- „Kościół Rzymski był dla mnie jak ojciec. Oddałem ci cześć jako Wikariuszowi Chrystusa. Pokładałem w tobie moją ufność. Teraz konieczność zmusza mnie do dokonania wielkiego i niezapomnianego czynu. Przez lata się do tego

gotowałem, a teraz nadeszła chwila, aby ukazać go światu. Wiem, że mój gest może zmienić losy stosunków między Rzymem a cesarzem.

Nie chcę sprzeniewierzyć się Wikariuszowi Chrystusa, ale nie mogę godzić się na twoją wrogość i na spiski przez ciebie knute. Cierpliwie przez lata czekałem, przygotowując wszystko na moje wielkie i absolutne zwycięstwo. Ale nie chciałem, aby mój gest został odebrany przez świat chrześcijański jako coś tobie wrogiego. Dlatego czekałem. Ostatnie, jakże niesprawiedliwe wobec mnie wydarzenia zmuszają mnie do wydania tego polecenia. Wkrótce moja gwiazda zabłyśnie jaśniej od twojej. Nie chcę dawać posłuchu pogłoskom, które do mnie dotarły, jakobyś starał się mnie otruć. Co więcej, sądzę, że w sercu darzysz mnie życzliwością. Zapewniam cię, że to, co uczynię, przysłuży się nie tylko mojej chwale, ale i twojej. A żebyś nie sądził, iż to, czego wkrótce dokonam, skierowane będzie przeciwko tobie i Rzymowi, polecę w testamencie oddać Kościołowi wszystko, co zawłaszczyłem, z wyjątkiem honoru i godności cesarstwa. Z Castel del Monte i z mojego odkrycia początek weźmie mój odwet. To już postanowione, tegoroczne Boże Narodzenie będzie dniem mojego triumfu".

Nuncjusz popatrzył na mnie.

- No i? - spytałem.

- List ten Fryderyk napisał w listopadzie 1250 roku. Krótco potem padł ofiarą ostrego ataku dezynterii, która mogła być związana z próbą otrucia go. 13 grudnia 1250 roku, trzydzieści dni przed ukończeniem pięćdziesięciu sześciu lat, nastąpił jego koniec.

Spytałem o sekret Fryderyka. List bowiem był dosyć ogólnikowy i można go było interpretować na wielorakie sposoby.

- Sądzę - odpowiedział - że odkrycie związane jest z tajemnicą, jaką zdradził mu astrolog Tudela. I ono było też przyczyną tajemniczej zasadzki, jaką templariusze zastawili na niego w Ziemi Świętej. Fryderyk pertraktował z sułtanem w kwestii uwolnienia Jerozolimy i przypuszczam, że negocjacje obejmowały również miejsce, w którym widziałeś szkielety z obrozą, wielbny ojciec. Tudela powiedział Fryderykowi, gdzie może być ukryta Arka Przymierza, a on, nie mówiąc o tym oczywiście Melekowi al-Kamilowi, poprosił o włączenie na listę miejsc świętych, które miały zostać oddane chrześcijanom, także miejsca chrztu Jezusa. Idąc za radą bądź informacjami Tudeli, który być może był ostatnim potomkiem Wielkiego Przywódcy, dokonał sensacyjnego odkrycia Arki. Prawdopodobnie jeden z synów Mojżesza przed podjęciem decyzji o zniknięciu umieścił ją w grobie ojca.

Zauważyłem, że opowieść jest dosyć fascynująca, ale nie ma na nią żadnych dowodów. I że odnalezienie za jednym zamachem Arki Przymierza i grobu Mojżesza wydaje mi się nieco nieprawdopodobne. Dodałem z ironią, że mówię to, rzecz jasna, jako naukowiec.

Wtrącił się Szejk: jego zdaniem historia była wielce prawdopodobna, a żeby się o tym przekonać, istnieje tylko jeden sposób. I wytłumaczył, na czym polegać będzie moja rola.

Pokręciłem zamasyżuję głową i głośno kilka razy powtórzyłem „nie”. Mimo to zdawałem sobie sprawę, że oto rośnie we mnie przemożna fala ciekawości, która zaraz zaleje rozsądek. Zrozumiałem też, że Szejk, który dobrze mnie znał, uderzył w te właśnie struny mojej natury. Starłem się zbić go z tropu:

- A co mi powiesz o śmierci Jonesa i o Benjaminie?

Odrzekł, że nie rozumie tego wydarzenia i trzeba na nie rzucić więcej światła, ale w tej chwili istnieją inne priorytety. Przybliżył twarz do mojej i spojrzał mi prosto w oczy:

- Matteo, jesteś archeologiem, i to najlepszym. Tylko ty możesz zaprowadzić nas do miejsca, gdzie znalazłeś obrożę i gdzie leży skarb.

Jaskinia

Kiedyś, zanim zostałem Kustoszem, gdy musiałem zastanowić się nad czymś szczególnym, co mnie uderzyło albo co leżało mi na sercu, czy też gdy konieczne i nieuniknione było podjęcie jakiejś znaczącej decyzji, wstawałem o piątej nad ranem, wychodziłem z Flagelacji i przemierzałem Via Dolorosa. Modliłem się, jak każdy pielgrzym, który przyjechał do Świętego Miasta po raz pierwszy, pamiętając jednak, że jestem ojcem Matteo, kapłanem zawsze pełnym wątpliwości i świadomym ogromnej cierpliwości Pana, jaką mnie darzył.

Zimą moje oczy radowały jasne gwiazdy, które oświecały i dodawały ciepła mroźnej ożywczej nocy. Ale Jerozolima o każdej porze roku i przy każdym świetle ofiarowywała mi swoją ciszę, wąskie uliczki wyłożone gładkimi jak marmur kamieniami, wyszlifowanymi tysiącami stóp, które dzień w dzień po nich deptały. Pocieszała mnie niezmiennymi zwyczajami i barwnymi murami, jak za czasów Jezusa.

Kres nocnym spacerom położyłem, gdy zostałem wybrany na Kustosza. Może między innymi dlatego moje ręce zachowały. Tamtego ranka obudziłem się na trzy godziny przed spotkaniem z Szejkiem i Nuncjuszem. Była piąta. Wstałem, ubrałem się, wyszedłem z Najświętszego Zbawiciela i spacerowałem w mroku i ciszy. Myśli moje biegły w stronę wydarzeń, do każdego z osobna, chociaż wszystkie były ze sobą

powiązane. Staralem się „czytać między wierszami”, jak często się mówi, by dotrzeć do prawdy albo do kilku prawd.

Szejk ze względu na swoją przeszłość i brak skrupułów był prawdopodobnie w stanie zrobić na złość każdemu. Wiedział, że cokolwiek mi powie, z pewnością podejść do tego z nieufnością. Jego sposób podejmowania tematów wytworzył tyle niejasności, że zdołał mnie przekonać, iż znalazłem się w centrum spisku. Jego umiejętność manipulowania autentycznymi faktami przewyższał jedynie talent stwarzania iluzji. W takim stanie rzeczy nie pozostawało mi nic innego, jak podejść do wszystkiego z dystansem i zastanowić się raczej nad innymi spotkaniami z minionych dni. A lista była długa: Gruber i jego pewniki, Mag i otaczające go tajemnice, Muhammad i zawieruchy rodzinne, Nuncjusz i jego dwuznaczności, Benjamin i sprzeczności. A także ofiara, o zbyt wielu imionach, pośród których może nie ma tego prawdziwego.

Przypomniałem sobie pewne wydarzenie: Benjamin podczas jednej z kapituł skierował do mnie straszne słowa. Mówił o mojej słabości - według niego - wobec prawosławnego patriarchy Alekosa w kwestii odrestaurowania kopuły bazyliki Grobu Pańskiego. Uznał ją za błędną architektonicznie i określił mnie jako tchórzliwego współnika tego barbarzyństwa.

Noc była wspaniała, prawdziwie śródziemnomorska. Powietrze lekko się ochłodziło, a arie cykad i pomruki przebudzającego się miasta brzmiały przyjaźnie. Zjadłem ciastko szafranowe i popiłem kawę po turecku w małym barze niedaleko Bramy Damasceńskiej. Byłem pierwszym klientem, więc właściciel nie chciał, abym zapłacił. Wyjaśnił, że przy-

niosę mu szczęście, a lokal będzie pełen aż do wieczora. Od Bramy Damasceńskiej poszedłem wzdłuż murów. Wschodziło słońce, a jego pierwsze promienie, różowe na ogromnych kamieniach, towarzyszyły mi aż do Saint Louis.

Siostra Matilda już na mnie czekała, jak gdyby wiedziała, że przyjdę o tej porze. Była szósta rano. Spytała, czy chcę napić się kawy. Podziękowałem i odrzekłem, że właśnie w barze na Starym Mieście wypilem jedną gratis, jako nagrodę za to, że byłem pierwszym klientem. Poszliśmy do jej pokoju. Usiadłem na krześle. Wbiła mi igłę. Wtedy zdradziłem jej, że czuję się jak schwytany w wielką pułapkę i nie potrafię zrozumieć, czy sam w nią wpadłem, czy też nieświadomie przyczyniłem się do jej zbudowania. Zakończyłem stwierdzeniem, że wynik przez to się nie zmienia. Najbardziej irytowała mnie pewność Szejka, że zaprowadzę jego i Nuncjusza do skarbu, jak go nazywają.

Siostra Matilda odpowiedziała, że w moim głosie i w mojej postawie wyczuwa z jednej strony poirytowanie ze względu na oszustwa, na jakie się natknąłem, z drugiej zaś pragnienie odnalezienia rozwiązania. Musiałem zachować się jak Lawrence z Arabii na pustyni, z odwagą, siłą, pokładając ufność we własne przekonania i pewniki.

Kropiółka skończyła się, chociaż tego ranka po raz pierwszy chciałem, aby trwała dłużej. Objąłem siostrę Matildę, a ona zaczerwieniła się. Wróciłem do Najświętszego Zbawiciela, ale nie wszedłem do gabinetu, od razu skierowałem się do garażu. O ósmej miałem spotkanie z Szejkiem i Nuncjuszem w „American Colony”. Czekali przed hotelem, na odcinku zamkniętej drogi, która wyznaczała jego granice. Obaj ubrani byli jak odkrywcy: jasnobrązowa, dobrze wyprasowana kurtka i spodnie w kolorze khaki. Wyglądali identycznie i śmiesznie. Na nogach mieli nowiutkie traperki.

Podczas drogi z Jerozolimy do Betanii nie wyrzekłem ani słowa. Uszanowali moje milczenie. Przejazd przez Most Allenby odbył się bez problemów. Zauważyłem, że Szejk z ciekawością przygląda się drodze. W końcu wykrzyknął:

- Łatwo dojechać!

Miałem ochotę powiedzieć mu, że gdyby to było takie proste, mógłby sam dokonać odkrycia, on natomiast potrzebował do tego mnie. Ale nie pisałem słowa. Ostatni kawałek pokonaliśmy na piechotę. Samochód zostawiłem pod hotelem „Nadzieja”, który nadal był opustoszały. Zeszliśmy w dół, idąc drogą, jaką pokazał mi Mag. Wszystko wyglądało jak dawniej. Jak gdyby nikt tutaj nie pracował. Szejk i Nuncjusz szli za mną w ciszy i skupieniu. Każdemu dałem silną latarkę. Miałem też zapasowe baterie.

Znalazłem kontakt i włączyłem światło. Podeszliśmy do szkieletów. Nuncjusz i Szejk odwrócili od nich wzrok. Przed nami rozciągały się dwa rzędy, których za pierwszym razem nie dostrzegłem. Ale wtedy byłem tu zbyt krótko, aby utrwalić w pamięci wszystkie szczegóły. Pomiedzy kolumnami zobaczyłem kamienną płytę. Dotknąłem jej, a ona z nadzwyczajną łatwością przesunęła się. Za nią biegł tunel na tyle wysoki, że można było stać bez pochylania się. Nie wypowiedziawszy ani słowa, ruszyłem przed siebie. Szejk i Nuncjusz zapalili latarki i poszli za mną: Nuncjusz w środku, a Szejk na końcu. Posuwałem się powoli i ostrożnie. Co chwilę zatrzymywałem się, wyętzając słuch, ale docierało do mnie tylko bicie mojego serca i sapanie Nuncjusza, który w pewnym momencie stwierdził:

- Może ten tunel jest tak długi, jak ten co łączy Ścianę Płaczu z Via Dolorosa.

Do Nuncjusza przyłączył się Szejk:

- A może jeszcze dłuższy. Ale skoro już tu jesteśmy, idźmy naprzód. Skarb czeka na nas z otwartymi ramionami.

Nuncjusz jęknął na koniec, że może źle zrobił, przyjeżdżając tutaj.

Szliśmy dalej. W tunelu panowało świeże powietrze, jak gdyby zaopatrzony był w prześwit na zewnątrz. Po około stu metrach znacznie się rozszerzył. Latarki oświecały gładkie i wyszlifowane ściany, pozbawione jakichkolwiek wypustek. Teraz z prawej i lewej strony zaczęły pojawiać się małe cele. Może służyły za mieszkania dla mnichów. Zauważyliśmy także szereg nisz przeznaczonych na modlitwę, wyższych od cel, co najmniej dwumetrowych. Najwyraźniej można było tutaj zejść po drabinach, na przykład sznurowych. Nie znaleźliśmy jednak po nich żadnego śladu. Straciłem rachubę czasu, ale zapasowe baterie dawały mi poczucie bezpieczeństwa. Powiedziałem o nich, aby dodać pozostałym otuchy. Szejk odrzekł, że i on był przewidujący i miał ze sobą w plecaku zapasową latarkę. Nuncjusz zaś stwierdził, że z takimi towarzyszami czuł się pewnie, chociaż tunele i jaskinia nie gwarantowały, że nagle nie natkniemy się na jakąś nieprzewidzianą przeszkodę.

Tunel teraz schodził w dół. Wyglądał jak ścieżka wryta w skale. Zdałem sobie sprawę, że mijamy różne jaskinie, wszystkie podobne do siebie pod względem wielkości i wysokości i wszystkie z identycznymi celami i niszami. Powietrze ciągle było świeże. Nie udało mi się odkryć, skąd dochodzi. Ale, rzecz jasna, latarki nie były w stanie zdradzić wszystkich sekretów tego wielowiekowego miejsca. Po gwałtownym spadku przestrzeń nagle się powiększyła i znaleźliśmy się w miejscu tak rozległym, że przez chwilę wydawało mi się, że wyszliśmy na zewnątrz i panuje bezgwiazdna noc.

Ale to wrażenie trwało tylko moment. Za sobą usłyszałem jęki. A potem okrzyki zdziwienia.

W jaskini panowała uroczysta atmosfera historyczności. Kamienne podłoże było tak gładkie, jak gdyby ktoś specjalnie je wyszlifował. Skierowałem latarkę w prawo. Przestrzeń zwięzła się nieregularnie w ogromny horyzontalny lej, zalamując się i tracąc realność w świetle naszych latarek. Ich promień był długi, ale nie potrafił ukazać naszym oczom całej rozpiętości jaskini. Jednym słowem nie wiedzieliśmy, gdzie się kończy. Z lewej znajdowały się schodki wryte w skałę, kończące się na wysokości około trzech metrów. Wszystko w tym miejscu, tak bliskim miejscu chrztu Jezusa, a zarazem tak odległym, było dziwne i cudowne.

Zatopiłem się w myślach i straciłem towarzyszy z oczu. W końcu latarka wydobyla ich z ciemności: pobiegli w stronę czegoś, co można było nazwać sarkofagiem. W nagłej panice zabrakło mi tchu. Czułem się, jak gdybym znajdował się pod wodą, a coś albo ktoś ciągnął mnie coraz bardziej w dół. Uszczypnąłem się w twarz, zmuszając do tego obolałe palce, i podbiegłem do nich.

Nuncjusz i Szejk stali jak skamieniali. Tylko wyobraźnia wielkiego wynalazcy i twórcy dziwów i okropieństw mogła stworzyć tak makabryczną choreografię. Z ust wyrwał mi się banalny okrzyk:

- To niewiarygodne!

Sarkofag leżał na niewielkim podniesieniu w środku jaskini, tak mi się przynajmniej wydawało, gdyż miałem niewiele punktów odniesienia. Wokół, poniżej, stało dziewięć kamiennych foteli, odległych od siebie o jakieś dwa metry, ale w taki sposób, aby uniemożliwić przejście dwóm osobom jednocześnie. Sarkofag, wykonany chyba z białego kamienia, był wysoce i majestatyczny. Na fotelach siedziało dziewięć szkieletów.

Miały na sobie zbroje. Podszedłem ostrożnie. To samo uczynili Szejk i Nuncjusz. Każdy z nas wybrał inny szkielet.

- To byli rycerze! - zawołał Nuncjusz.

Jego głos odbił się ze wzmocnioną siłą od skalnych ścian. Szejk oświecił latarką swój szkielet. Zbroja i miecz były zardzewiałe i nadgryzione zębem czasu, mniej jednak, niż należałoby przypuszczać.

- Wmurowali go! - wykrzyknął Szejk, bardziej zdziwiony niż przerażony odkryciem. - Wmurowano mu ręce i stopy! Nigdy nie widziałem czegoś podobnego. Prawdopodobnie zrobiono to, kiedy jeszcze żył.

Nuncjusz jęknął:

- Co za okropna śmierć. Cała dziewiątka skończyła w ten sposób.

Przyjrzałem się.

- To prawda - stwierdziłem. - Skazano ich na śmierć z głodu i pragnienia.

- Diabelski pomysł - skomentował Szejk.

Szyję każdego z rycerzy obejmowała obroża podobna do tych z pierwszej jaskini. Te jednak były większe i bardziej kunsztowne. I zamykały się na zapadkę. Kiedy zdejmowałem obrozę z mojego szkieletu, zauważyłem, że Nuncjusz, chociaż starał się zachować godną postawę, stał jak sparaliżowany i wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Miałem nadzieję, że wytrzyma, dopóki nie wyjdziemy z tego miejsca, w przeciwnym razie miałbym o jeden problem więcej. Szejk oświecił swoją obrozę. Potem podał mi ją. Wryte było na niej zdanie po łacinie, które przetłumaczyłem:

- „Niech zdrajca Rochelin de Fois czuwa nad grobem Mojżesza aż do dnia, w którym zostanie przeniesiony w swoje prawdziwe miejsce, na zamek, ku wiecznej chwale mojej i całego chrześcijaństwa. Cesarz Fryderyk II”.

- Czyli to nie Arka Przymierza! - zawołał Szejk.
- Ale to i tak nadzwyczajne odkrycie! - dodał Nuncjusz, który w jednej chwili przyszedł do siebie. Potem zaczął mówić entuzjastycznie. I po raz pierwszy zwrócił się do mnie na „ty”:

- Rozumiesz, Matteo? Odkryliśmy ładny kawał historii. Dane nam było pojąć coś, czego w życiu byśmy się nie dowiedzieli. Historia to naprawdę wielka improwizatorka!

Roześmiałem się, a on spojrzał na mnie pytająco. Zauważyłem, że właśnie wypowiedział piękne zdanie, chociaż trochę nie na miejscu, według mnie. Tymczasem Szejk zdjął obrożę z pozostałych rycerzy.

- Na wszystkich jest to samo zdanie. Zmieniają się tylko imiona. Richard de Vichers, Arnaud de Chateaufort, Robert de Fois, Armand de Perigod, Richard de Bures, Rupert de Montfort, Robert de Sommal, Albert de Ville. To ci templariusze, którzy zastawili zasadzkę. Najwyraźniej Fryderyk odkrył coś, czego nie powinien odkryć, jak wyjaśnia Błogosławiona Księga. I to coś było grobem Mojżesza. Templariusze znali jego lokalizację, ale nie chcieli, aby on go sobie przywłaszczył.

- Nie sądzę, aby tak to się potoczyło - odparłem. - W przeciwnym razie pozostali templariusze przybyliby, aby uratować ukaranych. Właśnie dlatego, że historia to wielka improwizatorka, coś tu nie pasuje.

Podszedłem do sarkofagu. Nie byłem jakoś szczególnie podekscytowany. Dotknąłem go. Kamień był zimny. Przeżegnałem się i ucałowałem go. Zauważyłem, że Nuncjusz modli się. Szejk patrzył na nas uprzejmie. Wspólnie odmówiliśmy *Ojcze nasz* i *Zdrowaś Maryjo*.

- To grób Mojżesza - powiedział Nuncjusz.

Na wieku widniał napis. Nie zauważyłem go wcześniej. Przeczytałem na głos:

- Veniens mirabilia secreta invenit. Fridericus dixit.

Jeszcze raz się przeżegnałem i powtórzyłem *Ojczy nasz*.

Szejk stwierdził, że powinniśmy zobaczyć, co jest w środku. Potem dodał, że nie chce mówić jak świętokradca, ale odkrycie grobu Mojżesza to prawie jak odnalezienie Grobu Pańskiego. Stopień niżej w hierarchii Kościoła, wszyscy o tym będą mówić. Zwłaszcza jeśli w grobie Mojżesza jest skarb, czyli Arka Przymierza. Potem zaczął gadać od rzeczy:

- Matteo, staniesz się największym archeologiem w dziejach ludzkości. I mnie coś z tego skapnie, bo jesteś hojny, a Nuncjusz z pewnością otrzyma kapelusz kardynalski.

Jego ręce były niebezpiecznie blisko sarkofagu. Prawie wrzasnąłem na niego:

- Nie dotykaj!

Odskoczył do tyłu. Nuncjusz tymczasem krążył wokół grobu, jak gdyby brał jego wymiary. Nie słuchał nas. W pewnej chwili wykrzyknął:

- Już wszystko rozumiem!

Popatrzyłem z niedowierzaniem.

- Sarkofag - wyjaśnił - to dokładne pomniejszenie oktagonálnego planu Castel del Monte, tajemniczego zamku, który Fryderyk kazał wybudować w Apulii, koło Andrii. Posłuchajcie. Fryderyk w trakcie krucjaty na Ziemi Świętej odkrywa, nie wiemy jak, grób Mojżesza. Kilku templariuszy zastawia na niego pułapkę. On zaś więzi ich. I umierają w ten okrutny sposób. Zamurowani na straży grobu, wokół którego każe wznieść oktagonalny sarkofag, czyli plan przyszłego Castel del Monte. Zamek stanie się w przyszłości monumentalnym grobowcem Mojżesza. Oto jego plan

i znaczenie tajemniczych słów Błogosławionej Księgi. I wytłumaczenie jedyne listu, jaki Fryderyk napisał o Castel del Monte. Zastanawiałem się nad jego sensem i teraz już go rozumiem. „Fryderyk II, cesarz Rzymian, król Jerozolimy i Sycylii - Nuncjusz cytował z pamięci - do Riccarda z Montefusco, sędziego Capitamali. Nalegając, aby nabyto budulec na zamek Mojżesza przy Santa Maria del Monte, pragniemy, by został on wzniesiony, i chociaż nie znajduje się on pod twoją jurysdykcją, jednak twojej wierności powierzamy zadanie bezzwłocznego nabycia wapna, kamieni i wszystkiego co potrzebne oraz częstego informowania nas o swoich poczynaniach. Gubbio, 18 stycznia 1240". Zapadła cisza.

- Wszystko jasne - pierwszy odezwał się Szejek. - Teraz musimy jeszcze ustalić, co robimy.

- Fakt - przytaknąłem - musimy ustalić.

Szejek spojrział na mnie z niedowierzaniem. Dodałem więc, że chodzi o odkrycie tak wielkiej rangi, że koniecznie należy się nad wszystkim zastanowić, a poza tym musimy sobie ufać. I zachować tę tajemnicę, która powinna nas łączyć, a nie dzielić. Szejek wyglądał na przekonanego. Nuncjusz też. Prawdopodobnie udawali, ale ja musiałem grać na czas.

Prawda

Powrót do Jerozolimy nie odbywał się w ciszy. Zarówno Szejk, jak i Nuncjusz na głos rozmyślali nad wyjątkowym odkryciem, które zmieni powszechne nastawienie. Spytałem, co rozumieją poprzez owo „powszechne nastawienie”. Udzielili odmiennych odpowiedzi.

Według Nuncjusza to, że grób Mojżesza zostanie odnaleziony wraz z Arką Przymierza, stanowi potwierdzenie istnienia Boga i przekona nawet ateistów. Stwierdziłem w duchu, że jego uwaga jest nie tylko banalna, ale i bezmyślna.

Szejk zaś wyjaśnił, że chodzi o interes stulecia: powinniśmy postanowić, jak go wykorzystać, zachowując i chroniąc religijne znaczenie rękodziela. Tak się wyraził.

Zdawałem sobie sprawę, że obaj wyrazili swoje podejście i własne pragnienia. Nie podzielałem ich, a ponadto wydawały mi się nierealne. Może nawet w tej jaskini znajdował się grób Mojżesza, może nawet wewnątrz grobu ukryta jest Arka Przymierza. Ale tych „może” jest zbyt wiele, a poza tym moja wiedza sprzeczała się z licznymi hipotezami. Wiedziałem jednak, że ani jeden, ani drugi mi nie uwierzy. Ja reprezentowałem rzeczywistość, oni - marzenia. Oni jednak śnili na jawie i w dzień i wiedzieli znacznie mniej od tego, kto śni w nocy.

Jeśli Fryderyk II naprawdę odkrył grób i Arkę Przymierza, dlaczego nie posłużył się nimi w decydującej chwili walki z papieżem? Szkielety wokół „rękodzieła”, cytując Szejka, mogły należeć do templariuszy, którzy sprzeniewierzyli się rozkazowi cesarza i zostali za to surowo ukarani. Albo, co prostsze, naprawdę byli organizatorami zasadzki na Fryderyka, o jakiej wielokrotnie pisał. Ale nigdzie nie jest powiedziane, że wiedzieli o miejscu spoczynku Mojżesza i ukryciu Arki Przymierza. Poza tym nie można ufać cesarzowi, który prowadził polityczną grę i mieszał wyobraźnię z rzeczywistością, dobrze wiedząc, że mądrze jest nie odpowiadać na pytania, ale posiadał też sztukę odwodzenia innych od chęci zadawania mu ich. Na piśmie pozostawił połowiczne prawdy. Ale był też człowiekiem okrutnym: był zdolny do tego, by wymyślić tak szczególną i groteskową karę dla swoich wrogów. Przez wieczność mieli strzec grobu, którego w żadnym razie nie dało się zidentyfikować. Zdanie po łacinie mogło równie dobrze oznaczać, że ten, kto ośmielił się wystąpić przeciwko niemu, poniósł potworną śmierć. Jednym słowem, miałem ochotę powiedzieć Szejkowi i Nuncjuszowi, że nie mamy żadnego dowodu na to, że znaleźliśmy skarb. Ale oni odparliby mi, że wystarczyło wrócić tutaj, otworzyć sarkofag i ponieść tego konsekwencje.

Dlatego stwierdziłem, że najpierw pojedę do szpitala, a potem ich odszukam. Mojżesz czekał przez tyle wieków, więc z pewnością nie obrazi się, jeśli poczeka jeszcze godzinę. Mój głos przekonał ich. Zresztą potrzebowali mnie. Byłem w pewnym sensie ich kulturową gwarancją.

Prowadząc ciągle, zastanawiałem się nad jaskinią, nad jej podobieństwem do niektórych biblijnych opisów, ale nie miałem żadnego dowodu - oprócz dokumentów Fryderyka - że

chodziło o miejsce, w którym pochowano Mojżesza i ukryto Arkę Przymierza. Poza tym pewne szczegóły nie przekonywały mnie, na przykład łatwość, z jaką dotarliśmy do sali grobowcowej, oraz dwuznaczne słowa łacińskie. Powoli i zawiłe klarowało się we mnie absurdałne, ale bynajmniej niepozbawione logiki wyjaśnienie całej historii.

Musiałem jednak znaleźć dowody, które potwierdziłyby mój tok rozumowania. Potrzebowałem czasu, a miałem go mało. Wysadziłem Szejka przed „American Colony”, gdzie spędził ostatnią noc. Nie miał domu w Jerozolimie, wołał mieszkać w swojej willi na górze Nebo i przemieszczać się w razie potrzeby. Przynajmniej tak mi powiedział. Poprosiłem, aby zajął się Nuncjuszem. Pożegnałem obu. Odniosłem nieprzyjemne wrażenie, że ich oczy z nadzieją i przesadnym zainteresowaniem wpatrywały się we mnie.

Droge z „American Colony” do Saint Louis przejechałem pogrążony w myślach, które kłębiły się, krzyżowały, rozbiegały w mojej głowie z taką prędkością, że nie byłem w stanie ich powstrzymać. Po raz pierwszy przydarzyło mi się stracić pełną kontrolę nad nimi. Starłem się znaleźć rozwiązanie i wątek, który łączyłby wszystkie wydarzenia. Ale jak tylko go odnajdowałem, zdawałem sobie sprawę, że oto właśnie się rozpadł. Zbyt wiele było sprzeczności. Kto napisał listy Fryderyka? On czy jakiś fałszerz? Ja czytałem tylko kopie. Może to Szejka je sfabrykował, ale w jakim celu? Pewnie żeby przekonać mnie do uczestniczenia w tej swego rodzaju wyprawie archeologicznej, która w moich oczach okazała się czymś całkiem innym: zbyt łatwym odnalezieniem miejsca, które powinno być zamknięte od wieków.

Miałem na ten temat własne zdanie. Czasy wielkich odkryć dawno minęły. Prawdopodobnie jeszcze jest znalezienie

jakiejś cennej mozaiki, dzięki której można będzie odczytać i zinterpretować losy danego okresu, na przykład z życia chrześcijan w Madabie. Ale wywrócenie historii człowieka wydawało mi się niemożliwe i nawet niesłuszne.

Mimo to, abstrahując od mojego sceptycyzmu wobec tego, co miało stać się odkryciem tysiąclecia, w całej historii tkwiło ziarno prawdy. Ale po co podważać lata badań, pracy, poszukiwań, analiz pozostałości, które doprowadziły do naukowych wniosków, do jakich Przymierze i grób Mojżesza w żadnym razie nie należały?

Na początku mojej zawodowej kariery postanowiłem w sposób jasny i całkowity odrzucić wszelkie mrzonki, nawet te najbardziej fascynujące i nierzadko oparte na faktach historycznych. Lubiłem czytać o cudownych skarbach w książkach. Ale sam żyłem konkretami: łopatką, wykopaliska, odnalezione kościoły, mozaiki, fortece. Podczas wykładów uniwersyteckich wyjaśniałem studentom techniki, ale przekazywałem im również swoją pasję, która nie karmiła się bajkami, lecz rzeczywistościami, takimi jak odkryte przeze mnie miasto Umm-er-Rasas na pustyni Jordan, w którym przed rokiem tysięcznym chrześcijanie i muzułmanie wspólnie żyli w absolutnej harmonii.

Historia składa się z dat i wydarzeń, z ciała i krwi, z tego, kto się poświęcił własnym ideom i kto pozostawił po sobie świadectwo w postaci dzieł. Historia była kwestią fundamentalną, by poznać Ziemię Świętą, znacznie ważniejszą od poszukiwania skarbów, które nawet jeśli istnieją i jeśli zostałyby odkryte, nie polepszyłyby życia żadnego z Kuzynów od Ściany czy Przyjaciół ze Skały.

Potrzebne były bezpieczne drogi, woda dla wszystkich, szkoły, ale na pierwszym miejscu, dla psychicznego zdrowia mieszkańców Ziemi Świętej, bez względu na wyznawaną

wiarę - aby nie było już więcej dzieci, które dają wysadzić się w powietrze przed sklepem z zabawkami.

Potrzebna była rzeczywistość, a nie magia i fantazja, jak grób Mojżesza czy skrzynia ze złotym wiekiem.

W każdym razie jako podsumowanie całego poplątanego rozumowania uświadomiłem sobie, że niczego nie rozwiązałem. Jedyną rzecz, której byłem pewien, dotyczyła nieznośnego uczucia rozdrażnienia, które przebiegało po karku i wiązało się z cienkim, ale nieustannym niepokojem o los moich dłoni, a także o to, jak będę się czuł z protezami, z całą pewnością wykonanymi nie ze szlachetnego metalu.

W Saint Louis nie spotkałem siostry Matildy. Jej koleżanka, siostra Angelica, wyjaśniła, że siostra Matilda ma dzisiaj ważne spotkanie i że przesyła przez nią wiadomość: „W Jerozolimie pokój to nie brak wojny: to cnota, stan ducha, skłonność do życzliwości, zaufania, sprawiedliwości”.

Siostra Angelica była bardzo profesjonalna, podana przez nią kroplówka trwała krócej niż te, do jakich byłem przyzwyczajony. W odróżnieniu od siostry Matildy siostra Angelica w ogóle nie rozmawiała, może dlatego wydawało mi się, że krople szybciej kapią.

Z Saint Louis skierowałem się do Najświętszego Zbawiciela. Zaparkowałem samochód w garażu i nagle uświadomiłem sobie, że przyjąłem już tego dnia dwie kroplówki. Uspokoilem się, tłumacząc, że w ten sposób odzyskałem tę, którą pominąłem na początku kuracji. Wszedłem do prywatnej kaplicy od strony dziedzińca, co rzadko czynię, ale musiałem koniecznie pomodlić się do Pana przed ołtarzem. Idąc po schodach, prawdopodobnie spotkałbym kogoś z braci, a mój urząd obligował mnie do wysłuchania petentów, a poza tym obowiązki, papiery, biurokracja zmusiłyby mnie do odłożenia tej jakże ważnej dla mojej duchowej równowagi chwili.

Na klęczkach, z głową opartą na rękach, z zamkniętymi oczami opowiedziałem Panu historię o grobie, o Jego proroku Mojżesz i Arce Przymierza, jak gdyby jeszcze o niej nie wiedział. I poprosiłem o radę. Skoro ani grób, ani Arka nie zostały znalezione przez tysiące lat, czy słuszne było, aby dokonano się to właśnie teraz? Czy takie odkrycie przyniesie pokój? Odniosłem przejmujące wrażenie, że Pan odpowiedział mi żartobliwie i że potwierdza przekonanie, do jakiego doszedłem, wskazując, co mam czynić.

W lepszym nastroju wszedłem po krętych schodach do gabinetu. Zasiadłem za biurkiem i przyjrzałem się papierom, które urosły w małą kupkę. Wezwałem ojca Ramona. Jego biuro od mojego dzieliło dwoje drzwi. Porozumiewaliśmy się za pomocą wewnętrznego telefonu. Przyszedł natychmiast. W jego oczach widoczna była dezaprobata. Zdałem sobie sprawę, że odzież, jaką miałem na sobie, nie była czysta i chyba niezbyt schludnie się prezentowałem. A od Kustosza wolno wymagać z pewnością czegoś więcej. Jednym słowem, nie wyglądałem odpowiednio reprezentatywnie do pełnionej funkcji. Udałem, że niczego nie widzę, uśmiechnąłem się szeroko, co go zbiło z tropu, gdyż nigdy się do niego nie uśmiechałem, i poprosiłem, aby poinformował ojca Benjamina, że pragnę się z nim spotkać. Odpowiedział z pewną dozą ironii:

- Ojciec Benjamin już czeka.
- Proszę więc go wpuścić! - zareagowałem sucho.

Ojciec Ramon otworzył drzwi. Poprosiłem ojca Benjamina, by usiadł na sofie. Podeszedłem do niego. Pomyślałem, że zachowuję się zupełnie jak mój poprzednik, kiedy zapraszał mnie na rozmowę. Zajmował miejsce obok i częstował lemoniadą. Ojciec Benjamin musiał przejrzeć moje myśli, ponieważ powiedział:

- Matteo, dzisiaj podziękuję za lemoniadę.
- Nawet ci jej nie zaproponowałem.
- Tym lepiej. No więc?

Zacząłem od wyjaśnienia, że jako Kustosz mam wobec niego instytucjonalny, nazwijmy to tak, obowiązek udzielenia pomocy. On zaś ma wobec mnie obowiązek poszanowania i wdzięczności. Wzruszył ramionami. Potem zapytał:

- Znalazłeś w Betanii to, czego szukałeś?

Opowiedziałem mu szczegółowo ostatnie wydarzenia. Popatrzył z wielkim zdziwieniem. Dlaczego nie otworzyłem grobu?

- Nie wiem - odpowiedziałem.

Nie chciałem mu wyjaśniać moich przemyśleń, wątpliwości, refleksji, a poza tym nie byłem pewien, czy powierzenie mu ich byłoby pożyteczne dla tej całej skomplikowanej historii. Ojciec Benjamin wziął głęboki wdech, jak gdyby z tlenem chciał zaczerpnąć także pewności. Wtedy spytałem, czy winny jest zabójstwa.

Przysiągł, że nawet nie tknął Jonesa, nie mówiąc już o popychaniu. I zapewnił, że znalazł się tam przez przypadek. Jones podszedł do niego i poprosił o informacje.

- Jakie informacje?

Skłamał, twierdząc, że dotyczyły historii Cytadeli Dawida. A kłamiąc, patrzył mi prosto w oczy, nie zdradzając żadnych emocji. Zrozumiałem, że chce rozmawiać o grobie Mojżesza i o Arce Przymierza, ale postanowiłem unikać tego tematu. Powiedziałem natomiast, że trzeba szybko pomyśleć o tym, jak go uratować. Popatrzył na mnie zaniepokojony. Powoli zdawał sobie sprawę, że jego sytuacja wcale nie została rozwiązana. Gruber powierzył go Kustodii, ale w każdej chwili mógł go znowu aresztować.

Podwójna przyjemność oszukiwania

Poprosiłem ojca Benjamina, aby wrócił do swojego pokoju. Czuję, że cierpi. I że nie pojmuje tego, co się wokół niego dzieje. Między innymi dlatego, że nie był w stanie podążać za moim tokiem myślenia. Był wstrząśnięty i wyglądał na dużo starszego, jak gdyby nagle zawalił mu się świat. Mogła to być jednak gra pozorów.

Benjamin był tylko zbolałym księdzem. I tak powinienem o nim myśleć. Odniosłem również wrażenie, że stracił chęć do rozmowy, ale nie tylko ze mną, lecz z kimkolwiek. Być może wyobrażał sobie wielkie odkrycie albo też stał się nieświadomą ofiarą mojego poprzednika. Powoli dochodziłem do wniosku, że to kolosalne kłamstwo zostało wymyślone w konkretnym celu. Gdybym tylko ten cel odkrył, zrozumiałbym całą resztę. Wiedziałem, że jestem już bliski prawdy.

Przeczytałem gdzieś, że dla większości ludzi niedowierzenie w jedną rzecz opiera się na ślepej wierze w inną. Prawdopodobnie z tego też wzięło się nieporozumienie, którego ofiarą padłem nie tylko ja, ale i inni, a jego autorem był mój poprzednik. Ale on już nie żył, niestety, tak jak Vidigal, który mógł mi pomóc swoją mądrością.

To mój poprzednik wymyślił historię z grobem Mojżesza, Arką Przymierza i Fryderykiem II, sam pisząc dokumenty.

Z pewnością były tworem jego wyobraźni. A poszczególne ich fragmenty nie stanowiły nic innego jak notatki do powieści, tzn. Błogosławionej Księgi. Bawił się, opowiadając jej rozdziały Benjaminowi, Nuncjuszowi i Szejkowi, każdemu rzecz jasna inny. Był zdolnym twórcą intryg.

Prawdą zaś było pewnie to, że na swojego następcę wołał ojca Benjamina, ale tylko dlatego, że miał większe do niego zaufanie: Benjamin był bardziej posłuszny. Wybór ten powodowany był wewnętrzną logiką i nie oburzał mnie. Resztę natomiast musiałem dopiero zrozumieć.

Wyruszyłem do Ammanu. Musiałem spotkać się z Magiem. Zadzwoiłem do hotelu „Intercontinental”, prosząc portiera o poinformowanie o moim przyjeździe. Pokonałem pajączynę korytarzy i dotarłem wreszcie do jego gabinetu. Przed drzwiami straż trzymał tylko jeden żołnierz. Mag przyjął mnie natychmiast. Miał na sobie śmieszny uroczysty strój z bufiastymi rękawami, niebieski kaftan w żółte kropeczki i jedwabną kamizelkę, a na nogach kozaki ozdobione złotą wstążką. Wyglądał, jakby wybierał się na bal karnawałowy. Przywitał się ze mną serdecznie, a potem spojrział w lustro, którego poprzednim razem nie odnotowałem.

- Co o tym sądzisz? - spytał.
- Bardzo eleganckie.

Skłamałem. Z wdziękiem przyjął komplement. Na biurku zamiast papierów stał wypełniony shaker, czekający najwyraźniej na gościa. Mag podszedł, wziął go do ręki, wstrząsnął energicznie. Wyglądał na zadowolonego i świeżego, zupełnie jak czereśnie, które z entuzjazmem wkładał do dwóch szklanek.

- Ostatnio nie czułem się za dobrze - poskarżył się.
- I pijesz alkohol?

Roześmiał się. Zdradził mi, że jego koktajle są tak wyjątkowe i fantastyczne, że sam król zapraszał go do swojego pałacu, kiedy przyjmował wysokich rangą gości, głowy innych państw. Ma teraz o czym opowiadać! Niemiecki kanclerz lubił Martini, przed kolacją potrafił wypić trzy kieliszki; angielski premier...

- Król nie pije, prawda? - przerwałem mu.

- Jak w przypadku każdego wierzącego - odrzekł - to Allah podpowiada mu, co ma robić, a czego nie.

Zauważyłem, że jest zręcznym dyplomata. Odparł, że ta umiejętność potrzebna jest w pracy tajnego agenta. I dodał:

- Nie karć mnie, Matteo, ale miałem niestrawność. Co raz bardziej upodabnam się do Sharona. Różnimy się, bo on modli się w synagodze, a ja w meczecie. Ale tak jak on, tracę głowę przed pieczonym koźlęciem czy wazą z duszoną wieprzowiną.

Grał na czas. To chyba była jego taktyka. Wznieśliśmy toast, wyszeptał, że powinienem się domyślić, za co. Dodał, że czekał na mnie.

- Za dużo myślę! - zawołał. - Ten okropny nawyk do prowadzi mnie kiedyś do kłęski. Moi koledzy nie myślą, działają. Czasami jak głupcy, ale lepsze to od myślenia bez działania. Wszystkie moje refleksje nie pomogą ci rozwiązać twojego problemu. Matteo, prawdziwym problemem naszych czasów jest to, że większość tych, którzy stoją za sterami, to krótkowzroczni ignoranci. Inaczej wojna w tych stronach dawno by się skończyła. Nie sądzisz? A żeby do tego doszło, trzeba tylko, aby wszyscy sternicy bez wyjątku złapali jakąś ciężką chorobę i dostrzegli wreszcie, jaką głupotą są masowe rzezie. Uważasz, że jestem pijany? Na twojej różowej twarzy wyczytałem, że nie jesteś przekonany.

Nieprawdaż? Ale spójrzmy na wydarzenia z mojego punktu widzenia. Ja ciebie nie oszukałem. Kiedy przez przypadek trafiłeś do mnie, nie znałem cię osobiście, chociaż dobrze wiedziałem, kim jesteś. Tamtego ranka panował upał, pamiętasz? I chociaż pora była wczesna, zaprowadziłem cię do jaskini z sympatii, chciałem ci wszystko opowiedzieć, potem zmieniłem zamiar, wręczyłem ci obrożę, wyjaśniając, że robotnicy byli przerażeni, ale to nieprawda. Winien im byłem jedynie tygodniówkę, nic więcej. Matteo, nie wystawiłem na próbę ciebie, ale twój zawód. Nauka czasami to zamknięty krąg. Nie zauważyłeś, że obroża jest współczesna. Popatrz.

Podszedł do biurka, otworzył szufladę i wyciągnął z niej kilka takich obroży. Były nowe i z wyraźnie widocznym napisem, który odczytał Vidigal.

- Jak to możliwe, że tego nie spostrzegłeś? A te doskonałe szkielety, jak twoim zdaniem mogły utrzymać się w całości po tylu tysiącletniach? Matteo, w tamtej chwili pomyślałem: skoro największy archeolog Ziemi Świętej, jak zwany jesteś w naszym i ich świecie, połknął haczyk, wpadł w pułapkę, zdołam oszukać wszystkich. I ja, który pracuję dla wojny, zainwestuję w pokój. Matteo, kiedy to odkryłeś?

Przyjrzałem mu się uważnie. Potem odezwałem się po woli:

- Kiedyś pewna przyjaciółka, siostra zakonna, wyjaśniła, że jej zdaniem znajduję się w środku powieści i tak właśnie powinienem myśleć. Zastanawiałem się, kto mógł być twórcą intrygi. A potwierdzenie, że chodzi o coś sztucznego, otrzymałem, gdy zobaczyłem wreszcie ten rzekomy grób Mojżesza, w jakim miałyby znajdować się Arka Przymierza. Kóleczek z templariuszy to historyczna obraza. Nigdy, w żadnym dokumencie z epoki, nie czytałem o tego rodzaju

torturach. Gdyby zostali skuci jak szkielety z pierwszej groty i w ten sposób zostawieni na śmierć z głodu i pragnienia, wyglądałoby to bardziej wiarygodnie. Poza tym tunel i jaskinia były czyste, bez najmniejszej pajęczynki. Co jednak mają z tobą wspólnego Szejk i Nuncjusz?

- Wiem mniej więcej, kim są - odpowiedział Mag.

Odrzekłem na to, że wierzę, iż mówi mi prawdę. Gdyż ta dwójka podążała inną drogą, chociaż pracowali nad tym samym tematem. Jedynym wyjaśnieniem, chociaż niewiarygodnym, jest to, że przez przypadek spotkały się ze sobą dwie historie. Opowiedziałem Magowi, że któregoś wieczora byłem zbyt zmęczony, by czytać, oglądałem więc film w telewizji, tytuł brzmiał *Wielka burza* czy coś podobnego. Pokazywano w nim niezwykle rzadkie wydarzenie. Na oceanie, nie pamiętam, czy Pacyfiku, czy Atlantyku, spotkały się dwie burze, jedna nadciągała ze wschodu, a druga z zachodu. Skutek spotkania był tragiczny dla statków, które na swoje nie szczęście znalazły się w tej części świata.

- Tak też się stało w naszym przypadku. Twoja historia połączyła się z inną. Nie było to przewidziane, ale przewidywalne przez tzw. rozum po szkodzie, że obie opowieści mogą się spotkać. Pewnie niewiele cię to interesuje, tak jak i fakt, że znalazłem się niejako w centrum i jednej, i drugiej. Ta druga w każdym razie, stworzona przez mojego poprzednika przy jednoczesnym stworzeniu wyimaginowanej Błogosławionej Księgi, jest dużo starsza od twojej opowieści. Ale to nieważne. Czyli wszystko to oszustwo, prawda?

Mag westchnął przeciągle i nie odpowiedział. Ja zaś stwierdziłem, że nie miał trudnego zadania ze mną, gdyż cierpienie i choroba zablokowały moje zdolności naukowego analizowania faktów. Potem jednak przypomniałem sobie o projekcie Disneylandu.

- Rozwiązanie podałeś mi na samym początku, mówiąc o tym projekcie. Ale ja nie załapałem. Czyli co, kazałeś zrekonstruować kawałeczek Biblii? Jak go nazwiesz? Od Ziemi Obiecanej do odkrycia prawdy Starego i Nowego Testamentu? Pielgrzymi przemierzają Drogę Krzyżową od czasów Konstantyna. Ale napływ zwiedzających do „Parku Mojżesza, Jana i Jezusa” może być równie liczny. Widzisz, wymyślam ci nawet nazwy!

Mag odparł z uśmiechem:

- Wspólnicy tego przedsięwzięcia, którzy siedzą wysoko, o wiele wyżej, niż przypuszczasz, połączą dwa najważniejsze słowa i najważniejsze koncepcje, jakie istnieją, które wspólnie wytwarzają nadzwyczajny efekt. Ludzie jednak często są ślepi i dogmatyczni i wolą kwaśne mleko od manny. Nie spytasz, co to za słowa?

Tym razem milczałem, zmuszając go do kontynuacji.

- Pokój i zysk. Nie ma jednego bez drugiego.

Spojrzał na mnie wyraźnie zadowolony.

- Matteo - mówił dalej - są ludzie, którzy szybują wysoko jak orły, ale jest ich mało. Większość osób fruwa w kluczu. To prawda, że rzadko się widuje i słyszy orły, właśnie dlatego, że jest ich mało, natomiast stada innych ptaków bez względu na miejsce przepelniają powietrze hałasem, wywracając świat do góry nogami. Stada rodzą się głupie i głupie pozostają przez całe życie. Orły rodzą się mądre i mają obowiązek zaprowadzać ład, wykorzystując własny autorytet i siłę. W moim kraju oraz w Izraelu wielu czeka, aż rządzący zaczną sprzyjać i aspiracjom, i marzeniom. Ci ludzie żywią przekonanie, że musimy chronić granice i że mamy obowiązek sprawować kontrolę nad terrorystami albo nad tymi, którzy udają terrorystów, aby tylko wprowadzić zamieszanie. Ale skoro oni wysadzają hotele, supermarkety,

stacje autobusowe czy same autobusy wraz z pasażerami, dziećmi jadącymi do szkoły i dorosłymi wracającymi z często słabo opłacanej pracy, jak możemy ich powstrzymać? Nikt nie zdaje sobie sprawy, że siły zła mają zamiar zająć nasze państwa. Raz nazwiesz te siły Al-Kaidą, innym razem khomeinistami, ale w rzeczywistości są to tylko ludzie, którzy pragną kontrolować złoza ropy na Bliskim Wschodzie, dzieląc wszelki dochód z przedsiębiorcami zamieszkującymi drapacze chmur podobne do tych, które zostały zniszczone jedenaściego września. Matteo, musimy wołać na cały świat, że jesteśmy doskonałymi rycerzami walczącymi z rycerzami apokalipsy.

Mag wyglądał, jakby przemawiał na wiecu. Ale ja byłem jedynym słuchaczem i na dodatek nie tak łatwym do przekonania. Przerwałem mu sucho:

- Nie zrozumiałem, kim są owi doskonali rycerze, ale to mało ważne. Pracuję dla pokoju, to jasne, jestem kapłanem. Chcę, żebyś rozumiał, że czuję się oszukany i obrażony. Ale nie w tym rzecz. Nie wierzę, że wielkie pomysły są zawsze dobrymi pomysłami. Czasami bardziej konstruktywne są te małe. Pragnę ci natomiast wyjaśnić, że nie było żadnego powodu, aby wciągać mnie w tę historię. Mogłeś wybrać innego archeologa na myszkę doświadczalną. Nie usprawiedliwiał się, że ja jestem najlepszy. Nie tak powinny wyglądać relacje porządných ludzi. Bo to do niczego nie prowadzi.

- Matteo, posłuchaj mnie uważnie. W przeszłości wypiliśmy wiele gorzkiej kawy, a kiedy miałem szczęście znaleźć kawałek czarnego chleba, zjadłem go bez masła. Dzisiaj moje życie jest inne. Ale po jednej i drugiej stronie Jordanu nadal wielu ludzi żyje w takich warunkach jak ja kiedyś.

Roześmiałem się gorzko.

- I to dla nich wymyśliłeś ten Bibleland?

Popatrzył na mnie z ekstazą w oczach:

- To wspaniała nazwa dla całego parku. Matteo, jesteś wspaniały! I skończ już z tą zgorzsną miną. Za dzień czy dwa przejdzie ci i zrozumiesz, że chodzi o ważne przedsięwzięcie. Kustodia też na nim skorzysta. Będziemy składać hojne comiesięczne ofiary. Zgadzasz się?

Przybliżyłem moją twarz do jego:

- Nie zgadzam się i mam dość tych inteligentnych planów. Chcę jedynie poznać kogoś, kto nie zmienia zdania z godziny na godzinę. I na kim można polegać. Mam dość pięknych frazesów, przemówień, zwycięskich postaw, marnych ofert.

Twarz Maga zbladła. Moja mowa nie podobała mu się.

- Chyba już pora na mnie - dodałem. Ale chciałem mu zadać jeszcze jedno pytanie:

- Kto stworzył szkielety?

Uśmiechnął się zadowolony, jak gdybym wracając do tematu, zmienił opinię. Wyjaśnił z dumą, że zadanie to powierzył paryskiemu studiu specjalizującemu się w kinowych efektach specjalnych. A jeden z najlepszych rysowników i twórców sporo czasu spędził w Izraelu i Jordanii. Miał jednak wypadek. Postanowiłem zgadywać, pewien jednak byłem, że trafię w sedno:

- Nazywał się zapewne Jones?

Potwierdził skinieniem, zdradzając, że jego prawdziwe nazwisko brzmiało Kaddumi, wszyscy jednak znali go jako Jonesa, więc chciał, byśmy też go tak nazywali. I przewidując kolejne pytanie, dodał, że jest przeświadczony o niewinności ojca Benjamina. Podczas ostatniego spotkania z Magiem, na kilka dni przed śmiercią Jones dał mu do zrozumienia, że musi załatwić pewną sprawę w Jerozolimie. Spytałem, czy sprawą tą byłem ja, skoro natrafiłem na niego we Flagelacji,

w chwili kiedy grzebał w moich papierach. Uśmiechnął się, a potem wykrzywił ze skruchą.

- Poprosiłem go, aby wpadł do twojego gabinetu i sprawdził, czy napisałeś jakieś notatki o szkieletach z Betanii i obroży, którą ci wręczyłem. Chciałem być pewien, że dałeś się nabrać.

- Rozumiem - odparłem lodowato.

Nie przypuszczała, że dojdzie do walki, wina w każdym razie spadała na Jonesa, który zachował się grubiańsko. I kiedy mu o tym powiedział, surowo go skarcił. Dodał z lekkim żalem, że śmierć Jonesa to wielka strata. Był bardzo zdolny i trudno go będzie zastąpić.

- Ale takie jest już życie, Matteo! - wykrzyknął na zgodę.

- W naturze człowieka leży pakowanie się w kłopoty. Fortuna sprowadza do portu nawet statki bez sternika. Jemu jednak nie było to pisane i nie można z pewnością powiedzieć, że następnym razem będzie lepiej - zakończył z odrobiną cynizmu.

Teraz rozumiałem już prawie wszystko. Z wyjątkiem śmierci Jonesa. W mojej głowie jednak snuły się pewne przypuszczenia. I jeśli dalej będę stosował metodę powieściową, jak ją sam nazwałem, i wyobrażał sobie kolejne wątki pomocne w zrozumieniu historii, na jakieś rozwiązanie natrafię - oczywiście równie fantastyczne co pozostałe. I wykraczając poza logikę, jaką kierowałem się dotychczas.

Mag dał mi do zrozumienia, że jest już spóźniony. Wybierał się na ważne przyjęcie do króla.

- Ostatnie pytanie - powstrzymałem go. - Co wie Gruber?

- Gruber sprzyja projektowi.

Odpowiedziałem, że Gruber jest więc jego współnikiem. Popatrzył na mnie z lekkim rozdrażnieniem.

- Wy, księża, nie potraficie zaakceptować tego, co oczywiste. Jasne, że taki projekt jak Bibleland nie mógł zrodzić się bez zgody przyjaciół z drugiej strony!

Jednym słowem, dokończyłem, zarówno on jak i Gruber posłużyli się mną. A Gruber znał tożsamość i rolę Jonesa. I w noc, kiedy Jones grzebał w moich papierach, trzymał straż, kryjąc się na dziedzińcu Flagelacji.

Mag wyraził podziw dla mojej rekonstrukcji faktów. Problem powstał, kiedy przyjechałem do Flagelacji. Gruber nie zdążył ostrzec Jonesa na czas, gdyż ten nieoczekiwanie wyłączył telefon komórkowy. Zdarza się najlepszym.

- Nie masz żalu, co, Matteo? - zakończył.

Jako franciszkanin, zmuszony byłem powiedzieć, że nie, ale chciałem usłyszeć jeszcze jedną odpowiedź. Wzniósł oczy do nieba, popatrzył na zegarek. Udałem, że tego nie widzę.

- Dlaczego do Flagelacji, skoro ja mieszkam już w konwencie Najświętszego Zbawiciela?

- Byłem przekonany, że najbardziej tajne dokumenty trzymasz w bezpiecznym miejscu, gdzie nikt nie będzie ich szukał. Czyli we Flagelacji, a nie u Najświętszego Zbawiciela.

Roześmiałem się, dostałem nawet czkawki.

- Dlaczego się śmiejesz? - spytał.

- Myślisz jak szpieg, nie jak normalny człowiek.

- Ale ty, Matteo - jego głos zabrzmiał jak jęk - jesteś szefem, a szef ma swoje tajne archiwum i trzyma je w miejscu, o którym jego przeciwnicy się nie domyśla.

Poprosiłem, aby na tym przestał. Spytał jeszcze z niepokojem:

- Wyglądam elegancko, prawda? Tylko szczerze, Matteo, tylko szczerze.

Powiedziałem, że tak. Pożegnaliśmy się. Podczas jazdy odczuwałem w rękach mniejszy ból, tak mi się przynajmniej wydawało. Dojechałem do „American Colony”, gdzie Nuncjusz i Szejk już na mnie czekali. O spotkaniu powiadomiłem Szejka telefonicznie. Siedzieli uśmiechnięci w barze. Kiedy skończyłem mówić, byli smutni i rozczarowani. Szejk stwierdził, że jest biznesmenem przyzwyczajonym do takich zmian losu. Kiedyś trafi się inna okazja. Dodał, że ma dla mnie prezent. Słynny przerażony wyraz twarzy Nuncjusza, który warwał na mnie wielkie wrażenie, był wynikiem nagłego ataku bólu zęba, źle zrobionej koronki.

Nuncjusz uśmiechnął się na te słowa w milczeniu.

Zachowałem się bezwzględnie. I miałem ku temu powody. Doradziłem Nuncjuszowi, aby wrócił do Rzymu i poprosił o inne stanowisko. A Szejkowi wyjaśniłem, że stracił w moich oczach jakąkolwiek wiarygodność. Kłamał w każdej sprawie, nawet w kwestii Jonesa, czy jak się nazywał. Podskoczył. Zaklinał się na wszystko, że opowiedział to, co wiedział o Jonesie. Nie wiedział zaś, że został zatrudniony do spreparowania szkieletów. Był człowiekiem o wielu obliczach. Ale zawsze osobą fascynującą.

*Kto w Jerozolimie nie wierzy w cuda, nie
jest realistą*

Pożegnałem się z nimi. Musiałem iść na kolejne spotkanie. Muhammad czekał na mnie przed Bramą Damasceńską. Do niego też zadzwoniłem, zanim dotarłem do Jerozolimy. Zaparkowałem i skierowałem się w jego stronę. Rozmawiał z jakimś dzieckiem, które chciało dostać jałmużnę. Zwyciężyło i otrzymało od Muhammada dwie monety.

- Matteo, pamiętasz, że winien ci jestem przysługę?

Skinałem twierdząco głową.

- Twój brat jest niewinny.

- Tak przypuszczałem.

Odchrząknął. Przeprosił, że od razu nie powiedział, jak sprawy się potoczyły, ale nie mógł inaczej postąpić. Odrzekłem, że rozumiem, chociaż nie akceptuję tego. Potrząsnął głową. Przypomniał mi, jak istotny jest dla niego honor i jak bardzo bronił honoru Margot. Jones był kochankiem Margot, bohaterem tych wspaniałych wersetów. I nie umarł, jak mogłem sam przeczytać. Niecnie ją porzucił. I to właśnie jego haniebne zachowanie obraziło wrażliwość Muhammada, a nie wzniosły poemat, godny bohatera, nie zaś tak podłego, marnego i tchórzliwego człowieka.

Jones spotkał się z nim właśnie w dniu, kiedy po raz pierwszy usłyszałem o ksiąźce. Bezczelnie zażądał połowy praw

autorskich, wyjaśniając, że należą mu się, gdyż to on jest bohaterem historii, a zatem w pewnym sensie współautorem.

- Istota godna pogardy. Margot po porzuceniu rozchorowała się z bólu. Poemat napisała na kilka dni przed tym, jak zamknęła oczy na wieki. A śmierć Jonesa była metaforą. W ten sposób opisała swoją stratę. W rzeczywistości jej ucieczka równała się całkowitemu zaćmieniu życia. Umówiłem się z Jonesem w Cytadeli Dawida. Obiecałem, że spotka tam mojego emisariusza z częścią pieniędzy w gotówce, resztę przeleję mu na numer konta, który mi poda. Matteo, źli ludzie, tacy jak on, zawsze myślą, że są bardzo sprytni. I wpadają w pułapkę własnej niegodziwości i zachłanności.

Kiedy Muhammad mówił, pomyślałem, że Jones był naprawdę typem, który przeszedł przed wieloma lustrami, nawet się w nich nie przeglądając.

Twórca szkieletów, handlarz kobietami i kokainą, uwodziciel dojrzałych kobiet. Koniec końców spotkała go zła śmierć, być może nawet nie wiedział, dlaczego, i to właśnie w chwili, kiedy spodziewał się czegoś innego.

- Matteo, słuchasz mnie?

- Tak - odpowiedziałem. - Mów dalej.

- Twój ksiądz, Benjamin, który był spowiednikiem Margot, ale tego nie mogłeś wiedzieć, udał się na moją prośbę na spotkanie z Jonesem, który zresztą powiedział mi, że go zna. Zorganizowałem wszystko, a na dole postawiłem najlepszych policjantów, w strategicznym zaś miejscu umieściłem strzelca wyborowego. Benjamin nie wiedział o zasadzce i kiedy wyjaśniał mu, że ja zaraz przyjdę, ten nieszczęśnik został zastrzelony i spadł na dziedziniec. Benjamin nic nie mówił, abym nie został w to wplątany.

Stwierdziłem, że Margot, gdy wyszła za niego, nawróciła się na islam. Odparł, że niewłaściwie zastosował słowo „spowiednik”. Benjamin był jej duchowym przewodnikiem, bardzo bliskim, wiele lat temu w Paryżu. A co miał z tym wspólnego Gruber? Muhammad odrzekł, że na początku naprawdę myślał, iż Benjamin jest winny, ale kiedy przeprowadzono autopsję i odkryto pocisk w mózgu Jonesa, zmienił zdanie. Zrozumiał, że była to praca zawodowców. Włot znajdował się za prawym uchem, a człowiek Muhammada posłużył się małutkim pociskiem, który nie rozlewa wiele krwi. Czysta operacja, prawie bez śladów, skomentował z zadowoleniem. Potem dodał, że wyświadczył Gruberowi przysługę w sprawie gniazda Hamasu, a Gruber odwdzieczył się, przymykając oko i ucinając wszelakie krępujące śledztwo.

- Kazałeś zamordować Jonesa! - zawołałem.

Pokręcił głową:

- Matteo, jesteś wspaniałym kapłanem. Podążasz swoją drogą. Ale nasze drogi, moja i Grubera, są inne. Chociaż cel jest ten sam.

Spytałem, jaki jest ten cel. Odpowiedział, że sztuka przeżycia w Jerozolimie wymaga silnego charakteru, nie tylko inteligencji, nie powinienem więc grzeszyć pychą. Każdy fragment historii znajduje się na właściwym miejscu, a taki ekspert od mozaik jak ja powinien być z tego zadowolony.

Na tym skończyliśmy i pożegnaliśmy się. Moje serce rozdzierał jednak ból. Poszedłem do konwentu Najświętszego Zbawiciela i powiedziałem ojcu Ramonowi, aby poinformował ojca Benjamina, że Kustosz prosi go, by wyjechał na Cypr. Miał to traktować jako przeniesienie. Ojciec Ramon zaś przekazał, że przyszła paczka do mnie. Otworzyłem ją przed nim. Był to dywan z przyczepionym bilecikiem.

Przeczytałem: „Ten cudowny przedmiot ma prawie pięć wieków. Pół tysiąclecia przeleżał pod milionami stóp, od Turcji po Europę, a potem za Atlantykiem, kończąc w Londynie. Jest «ojcem wszystkich dywanów z Karapinar», przez wieki produkowanych w Anatolii Środkowej, był dla nich inspiracją. Kilka miesięcy temu dom aukcyjny «Sotheby's», nie orientując się, jak wielkie dziedzictwo znalazło się w jego rękach, wystawił go na sprzedaż, wychodząc od kwoty pięciu tysięcy funtów. Dowiedziałem się o tym, natychmiast zwieźtrzyłem interes i poleciałem do Londynu. I kupiłem go. Mam nadzieję, że prezent sprawi Ci przyjemność.

PS To nie odszkodowanie, lecz przyjacielski gest. Twój przyjaciel Mag".

Oczy ojca Ramona błyszczały z podekscytowania.

- Jest cudowny! - wykrzyknął.

Pogładziłem dywan. Poprosiłem, aby wziął go na ręce, nie był szczególnie ciężki, i poszedł za mną. Zeszliśmy do prywatnej kaplicy. Powiedziałem, by rozłożył go przed ołtarzem. Ukłękliśmy i modliliśmy się do Pana. Potem wróciłem do gabinetu. Miałem jeszcze jedną rzecz do załatwienia. Wyszedłem i skierowałem się w stronę Ściany Płaczu, gdzie wierni płakali, błagali i zginali się w pokłonach. Pośród skalnych bloków, w najwyższych warstwach wyrastały krzewy kaparów i innych dzikich roślin. Stałem na palcach i znalazłem szparę na kartkę z drugiej koperty, którą przed śmiercią wręczył mi Vidigal. Pozostanie tam przez około miesiąca. Co pięć tygodni bowiem strażnicy Ściany Płaczu wybierają karteczki i zasypują je w poświęconej ziemi.

Ale wcześniej, jak prosił Vidigal, przeczytałem, co napisał: „Jerozolimo, mój szczęśliwy przytułku, kiedy skończą się trudy? Kiedy ujrzę twoje serce? Kroczyłem po twoim pyle i

bardzo jestem z tego rad. Bo kto w Jerozolimie nie wierzy w cuda, ten nie jest realista".

Ktoś mnie zawołał. Odwróciłem się. Za mną stanął Gruber.

- Ojciec Matteo, mamy problem.

Rozłożyłem ręce. Nie cierpiałem tego wyrażenia. Poprosił, abym poszedł za nim. Jego szary samochód stał na parkingu, tuż za obszarem Ściany Płacz. Otworzył drzwi. Na tylnym siedzeniu siedziała siostra Matilda.

Popatrzyła na mnie, miała wypieki na twarzy. Gruber poprosił, abym usiadł obok niej, sam zajął miejsce z przodu i polecił kierowcy, by jechał do Saint Louis.

Zauważyłem, że siostra Matilda ściska w rękach dwa pomalowane płótna.

- Nie! - zawołałem.

- No właśnie! - zawtórował mi Gruber. - Zatrzymałem ją w samą porę. Chciała te transparenty wywiesić na Wzgórzu Świątynnym i na Ścianie Płacz. Proszę przeczytać, co na nich jest napisane, jeśli jeszcze ojciec tego nie wie.

Napis brzmiał: „Kto w Jerozolimie nie wierzy w cuda, ten nie jest realista". Z tą różnicą, że jedna wersja była po arabsku, a druga po hebrajsku. Wersja arabska, przeznaczona na Wzgórze Świątynne, podpisana była „Szalom", zaś wersja hebrajska, dla Ściany Płacz, „Salaam".

Gruber powiedział donośnie:

- Uznano by to za prowokację, zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie, nie sądzi ojciec?

Siostra Matilda puściła do mnie oko. Przyjechaliśmy do Saint Louis.

- Ojciec Benjamin jest niewinny - zdradził Gruber na koniec.

- Dziękuję, właśnie wyjeżdża na Cypr - odparłem.

Chciał jeszcze coś dodać. Ale ja już machnąłem mu na pożegnanie. Podeszedł do nas doktor Leibowitz. Siostra Matilda poinformowała go, że właśnie idziemy na kroplówkę.

- Dobrze - uciął krótko.

Potem zwróciła się do mnie i z lekkim uśmiechem stwierdziła:

- Szybko ojciec wyzdrowieje. Czuję to. Bo ojciec na prawdę wierzy w cuda.

Spis treści

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Nie jestem już taki jak dawniej • 5

ROZDZIAŁ DRUGI

Szkielety z Betanii • 17

ROZDZIAŁ TRZECI

Problemy Muhammada • 29

ROZDZIAŁ CZWARTY

W Saint Louis • 44

ROZDZIAŁ PIĄTY

Choroba • 54

ROZDZIAŁ SZÓSTY

List Nuncjusza i książka Margot • 69

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Wypadek czy zasadzka? • 76

ROZDZIAŁ ÓSMY

Siostra Matilda • 85

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nuncjusz • 95

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Benjamin • 110

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zdolności Vidigala i tajemnice Szejka

ROZDZIAŁ DWUNASTY	
Nowe rewelacje • 123	
ROZDZIAŁ TRZYNASTY	
List cesarza • 131	
ROZDZIAŁ CZTERNASTY	
W klinice i w niepewności • 138	
ROZDZIAŁ PIĘTNASTY	
Vidigal i mur • 145	
ROZDZIAŁ SZESNASTY	
Pożegnanie Vidigala • 154	
ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY	
Rozdzierające wspomnienia • 161	
ROZDZIAŁ OSIEMNASTY	
Pierwszy list Vidigala • 168	
ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY	
Uroczystość Margot i pewne niespodzianki • 178	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY	
Skarb Szejka • 189	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY	
Związany bólem z Benjaminem • 201	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI	
Błogosławiona Księga • 211	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI	
Ślady i fantazje • 228	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY	
Odkrycie Vidigala • 237	
ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY	
Niespodzianki • 245	

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Jaskinia • 260

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Prawda • 270

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Podwójna przyjemność oszukiwania • 277

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Kto w Jerozolimie nie wierzy w cuda,

nie jest realistą • 288